

Clark Mary Higgins

Moja słodka Sunday



calibre 0.9.43

Mary Higgins Clark

Moja Słodka Sunday

(My Gal Sunday)

Przełożyła: Ewa Partyga

Podziękowania

W dzieciństwie cierpiałam na częste ataki astmy. Noce upływały mi na rozpaczliwym chwytaniu oddechu, ale gdy atak mijał, czekała mnie nagroda: ranek spędzony wygodnie w łóżku, z książkami i radiem.

Dość systematycznie słuchałam więc najróżniejszych seriali radiowych, tych cudownych, starych sag rodzinnych, dzięki którym mogłam przeżywać wspaniałe przygody.

Mój ulubiony serial nosił tytuł „Nasza mała Sunday”. Zwiastowała go zapowiedź: „Ta opowieść jest poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie: czy dziewczyna z miasteczka w zagłębiu węglowym znajdzie szczęście jako żona najbogatszego i najprzystojniejszego angielskiego lorda, Henry’ego Brinthropa?”

Sama miałam chrapkę na lorda Henry’ego i byłam pewna, że on i Sunday stworzą wspaniałą parę. Oczywiście, że ona znajdzie szczęście u jego boku. Któż by przy lordzie szczęścia nie znalazł?

Gdy postanowiłam powołać do życia kolejną – po Elwirze i Willym – parę małżeńską, która będzie odgrywać najważniejszą rolę w moich sensacyjnych opowieściach, przyszedł mi na myśl lord Henry i Sunday i zadałam sobie takie oto pytanie: „A gdyby tak zrobić Henry’ego byłym amerykańskim prezydentem, inteligentnym, miłym, bogatym i wspaniałym człowiekiem? A gdyby tak uczynić z Sunday młodą członkinią Kongresu, kobietę atrakcyjną i błyskotliwą?” Opowiadania, które państwo mają przed sobą, zrodziły się właśnie z tych pytań. Mam nadzieję, że przypadną państwu do gustu.

Żadne z nich nie powstałoby zapewne, gdyby nie wsparcie, życzliwe uwagi i mądrość moich wieloletnich wydawców: Michela Korda i Chucka Adamsa. Jak zwykle, serdecznie im dziękuję. Gorące podziękowania składam także na ręce mojej niezrównanej redaktorki, Gypsy da Silvy, która jest uosobieniem cierpliwości.

Richard McGann z Vance Security w Waszyngtonie, były agent Secret Service, oddał mi nieocenione usługi jako ekspert, dzięki któremu dowiedziałam się, jak mogłaby wyglądać ochrona byłego prezydenta i jego żony. Sierżant Kevin J. Valentine z policji w Bernardsville, stan New Jersey, chętnie odpowiadał na wszystkie moje pytania dotyczące procedury, którą policja zastosowałaby wobec opuszczonego dziecka. Wielkie dzięki, Dick, wielkie dzięki, Kevin. Na koniec pragnę gorąco podziękować mojej rodzinie i przyjaciołom, którzy niezmiennie dodają mi otuchy, gdy zbliża się termin oddania książki wydawnictwu, i którzy tak wyrozumiale traktują autorkę bez reszty pochłoniętą historiami, jakie zamierza opisać. Wszyscy jesteście wspaniali!

Zbrodnia z namiętności

„Strzeżcie się gniewu cierpliwego człowieka” – rzekł ze smutkiem Henry Parker Britland IV, przyglądając się fotografii swego niegdyśszego sekretarza stanu. Dowiedział się właśnie, że jego bliski przyjaciel i sprzymierzeniec polityczny jest podejrzany o zabójstwo swej kochanki, Arabelli Young.

– Naprawdę sądzisz, że biedny Tommy to zrobił? – westchnęła Sandra O’Brien Britland, rozsmarowując dżem domowej roboty na gorącej grzance, przed chwilą wyjętej z tostera. Był wczesny ranek i państwo Britland nie opuścili jeszcze swego wygodnego łoża, iście królewskich rozmiarów, stojącego w sypialni ich wiejskiej posiadłości Drumdoe, w Bernardsville, stan New Jersey. Najróżniejsze pisma – „The Washington Post”, „The Wall Street Journal”, „The New York Times”, londyński „The Times”, „L’Osservatore Romano” i „The Paris Review” – każde

otwarte na innej stronie, leżały na ozdobionej delikatnym kwiecistym wzorem lekkiej kołdrze, a także na podłodze. Oboje małżonkowie mieli przed sobą identyczne tace śniadaniowe, udekorowane pojedynczą różą w srebrnym wazoniku.

– W zasadzie nie – odpowiedział Henry po chwili, kręcąc przecząco głową. – Nie mogę w to uwierzyć. Tom był zawsze tak doskonale opanowany. Właśnie dlatego znakomicie nadawał się na sekretarza stanu. Ale od śmierci Constance – a ona zmarła podczas mojej drugiej kadencji – stał się jakby innym człowiekiem. Trudno było nie zauważyć, że kiedy spotkał Arabelle, zakochał się w niej do szaleństwa. Po pewnym czasie wszyscy spostrzegli, że stracił trochę swego żelaznego opanowania – zawsze będę pamiętał, jak kiedyś zapomniał się w obecności samej Margaret Thatcher i nazwał Arabelle „kociakiem”.

– Szkoda, że cię wtedy nie znałam – zasmuciła się Sandra. – Ma się rozumieć, że nie zawsze chwaliłam twoje decyzje, ale w gruncie rzeczy uważałam, że jesteś wspaniałym prezydentem. Tylko że wtedy, dziewięć lat temu, gdy po raz pierwszy składałeś przysięgę prezydencką, wcale byś się mną nie zainteresował. Czy prezydent Stanów Zjednoczonych może zwrócić uwagę na studentkę prawa? To znaczy, mam nadzieję, że wydałabym ci się dość atrakcyjna, ale wiem, że nie potraktowałbyś mnie poważnie. Kiedy się spotkaliśmy, byłam już członkinią Kongresu i budziłam chyba jaki taki szacunek.

Henry odwrócił się i obrzucił swą poślubioną przed ośmiu miesiącami żonę czułym spojrzeniem. Jej włosy koloru ozimej pszenicy były lekko rozburzone. Intensywnie niebieskie oczy zdradzały inteligencję, uczuciowość i błyskotliwe poczucie humoru. Czasami pojawiał się w nich również błysk dziecięcej ciekawości. Henry uśmiechnął się, wspominając chwilę, gdy ujrzał małżonkę po raz pierwszy. Zapytał wówczas, czy ona jeszcze wierzy w Świętego Mikołaja. Zdarzyło się to w przeddzień zaprzysiężenia jego następcy, podczas przyjęcia, które Henry urządził w Białym Domu dla wszystkich nowych członków Kongresu.

– Wierzę w to, czego symbolem jest Święty Mikołaj, sir – odparła Sandra. – A pan nie?

Później, gdy goście się już zegnali, Henry zaproponował jej, by została na kolacji.

– Bardzo mi przykro – usłyszał. – Umówiłam się z rodzicami. Nie mogę ich zawieść.

Henry’emu przyszło więc samotnie zjeść kolację w ten ostatni wieczór, który miał spędzić w Białym Domu jako jego gospodarz. Pomyślał o wszystkich paniach, które w ciągu minionych ośmiu lat ochoczo zmieniały swoje plany w ułamku sekundy, i uświadomił sobie, że właśnie spotkał kobietę swych marzeń. Wzięli ślub sześć tygodni później.

Z początku zdawało się, że podniecenie dziennikarzy nigdy się nie skończy. Małżeństwo najlepszej partii w tym kraju – czterdziestoczteroletniego byłego prezydenta – z piękną, młodą członkinią Kongresu, młodszą od narzeczonego o dwanaście lat, spędzało sen z powiek reporterów i wszelkich pismaków. Żadne małżeństwo od wielu już lat nie zagarnęło na tak długo wyobraźni amerykańskiej publiczności.

Kilka faktów z życia Sunday: to, że jej ojciec był zwykłym maszynistą centralnych kolei w New Jersey, że ona sama zarabiała na swoje studia w St. Peter’s College i Fordham Law School, że przez siedem lat pracowała jako obrońca z urzędu, a potem w oszałamiającym stylu pokonała wieloletniego reprezentanta Jersey City w wyborach do Kongresu, kilka tych faktów wystarczyłoby uznano ją za kobietę wybitną i ulubienicę mediów.

Henry natomiast był jednym z dwóch najpopularniejszych w dwudziestym wieku prezydentów USA, a przy tym dziedzicem pokaźnej fortuny i jednym z najbardziej seksownych mężczyzn Ameryki. To sprawiało, iż wielu panów widziało w nim swój wzór, choć byli i tacy, którzy najzwyczajniej zazdrościli mu wszystkiego, dziwiąc się, dlaczego też bogowie upodobali sobie właśnie Henry’ego Britlanda.

W dniu ślubu Henry’ego i Sunday jedno z kolorowych pism zatytułowało tekst poświęcony temu wydarzeniu: LORD HENRY BRINTHROP ŻENI SIĘ Z NASZĄ MAŁĄ SUNDAY,

nawiązując w ten sposób do niezwykle kiedyś popularnego serialu radiowego, w którym przez wiele lat pięć dni w tygodniu padało pytanie: „Czy dziewczyna z miasteczka w zagłębiu węglowym znajdzie szczęście jako żona najbogatszego i najprzystojniejszego angielskiego lorda, Henry’ego Brinthropa?”

Wszyscy, nie wyłączając jej zaślepionego miłością męża, natychmiast zaczęli nazywać Sandrę Sunday. Ona sama początkowo nie mogła znieść tego zdrobnienia, pogodziła się z nim jednak wówczas, gdy Henry zdradził, iż dla niego ma ono podwójne znaczenie: przywodzi mu także na myśl „niedzielną miłość”, o której traktują słowa jednej z jego ulubionych piosenek.

– A poza tym to bardzo do ciebie pasuje – orzekł. – Tip O’Neill nosił przydomek, który pasował właśnie do niego; Sunday zaś pasuje do ciebie jak ulał.

Tego ranka Sunday przyglądała się mężowi i myślała o tych kilku spędzonych razem miesiącach, które upłynęły im niemal beztrosko. Teraz dojrzała w oczach męża szczyry smutek i przykryła jego dłoń swoją.

– Martwisz się o Tommy’ego. Nietrudno zgadnąć. Co możemy zrobić, żeby mu pomóc?

– Obawiam się, że niewiele. Sprawdzę, ma się rozumieć, czy zaangażowany przez niego prawnik zna się na tego rodzaju sprawach, ale niezależnie od tego, kto będzie reprezentował Tommy’ego, jego przyszłość nie rysuje się w różowych barwach. Zastanów się. Popełniono szczególnie odrażającą zbrodnię, a zważywszy na wszelkie okoliczności, trudno doprawdy pozbyć się wrażenia, że winowajcą jest właśnie Tom. Do kobiety strzelano trzykrotnie z rewolweru Tommy’ego, w jego bibliotece, on zaś całkiem niedawno oświadczył publicznie, jak bardzo go boli jej odejście.

Sunday podniosła jedno z pism i przyjrzała się fotografii; rozpromieniony Thomas Shipman obejmował na niej ramieniem trzydziestoletnią piękność, która pomogła mu osuszyć łzy po śmierci ukochanej żony.

– Ile lat ma Tommy? – zapytała.

– Nie jestem pewien. Chyba sześćdziesiąt pięć.

Oboje przyglądali się fotografii. Tommy był szczupłym, wysportowanym mężczyzną o przerzedzonych, przetykanych siwizną włosach i profesorskim obliczu. Śliczna buzia Arabelli Young, okolona fantazyjnie rozburzonymi bujnymi włosami, dorównywała urodą ciału, które z powodzeniem nadawałoby się na okładkę „Playboya”.

– Wakacyjny romans, jeśli mnie intuicja nie myli – skomentowała Sunday.

– Prawdopodobnie o nas mówią podobnie – zauważył Henry niefrasobliwie, siląc się na uśmiech.

– Och, Henry, daj spokój – rzekła Sunday, ujmując go za rękę – i nie próbuj udawać, że nie jesteś zmartwiony. Może i jesteśmy świeżo upieczonym małżeństwem, ale znam cię zbyt dobrze, by dać się wywieść w pole.

– Masz rację, jestem zmartwiony – powiedział Henry cicho. – Kiedy myślę o minionych latach, nie potrafię sobie wyobrazić siebie w Białym Domu bez Tommy’ego u boku. Nim zostałem prezydentem, zasiadałem w Senacie przez jedną tylko kadencję, brakowało mi więc doświadczenia. Dzięki Tommy’emu przebrnąłem przez pierwsze miesiące prezydentury bez większych wpadek. Kiedy byłem nastawiony na definitywną rozprawę z Sowietami, właśnie Tommy – w swój spokojny i zrównoważony sposób – przekonał mnie, że tego rodzaju konfrontacja bardzo mi zaszkodzi, a potem zrobił wszystko, by opinia publiczna uznała tę decyzję za moją własną. Tommy jest prawdziwym mężem stanu, co więcej, dżentelmenem w każdym calu. Uczciwy, inteligentny, lojalny.

– Z pewnością jest także człowiekiem, który był w pełni świadom, iż ludzie dowcipkują na temat jego romansu z Arabellą, i tego, do jakiego stopnia oszalał na jej punkcie. Ale gdy ona zerwała znajomość, stracił tę świadomość – zasugerowała Sunday. – Zdaje się, że taka właśnie jest

twoja interpretacja faktów, prawda?

– Być może – westchnął Henry – chodzi o przejściową niepoczytalność? To się zdarza. –

Odstawił tacę śniadaniową na nocny stolik. – Tak czy inaczej, Tommy nigdy mnie nie zawiódł i ja nie zamierzam zawieść jego. Pozwolono mu wpłacić kaucję. Chcę się z nim zobaczyć.

Sunday pośpiesznie odepchnęła od siebie tacę, chwytając z niej niemal w locie opróżnioną do połowy filiżankę z kawą.

– Jadę z tobą – oświadczyła. – Potrzebuję tylko dziesięciu minut na masaż wodny i jestem gotowa.

Henry zerknął na długie nogi żony, wyslizgującej się właśnie z łóżka.

– Jacuzzi. Świetny pomysł – ucieszył się. – Pozwolisz, że do ciebie dołączę.

Thomas Ackerman Shipman usiłował zignorować armię dziennikarzy, która rozbiła obóz przed jego domem. Gdy samochód, którym jechał w towarzystwie swego adwokata, zatrzymał się przed wejściem, Shipman patrzył prosto przed siebie i torował sobie drogę do drzwi, próbując za wszelką cenę puścić mimo uszu jazgotliwe pytania, jakimi zasypali go reporterzy. Gdy znalazł się w domu, wydarzenia tego dnia uderzyły w niego jednak ze zdwojoną siłą i Shipman najwyraźniej osłabł.

– Chyba nie zaszkodzi nam szklaneczka whisky – powiedział cicho.

– Cóż, istotnie zasługujesz na małą szkocką – odparł jego adwokat, Leonard Hart, spoglądając na swego klienta z wyraźnym współczuciem. – Ale pozwól, że najpierw zapewnię cię po raz kolejny, iż jeśli będziesz nalegać, zaczniemy się starać o ugodę z prokuraturą, chciałbym jednak raz jeszcze podkreślić, że możemy przygotować bardzo mocną linię obrony, opartą na przejściowej niepoczytalności. Ja w każdym razie ucieszyłbym się z pewnością, gdybyś się zdecydował na proces. Każdy z członków ławy przysięgłych zrozumie twoją sytuację: przeszedłeś katusze po utracie ukochanej żony i w chwili słabości zakochałeś się w atrakcyjnej młodej kobiecie, która początkowo przyjęła od ciebie mnóstwo prezentów, a potem cię porzuciła. Klasyczna historia. Nie

wątpię, że wzbudzi współczucie, zwłaszcza gdy wesprzemy ją dowodami świadczącymi o przejściowej niepoczytalności. – W głosie Harta coraz wyraźniej pobrzmiwała retoryczna pasja, jakby już w tej chwili zwracał się do ławy przysięgłych: – Poprosiłeś Arabellę, by przyszła do ciebie na rozmowę o przyszłości waszego związku, ale ona cię wyśmiała i w ten sposób doszło do kłótni. W pewnej chwili straciłeś głowę i opanowała cię ślepa wściekłość, tak wielka, że nie jesteś w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów. I wtedy ją zastrzeliłeś. Rewolwer był zazwyczaj zamknięty w sejfie, ale tego wieczoru leżał na wierzchu, ponieważ byłeś naprawdę pogrążony w depresji i nosiłeś się nawet z samobójczymi myślami.

Prawnik przerwał na chwilę swoje przemówienie, a były sekretarz stanu spojrział na niego bezgranicznie zdziwionymi oczami.

– Czy właśnie w ten sposób interpretujesz te wydarzenia? – zapytał.

Hart był najwyraźniej zaskoczony pytaniem.

– Owszem – odparł. – Dlaczego pytasz? Musimy jeszcze ustalić kilka szczegółów, parę detali, których nie jestem całkowicie pewien. Na przykład, będziemy musieli wyjaśnić, w jaki sposób mogłeś najspokojniej zostawić krwawiącą pannę Young na podłodze i pójść na górę do łóżka, by zasnąć tam tak głęboko, że nie słyszałeś nawet krzyku gosposi, która odkryła ciało następnego ranka. Wziąwszy pod uwagę wszystko, co wiem, sądzę, że podczas śledztwa powinniśmy utrzymywać, iż znajdowałeś się w stanie szoku.

– Tak myślisz? – westchnął wyczerpany Shipman. – Ale ja wcale nie byłem w szoku. Prawdę mówiąc, gdy wypilem tego drinka, poczułem, że urywa mi się film. Ledwo pamiętam, o czym rozmawialiśmy, zupełnie nie przypominam sobie chwili, gdy do niej strzelałem.

Przez twarz adwokata przemknął wyraz niepokoju.

– Na Boga, błagam cię, byś nikomu nie opowiadał tego rodzaju historii. Czy możesz mi to obiecać? I jeśli wolno mi coś zasugerować, to sądzę, że w najbliższej przyszłości powinieneś trochę

uważać z whisky; choć oczywiście wcale się nie zgadzam z tym, co przed chwilą powiedziałeś.

Thomas Shipman stał skryty za storami, patrząc, jak jego elokwentny adwokat próbuje odeprzeć atak dziennikarzy. Niczym samotny chrześcijanin, który zмага się ze stadem lwów, pomyślał Shipman. Tylko że w tym wypadku nie chodziło wcale o krew mecenasa Harta, lecz o jego własną. On zaś, niestety, nie czuł powołania do roli męczennika.

Na szczęście udało mu się dodzwonić do gosposi, Lillian West, i nakłonić ją, by dziś nie przychodziła. Już poprzedniego wieczoru, gdy doręczono mu akt oskarżenia, wiedział, że kamery telewizyjne otoczą niebawem dom, że będą śledzić i rejestrować każdy jego, Thomasa, krok, poczynając od chwili, gdy zostanie stąd wyprowadzony w kajdankach, postawiony w stan oskarżenia, gdy pobiorą mu odciski palców, a on złoży deklarację niewinności, aż do momentu, kiedy dziś rano niezbyt tryumfalnie wróci do domu. Ten powrót można by przyrównać jedynie do publicznej chłosty; Shipman nie chciał narażać swojej gospodyni na żadne nieprzyjemności.

A jednak wiele by dał za to, by mieć kogoś przy sobie. Dom wydawał się tak cichy i opustoszały! Shipman zatopił się we wspomnieniach, powrócił myślą do dnia, w którym razem z Constance kupili ten dom, jakieś trzydzieści lat temu. Przyjechali tu z Manhattanu, by zjeść lunch w restauracji „Bird and Bottle” niedaleko Bear Mountain, a potem wracali niespiesznie do miasta. W pewnej chwili postanowili zboczyć nieco z drogi i przejechać uroczymi willowymi uliczkami Tarrytown, gdzie natknęli się na wywieszkę „Na sprzedaż” umieszczoną na tym pamiętającym schyłek ubiegłego stulecia domu z widokiem na Hudson River i Palisades.

I przez następne dwadzieścia osiem lat, dwa miesiące i dziesięć dni żyliśmy tu sobie błogo i szczęśliwie, pomyślał Thomas. Och, Constance, gdybyśmy mieli przed sobą jeszcze następnych dwadzieścia osiem lat, uzalił się w duchu, idąc do kuchni, gdyż zrezygnował z whisky na rzecz kawy.

Ten dom stanowił dla nich oazę spokoju. Nawet wtedy, gdy Thomas pełnił funkcję sekretarza

stanu i większość czasu był w podróży, od czasu do czasu udawało im się spędzać tu razem weekendy, które zawsze przynosiły coś w rodzaju odrodzenia duchowego. Aż wreszcie pewnego ranka, dwa lata temu, Constance oznajmiła, że nie czuje się najlepiej. Chwilę później już jej nie było.

Dwudziestogodzinny dzień pracy przyczynił się do częściowego złagodzenia bólu. Dzięki Bogu, miałem swoją pracę, która mnie odrywała od tego wszystkiego, pomyślał i uśmiechnął się, przypomniawszy sobie przydomek, który wymyślili dla niego dziennikarze: Latający Sekretarz. Ale nie chodziło przecież tylko o to, by się czymś zająć; razem z Henrym dokonaliśmy wiele dobrego. Zostawiliśmy Waszyngton i cały kraj w najlepszej od wielu lat kondycji.

W kuchni Thomas odmierzył ilość wody i kawy, która wystarczyłaby do przygotowania czterech filiżanek. No proszę, potrafię się o siebie zatroszczyć, pomyślał. Szkoda, że nie zajmowałem się tym po śmierci Constance. Ale wtedy na scenie pojawiła się Arabella. Gotowa nieść pocieszenie, urocza i pociągająca. A teraz martwa.

Powrócił myślą do tego nieszczęsnego wieczoru sprzed dwóch dni. Jakie słowa padły między nimi w bibliotece? Pamiętał jak przez mgłę, że się wówczas rozgniewał. Ale czy mógł rozgniewać się tak bardzo, by popełnić równie straszliwy czyn? A potem zostawić ją, krwawiącą na podłodze w bibliotece, i spokojnie udać się do łóżka? Shipman pokręcił głową. To wszystko wyglądało całkiem bezsensownie.

Zadzwonił telefon, ale Thomas ledwie nań spojrział. Gdy umilkł, Shipman podniósł słuchawkę i położył ją obok aparatu.

Kiedy kawa już się zaparzyła, napełnił filiżankę i drżącymi dłońmi zaniósł ją do saloniku.

Zazwyczaj sadowił się z kawą w swoim ulubionym skórzanym fotelu w bibliotece. Tym razem jednak nie był w stanie tego uczynić. Zastanawiał się nawet, czy kiedykolwiek wejdzie do tego pokoju.

Zaledwie usiadł wygodnie, usłyszał jakieś krzyki na dworze. Wiedział, że dziennikarze wciąż koczują na jego uliczce, ale nie potrafił sobie wyobrazić, co mogło spowodować takie podniecenie. Wystarczyło jednak, by lekko uchylił zasłon, żeby się przekonać, co jest przyczyną owego zamieszania.

Na scenę wkraczał właśnie były prezydent Stanów Zjednoczonych, niosąc przyjaźń i pocieszenie.

Agenci Secret Service mężnie usiłowali utorować drogę obojgu Britlandom, którzy przeciskali się przez tłum reporterów i kamerzystów. Henry, nie przestając chronić ramieniem żony, zatrzymał się na znak, że zamierza wygłosić kilka słów zdawkowego oświadczenia:

– W naszym wspaniałym kraju każdy jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Thomas Shipman był bez wątpienia znakomitym sekretarzem stanu i wciąż pozostaje moim bliskim przyjacielem. Przyjechałem tu razem z Sunday właśnie ze względu na naszą przyjaźń – oznajmił.

Wygłosiwszy to oświadczenie, były prezydent skierował się w stronę werandy, ignorując padające ze wszystkich stron pytania. Gdy Britlandowie stanęli na ostatnim stopniu, Tom Shipman uchylił drzwi frontowe, a jego goście szybko wśliznęli się do środka.

Dopiero gdy drzwi zamknęły się za nimi i Thomas Shipman znalazł się w bezpiecznych, przyjacielskich objęciach, zaczął szlochać.

Sunday wyczuła, że panowie potrzebują trochę czasu na rozmowę w cztery oczy, skierowała więc kroki do kuchni i postanowiła, mimo protestów gospodarza, przygotować lunch dla wszystkich trojga. Były sekretarz stanu powtarzał ciągle, że może wezwać gospodynię, ale Sunday nalegałaby zdać się na nią.

– Poczujesz się lepiej, gdy tylko coś zjesz, Tom – oświadczyła. – Pogadajcie sobie chwilę, chłopcy, a potem przyjdźcie do mnie. Z pewnością masz w kuchni wszystko, co jest potrzebne, by przyrządzić omlet. Zapraszam za parę minut.

Shipman dość szybko odzyskał zimną krew. Jak gdyby obecność Henry'ego Britlanda wystarczyłaby przywrócić Thomasowi utracone poczucie, że poradzi sobie ze wszystkim, co go spotka. Panowie przeszli do kuchni, gdzie Sunday już zaczęła przygotowywać omlet. Jej szybkie, zręczne ruchy obudziły w Shipmanie świeże wspomnienia z Palm Beach, wspomnienia o kimś innym, kto przygotowywał sałatkę, podczas gdy on snuł marzenia o przyszłości, które już nigdy się nie ziszczą.

Thomas zerknął w stronę okna i uświadomił sobie nagle, że żaluzje są wciąż rozsunięte i że gdyby ktoś zdołał przemknąć się na tyły domu, mógłby bez przeszkód pstryknąć zdjęcie im trojgu. Szybko podszedł do okna i zaciągnął żaluzje.

Odwrócił się do Henry'ego i Sunday i uśmiechnął się do nich smutno.

– Niedawno namówiono mnie, bym kupił elektroniczne urządzenie do żaluzji w pozostałych pokojach, dzięki czemu mogę je zasuwac o określonej godzinie za pomocą jednego przycisku na pilocie. Nigdy bym jednak nie przypuścił, że będą potrzebne właśnie tutaj. W ogóle się nie znam na gotowaniu, a i Arabella nie była w typie Betty Crocker. – Shipman przerwał i pokiwał głową. – No cóż. Jakie to wszystko ma teraz znaczenie? Zresztą i tak nigdy nie znosiłem tego urządzenia.

W gruncie rzeczy żaluzje w bibliotece do tej pory kiepsko funkcjonują. Za każdym razem przy ich zasuwaniu i rozsuwaniu rozlega się taki huk, jakby ktoś wystrzelił z rewolweru. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? Przecież to właśnie tam rewolwer wystrzelił dwie doby temu. Słyszeliście pewnie o zdarzeniach, które w pewien sposób istnieją, zanim naprawdę do nich dojdzie? No cóż...

Shipman odwrócił się na chwilę, w kuchni zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami przyrządzania omletu. Potem gospodarz podszedł do kuchennego stołu i usiadł naprzeciwko Henry'ego. Natychmiast przyszedł mu na myśl czasy, gdy siadywali w ten sposób przy biurku w gabinecie prezydenckim. Podniósł wzrok, napotykając spojrzenie młodszego od siebie przyjaciela.

– Wie pan, panie prezydencie, ja...

– Tommy, odpukaj to. To ja. Henry.

– W porządku, Henry. Pomyślałem po prostu, że w końcu obaj jesteście prawnikami i...

– Sunday też – przypomniał mu Henry. – Nie zapominaj o tym. Pracowała jako obrońca z urzędu, zanim wystartowała w wyborach.

Shipman uśmiechnął się blado.

– W takim razie proponuję, byśmy potraktowali ją jako eksperta. – Odwrócił się do Sunday. –

Sunday, czy musiałaś kiedykolwiek bronić klienta, który był pijany do nieprzytomności w chwili popełniania przestępstwa, który nie tylko strzelił trzykrotnie do swojej... przyjaciółki, ale na dodatek zostawił ją leżącą na podłodze, by się wykrwawiła, sam zaś powłókł się schodami na górę, do łóżka, żeby to wszystko odespać?

Sunday odpowiedziała, nie odwracając się od kuchenki:

– Może okoliczności nie były dokładnie takie same, ale broniłam parę osób, które nawet nie pamiętały, że popełniły jakiegokolwiek przestępstwo, znajdując się pod wpływem narkotyków.

Zazwyczaj jednak istnieli świadkowie, gotowi zeznawać przeciwko nim pod przysięgą. To nie były łatwe przypadki.

– I oczywiście sąd uznawał, że są winni? – zapytał Shipman.

Sunday przerwała i spojrzała na niego ze smutkiem.

– Sprawa była zazwyczaj przesądzona – przyznała.

– No właśnie. Mój adwokat, Len Hart, to dobry i zdolny facet, który chciałby, żebym przyznał się do winy, kładąc swój postępek na karb niepoczytalności – czasowej, oczywiście. Ale moim zdaniem, jedyne, co mogę zrobić, to pójść na ugodę, w nadziei, że w zamian za moje przyznanie się do winy prokurator odstąpi od żądania kary śmierci.

Henry i Sunday patrzyli teraz wprost na przyjaciela.

– Rozumiecie przecież – ciągnął Shipman – że odebrałem życie młodej kobiecie, która powinna przeżyć jeszcze jakieś pięćdziesiąt lat. Jeśli pójdę do więzienia, przetrwam nie więcej niż pięć, może dziesięć lat. Więzienie, niezależnie od tego, ile lat tam spędzę, pomoże mi jednak trochę okupić tę potworną winę, zanim stanę przed obliczem Stwórcy.

Wszyscy troje milczeli, gdy Sunday kończyła przygotowywanie posiłku – przyprawiła sałatę, wlała rozbełtane jajka na rozgrzaną patelnię, dodała pokrojonych pomidorów, szalotek, szynki, podważyła brzegi skwierczącego omletu, a potem odwróciła go na drugą stronę. Z tostera wyskoczyła kromka, w chwili gdy Sunday zsunęła pierwszy omlet na podgrzany talerz i postawiła go przed Shipmanem.

– Jedz – przykazała.

Dwadzieścia minut później Tom Shipman położył ostatni listek sałaty na chrupiącym toście i gapiąc się w pusty talerz, powiedział:

– Wygląda na to, że masz dość luksusowy problem, Henry: zatrudniłeś u siebie francuskiego kucharza, a tymczasem bogowie obdarzyli cię żoną, która jest mistrzynią patelni.

– Dzięki, dobry panie – rzekła Sunday. – Prawdę powiedziawszy, jeśli mam jakieś talenty kulinarne, to rozwinęłam je w czasach, gdy jako kucharka zarabiałam na studia w Fordham. Shipman uśmiechnął się, wciąż spoglądając z roztargnieniem na pusty talerz.

– To godna podziwu umiejętność. Arabella z pewnością jej nie posiadała. – Pokiwał powoli głową. – Trudno uwierzyć, że mogłem być taki głupi.

Sunday położyła dłoń na jego ręce i powiedziała cicho:

– Tommy, z pewnością istnieją jakieś okoliczności łagodzące, które będą działały na twoją korzyść. Tyle lat służyłeś społeczeństwu, uczestniczyłeś w tylu akcjach charytatywnych. Sąd będzie szukał wszelkich aspektów, które mogłyby wpłynąć na złagodzenie wyroku – zakładając oczywiście, że w ogóle będzie jakiś wyrok. Henry i ja jesteśmy tu po to, by ci pomóc, jeśli to tylko

możliwe, i zamierzamy stać po twojej stronie niezależnie od tego, co się zdarzy.

Henry Britland położył dłoń na ramieniu Shipmana.

– To prawda, stary przyjacielu, jesteśmy tu dla ciebie. Proś, a my spróbujemy spełnić twoje prośby. Ale zanim cokolwiek zrobimy, musimy wiedzieć, co się tu naprawdę zdarzyło. Słyszeliśmy, że zerwała z tobą Arabella, skąd się więc tutaj wzięła tamtej nocy?

Shipman przez moment zwlekał z odpowiedzią.

– Wpadła na chwilę – odparł wymijająco.

– To znaczy, że się jej nie spodziewałeś? – spytała szybko Sunday.

Thomas zawahał się.

– No... nie.

Henry pochylił się do przodu.

– W porządku Tom, ale, jak mawiał Will Rogers, wiem tylko to, co przeczytałem w gazetach.

Zgodnie z tym, co pisze prasa, zadzwoniłeś do Arabelli tego dnia i błagałeś, by przyszła do ciebie na rozmowę. Zjawiła się tu tego wieczoru koło dziewiątej.

– Zgadza się – odparł, nie zagłębiając się w wyjaśnienia.

Henry i Sunday wymienili zatroskane spojrzenia. Najwyraźniej Tom coś przed nimi ukrywał.

– A co z rewolwerem? – zagadnął Henry. – Jeśli mam być szczery, zdziwiłem się, słysząc, że w ogóle masz broń i że zarejestrowałeś ją na swoje nazwisko. Byłeś przecież zagorzałym przeciwnikiem posiadania broni. Gdzie ją trzymałeś?

– Naprawdę, całkiem zapomniałem, że ją w ogóle mam – rzekł Shipman obojętnie. – Dostałem ten rewolwer, gdy się tu wprowadziliśmy, przez te wszystkie lata leżał gdzieś w najdalszym kącie mojego sejfu. I kiedyś całkiem przypadkowo go znalazłem, wkrótce po tym, jak się dowiedziałem, że policja prowadzi kampanię, by ludzie wymieniali broń na zabawki. No więc wyjąłem rewolwer z sejfu i położyłem go na stole w bibliotece, tuż obok naboju. Miałem zamiar pójść z nim na policję

następnego ranka. No cóż, w gruncie rzeczy otrzymali go w terminie, tylko nie całkiem w takich okolicznościach, jak zamierzałem.

Sunday wiedziała, że Henry myśli to samo, co ona. Sytuacja wyglądała kiepsko: Tom nie tylko zastrzelił Arabelle, ale na domiar złego naładował broń już po jej przybyciu.

– Tom, co robiłeś, zanim Arabella tu przyszła? – zapytał Henry.

Oboje zauważyli, że Shipman chwilę się zastanawiał, zanim odpowiedział:

– Byłem na dorocznym zgromadzeniu akcjonariuszy American Micro. Miałem wyczerpujący dzień, a w dodatku męczyło mnie okropne przeziębienie. Moja gospodyni, Lillian West, przygotowała kolację na wpół do ósmej. Zjadłem niewiele i poszedłem prosto na górę, ponieważ wciąż kiepsko się czułem. Miałem nawet dreszcze, wziąłem długi, gorący prysznic; potem od razu położyłem się do łóżka. Źle spałem przez ostatnich kilka nocy, więc zażyłem tabletkę nasenną.

I obudziłem się – z bardzo głębokiego snu, muszę przyznać – gdy Lillian zapukałaby powiedzieć, że Arabella jest na dole i chce się ze mną zobaczyć.

– I wtedy zszedłeś na dół?

– Tak. Pamiętam, że Lillian właśnie wychodziła, a Arabella była już wtedy w bibliotece.

– Ucieszyłeś się na jej widok?

Shipman zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

– Nie. Nie zapominajcie, że ledwo stałem na nogach po tabletkce nasennej i z trudem udawało mi się trzymać oczy otwarte. Byłem też zły, że Arabella tak długo ignorowała moje telefony, a teraz zjawiała się bez zapowiedzi. Pamiętacie pewnie, że w bibliotece jest barek. Arabella rozgościła się na tyle, że przygotowała już martini dla mnie i dla siebie.

– Tom, jak mogłeś w ogóle myśleć o martini po zażyciu tabletki nasennej? – spytał Henry.

– Chyba z głupoty – mruknął Thomas. – I jeszcze dlatego, że nie mogłem ścierpieć głośnego śmiechu Arabelli, jej irytującego głosu. Zdawało mi się, że oszaleję, jeśli nie utopię tego

wszystkiego w kieliszku.

Henry i Sunday nie mogli oderwać wzroku od przyjaciela.

– A mnie się zdawało, że miałeś bzika na jej punkcie – zdziwił się Henry.

– Och, przez krótki czas, ale w końcu to przecież właśnie ja z nią zerwałem – odparł Shipman.

– Jako dżentelmen jednak wolałem oświadczyć, że to jej decyzja. Na pewno każdemu, kto się zastanowił nad dzielącą nas różnicą wieku, łatwo przyszło uwierzyć, że tak właśnie było.

A tymczasem ja wreszcie – choć tylko na chwilę, jak się okazało – odzyskałem rozum.

– W takim razie po co do niej dzwoniłeś? – zapytała Sunday – Nie bardzo rozumiem.

– Bo ona miała zwyczaj dzwonić do mnie w środku nocy, czasem kilka razy, co godzinę.

Najczęściej odkładała słuchawkę, gdy tylko usłyszała mój głos, ale wiedziałem, że to ona. No więc zadzwoniłem, chcąc ją ostrzec, że dłużej tak być nie może. Ale bynajmniej jej nie zapraszałem.

– Tom, dlaczego nie powiedziałeś o tym policji? Sądząc z tego, co słyszałem i czytałem, wszyscy są przekonani, że to zbrodnia z namiętności.

Tom Shipman ze smutkiem pokiwał głową.

– W końcu tak właśnie chyba było. Ostatniej nocy Arabella powiedziała mi, że zamierza skontaktować się z jednym z brukowców i sprzedać redakcji historyjkę o dzikich orgietkach, które ty i ja rzekomo urządzaliśmy za twojej kadencji.

– Przecież to śmieszne! – oburzył się Henry.

– Szantaż – szepnęła Sunday.

– No właśnie. Czy sądzicie, że mogłem coś zyskać, opowiadając tę historię? – zapytał Shipman i pokręcił głową. – Mimo wszystko jest jakiś cień godności w tym, że człowiek ponosi karę za zamordowanie kobiety, którą kochał za bardzo, by ją stracić, nawet jeśli to nieprawda. Trochę godności przypadnie w udziale jej i może nawet odrobinka – mnie.

Sunday uparła się, że posprząta w kuchni, a Henry odprowadził Tommy'ego na górę.

– Tommy, dobrze by było, gdyby ktoś ci dotrzymywał towarzystwa w tych okropnych chwilach

– rzekł były prezydent. – Wolałbym cię nie zostawiać samego.

– Nie martw się Henry, nic mi nie będzie. A poza tym dzięki waszej wizycie wcale nie czuję się samotny.

Mimo zapewnień przyjaciela Henry wiedział, że wciąż będzie się martwił i rzeczywiście, troska ogarnęła go już w chwili, gdy Shipman poszedł do łazienki. Constance i Tommy nie mieli dzieci, a wielu ich bliskich przyjaciół po przejściu na emeryturę wyniosło się gdzie indziej, przeważnie na Florydę. Wszechobecny dzwonek pagera zakłócił myśli Henry’ego.

Britland oddzwonił natychmiast z telefonu komórkowego. Szukał go Jack Collins, szef jego ochrony osobistej.

– Przepraszam, że pana niepokoję, panie prezydencie, ale jedna z sąsiadek chce za wszelką cenę przekazać wiadomość panu Shipmanowi. Powiada, że dobra przyjaciółka pana Shipmana, księżna Condazzi z Palm Beach, usiłuje się z nim skontaktować, ale on nie odbiera telefonów i najprawdopodobniej wyłączył automatyczną sekretarkę, więc nie mogła mu zostawić informacji. Z tego, co wiem, ta pani jest mocno zaniepokojona i nalega, by ktoś przekazał panu Shipmanowi, że ona czeka na jego telefon.

– Dziękuję, Jack. Przekażę panu Shipmanowi tę wiadomość. Sunday i ja wychodzimy za parę minut.

– W porządku, sir. Będziemy gotowi.

Księżna Condazzi, pomyślał Henry. Interesujące. Ciekawe, kto to może być?

Jego ciekawość pogłębiła się, gdyż oczy Thomasa rozjaśniły się, a na jego twarzy zagościł uśmiech, kiedy były sekretarz stanu dowiedział się o tym telefonie.

– Betsy dzwoniła? – powiedział. – Jak to miło z jej strony. – Uśmiech zniknął jednak z jego twarzy równie szybko, jak się na niej pojawił. – Może mógłbyś przekazać mojej sąsiadce, że nie

zamierzam przyjmować żadnych rozmów telefonicznych – poprosił. – W tych okolicznościach nie powinienem chyba rozmawiać z nikim oprócz własnego adwokata.

Parę minut później, gdy Henry i Sunday przeciskali się przez tłum dziennikarzy, na podjeździe, tuż koło nich, zatrzymał się lexus. Britlandowie zobaczyli kobietę, która wyskoczyła z samochodu, i korzystając z zamieszania wokół wychodzącej pary prezydenckiej, zdołała bez przeszkód zbliżyć się do domu i wejść do środka, otworzywszy drzwi własnym kluczem.

– To na pewno gospodyni – powiedziała Sunday, która zauważyła także, że ta mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta nosi niewyszukany strój i warkocz upięty wokół głowy. – Niewątpliwie i ona gra jakąś rolę w tym wszystkim, a poza tym któż inny mógłby mieć klucz? No cóż, w każdym razie Tom nie będzie sam.

– Chyba dobrze jej płaci – zauważył Henry. – To bardzo kosztowny samochód.

Po drodze do domu Henry opowiedział Sunday o tajemniczym telefonie od księżnej z Palm Beach. Sunday nie skomentowała tej informacji, ale Henry spostrzegł, że przechyliła głowę i zmarszczyła czoło w sposób, który zdradzał, jak bardzo się niepokoi i głęboko nad czymś rozmyśla.

Jechali nie oznakowanym, ośmioletnim chevroletem, jednym ze specjalnie wyposażonych starych samochodów, których Henry używał zwłaszcza wtedy, gdy obojgu zależało na tym, by ich nikt nie rozpoznał. Jak zwykle, towarzyszyło im dwóch agentów Secret Service: jeden siedział za kierownicą chevroleta, drugi trzymał broń. Gruba szyba oddzielała przednie siedzenia od tyłu samochodu, tak więc Sunday i Henry mogli rozmawiać swobodnie, nie będąc słyszani.

Sunday przerwała wreszcie przedłużające się milczenie:

– Henry, w tej sprawie jest coś dziwnego. Już lektura gazet wzbudziła we mnie niejasne przecucia, ale teraz, po rozmowie z Tommym, jestem tego całkowicie pewna.

– Zgadza się – rzekł Henry. – Z początku przypuszczałem, że szczegóły zbrodni są tak

okropne, iż Tom nie przyznaje się do tego sam przed sobą. – Henry przerwał na chwilę, a potem pokręcił głową. – Ale teraz rozumiem, że tu nie o to chodzi. Tommy naprawdę nie wie, co się zdarzyło. To wszystko wcale do niego nie pasuje! – wykrzyknął. – Niezależnie od tego, o jaką prowokację mogło chodzić – szantaż czy cokolwiek innego – nie mogę uwierzyć, żeby Tommy, nawet po tabletkach nasennych połączonych z martini, mógł tak całkowicie stracić panowanie nad sobą i zabić kobietę! Wystarczyło mi go dziś zobaczyć, by uświadomić sobie, jak bardzo to nieprawdopodobne. Nie znałaś go wówczas, Sunday, ale Tom był szalenie oddany Constance. Po jej śmierci nie załamał się. Cierpiał, ale przeszedł przez tę ciężką próbę doskonale opanowany. – Henry przerwał i jeszcze raz pokręcił głową. – Nie, Tommy naprawdę jest człowiekiem, który w żaden sposób nie pozwoli się sprowokować.

– No cóż, być może potrafił nad sobą zapanować po śmierci żony, ale przecież dał się złapać na haczyk Arabelli Young, choć Connie nie tak dawno zmarła, i musisz przyznać, że to akurat nie najlepiej o nim świadczy.

– Może miał chwilę słabości?

– Cóż, zdarza się oczywiście, że ludzie zakochują się niemal natychmiast po wielkiej stracie i wchodzą w szczęśliwe związki, choć najczęściej bywa inaczej.

– Zapewne masz rację. Nawet to, że Tommy nie ożenił się z Arabellą, choć podarował jej pierścionek zaręczynowy – zaraz, kiedy to było, chyba prawie dwa lata temu? – nawet to dowodzi, że bodaj od początku wiedział, iż to pomyłka.

– No cóż, to wszystko miało miejsce przed moim pojawieniem się na scenie – podjęła temat Sunday – ale śledziłam całą tę historię dzięki prasie, która swego czasu robiła sporo szumu wokół wielkiej miłości statecznego sekretarza stanu do błyskotliwej pani rzecznik, o połowę od niego młodszej. Pamiętam, że widziałam dwie jego fotografie zamieszczone tuż obok siebie: na jednej przytulał publicznie Arabellę, druga była z pogrzebu żony Tommy’ego, a fotograf uchwycił taki

moment, w którym na pewno opadło z biedaka całe opanowanie. Nikt pogrążony w tak ciężkiej żalobie nie potrafi zaznać szczęścia ledwie parę miesięcy później. No i jeszcze te jej stroje – wydawało się, że Arabella nie jest kobietą w jego typie. – Sunday wyczuła raczej, niż zobaczyła, że jej mąż uniósł brew. I dodała:

– Daj spokój. Wiem, że czytasz wszystkie pisma ilustrowane od deski do deski, gdy ja je już przejrzę. Powiedz mi prawdę. Co sądzisz o Arabelli?

– Szczerze mówiąc, staram się w ogóle o niej nie myśleć.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Nie zwykłem źle mówić o umarłych. – Henry umilkł na chwilę. – Ale chyba wiesz, że moim zdaniem, to była hałaśliwa, wulgarna i niezdolna baba. Chyba zresztą dość bystra, ale mówiła tak dużo i szybko, że jej umysł nie nadążał za językiem. A kiedy się śmiała, zawsze się bałem, że za chwilę rozdzwonią się żyrandole.

– To by się zgadzało z tym, co o niej czytałam – orzekła Sunday. Zamilkła na chwilę, a potem odwróciła się do męża. – Henry, jeżeli Arabella rzeczywiście posunęła się wobec Tommy’ego do szantażu, czy nie sądzisz, że mogła tego próbować już wcześniej, z inną osobą? Chodzi mi o to, że być może Tommy stracił przytomność po tabletkce nasennej i martini, a tymczasem do domu bez jego wiedzy wszedł ktoś inny? Ktoś, kto śledził Arabellę i nagle znalazł dogodną sposobność pozbycia się jej i obarczenia winą biednego Tommy’ego?

– A potem zaniósł Tommy’ego na górę i położył go do łóżka? – Henry znów uniósł brew.

Oboje umilkli, gdy samochód skręcał w Garden State Parkway. Sunday patrzyła przez okno na popołudniowe, rozżarzone słońce, kryjące się za drzewami o miedzianych, złotych i purpurowych liściach.

– Uwielbiam jesień – zauważyła z nutą melancholii w głosie. – Bardzo mnie boli myśl, że późną jesień życia Tommy’ego popsuje taka historia. – Zamilkła na chwilę. – Dobrze, rozpatrzmy

inny scenariusz. Znasz Thomasa bardzo dobrze. Załóżmy, że był zły, nawet wściekły, ale jednocześnie chwiał się na nogach i nie potrafił jasno myśleć. Postaw się na chwilę w jego sytuacji: co byś wtedy zrobił?

– Zrobiłbym to, co obaj zwykliśmy czynić, gdyśmy się znaleźli w takim stanie ducha podczas jakiejś konferencji na szczycie. Każdy z nas potrafiłby ocenić, że jest zbyt zmęczony albo zbyt rozgniewany – czy też jedno i drugie – by jasno myśleć, i po prostu poszedłby spać.

Sunday klepnęła męża po ręce.

– Właśnie o to mi chodzi. Załóżmy, że Henry rzeczywiście powlókł się na górę z własnej woli, zostawiając Arabelle na dole. I załóżmy, że ktoś naprawdę szedł za nią tego wieczoru i wiedział, gdzie ona jest. Musimy się dowiedzieć, z kim Arabella romansowała przedtem. I powinniśmy porozmawiać z gospodynią Tommy’ego. Wyszła z domu w chwilę po pojawieniu się Arabelli. Może zauważyła jakiś samochód zaparkowany na ulicy. I jeszcze ta księżna z Palm Beach, która telefonowała i tak pilnie pragnęła rozmawiać z Tommym... Trzeba się z nią skontaktować; zapewne nie ma to większego znaczenia, ale nigdy nie wiadomo, co ta pani może nam powiedzieć.

– Zgoda – rzekł Henry, pełen podziwu dla żony. – Jak zwykle, rozumujemy podobnie, tylko ty dotarłaś już nieco dalej. Nie pomyślałem o rozmowie z księżną. – Henry otoczył żonę ramieniem i przygarnął ją do siebie. – Chodź do mnie. Czy wiesz, że nie pocałowałem cię ani razu od jedenastej dziesiątej? – zapytał czule.

Sunday musnęła jego wargi koniuszkiem palca.

– Och, więc nie tylko mój żelazny umysł działa na ciebie?

– Zgadłaś. – Henry pocałował koniuszek jej palca, potem chwycił ją za rękę i przytrzymałby usunąć wszelkie przeszkody, które dzieliły ich usta.

Sunday odsunęła się trochę.

– Jeszcze jedna sprawa, Henry. Musisz doprowadzić do tego, by Tommy nie poszedł na żadną

ugodę z prokuratorem, przynajmniej tak długo, jak długo będziemy próbowali mu pomóc.

– A jak miałbym to osiągnąć? – zapytał Henry.

– Drogą polecenia służbowego, ma się rozumieć.

– Kochanie, nie jestem już prezydentem.

– Owszem, ale pozostałeś nim w oczach Tommy’ego.

– Dobrze, spróbuję. A oto jeszcze jedno polecenie służbowe: przestań mówić.

Agenci Secret Service siedzący na przednich siedzeniach zerknęli w lusterko wsteczne i wymienili uśmiechy.

Nazajutrz rano Henry zerwał się o wschodzie słońca, by pojeździć konno po swej rozległej posiadłości w towarzystwie zarządcy. O wpół do dziewiątej Sunday zeszła, by zjeść z mężem śniadanie w jadalni, której okna wychodziły na klasyczny ogród angielski za domem. Wystrój pokoju harmonizował z krajobrazem: mnóstwo roślinnych grafik na tle lnianej belgijskiej tapety w pasy. Dzięki temu wydawało się, że jadalnia jest zawsze wypełniona kwiatami. Ten pokój nie miał nic wspólnego z mieszkaniem w dwurodzinnym domku w Jersey City, w którym ona sama się wychowała i w którym do tej pory mieszkali jej rodzice.

– Pamiętaj, że posiedzenia Kongresu zaczynają się w przyszłym tygodniu – przypomniała mężowi Sunday, sięgając po drugą filiżankę kawy. – Jeśli mogę w jakiś sposób pomóc

Tommy’emu, muszę się do tego zabrać natychmiast. Moim zdaniem, powinnam zacząć od zdobycia wszelkich informacji na temat Arabelli. Czy Marvin przygotował już dane, o które go prosiliśmy?

Chodziło o Marvina Kleina, szefa biura Henry’ego. Biuro mieściło się w dawnej powozowni.

Marvin, z właściwym mu poczuciem humoru, nazywał sam siebie szefem biura rządu na

wygnaniu, nawiązując do faktu, że pod koniec drugiej kadencji Henry’ego Britlanda opinia

publiczna coraz wyraźniej zaczęła się skłaniać ku usunięciu przepisu, zgodnie z którym prezydent

Stanów Zjednoczonych może sprawować urząd tylko przez dwie kadencje. Sondaże wykazały, że

osiemdziesiąt procent wyborców jest zdania, iż owo ograniczenie powinno dotyczyć wyłącznie sytuacji, gdy dwie kadencje następują po sobie. Bez wątpienia większa część amerykańskiego społeczeństwa życzyła sobie powrotu Henry'ego Parkera Britlanda IV do rezydencji na Pennsylvania Avenue 1600.

– Właśnie dostałem jego raport. – powiedział Henry. – Już go przeczytałem. Wygląda na to, że ostatnimi czasy Arabella zdołała zatrzeć większość śladów swojej przeszłości. Informatorzy Marvinowi dotarli jednak do kilku ciekawych faktów, jak choćby ten, że poprzednie małżeństwo Arabelli zakończyło się rozwodem, który doprowadził jej byłego męża do ruiny, oraz że jej wieloletni, choć czasem popadający w niełaszkę przyjaciel, Alfred Barker, przez jakiś czas siedział w więzieniu za łapówki. Wiesz, środowisko sportowców...

– Naprawdę? Czy jest w tej chwili na wolności?

– Owszem, moja droga, a na dodatek zjadł z Arabellą kolację tego wieczoru, gdy ją zamordowano.

Sunday otworzyła usta ze zdumienia.

– Kochanie, w jaki sposób Marvin zdołał się tego wszystkiego dowiedzieć?

– No cóż, wiem tylko, że ma swoje źródła. Co więcej, zdaje się, że Alfred Barker mieszka w Yonkers, a to bardzo blisko Tarrytown, jak ci zapewne wiadomo. Były mąż Arabelli podobno ożenił się powtórnie i wyniósł stąd.

– Marvin dowiedział się tego wszystkiego w ciągu jednej nocy? – zapytała Sunday, której oczy aż pojaśniały z podniecenia.

Henry pokiwał głową, gdy Sims, główny lokaj, ponownie napełnił jego filiżankę kawą.

– Dziękuję, Sims. To jeszcze nie wszystko – ciągnął. – Marvin uzyskał informację, że Alfredowi Barkerowi prawdopodobnie nadal zależy na Arabelli, choć to może brzmi nieprawdopodobnie, i że ostatnio przechwalał się przed znajomymi, iż Arabella zamierza do niego

wrócić, gdy już wpakuje swego staruszka w kabałę.

– Czym Barker się teraz zajmuje? – zagadnęła Sunday.

– No cóż, teoretycznie prowadzi sklep z urządzeniami hydraulicznymi, ale informator Marvina twierdzi, że to jedynie fasada dla rozmaitych machinacji, którymi Barker się zajmuje nader gorliwie. Jednakowoż mnie najbardziej przypadła do gustu informacja o tym, że ten facet znany jest ze swego gwałtownego temperamentu, zwłaszcza gdy ktoś mu nadepnie na odcisk.

Sunday zmarszczyła czoło.

– Hm. Zastanówmy się chwilę. Barker zjadł kolację z Arabellą tuż przed tym, zanim ona wprosiła się do Tommy’ego. Barker nie znosi, by go ktoś obrażał, a więc zapewne jest też szalenie zazdrosny, a przy tym ma wybuchowe, gwałtowne usposobienie. – Sunday spojrzała na męża. –

Czy myślisz o tym samym, co ja?

– Oczywiście.

– Wiedziałaś, że to zbrodnia z namiętności! – wykrzyknęła podniecona Sunday. – Wygląda jednak na to, że nie chodziło tu o namiętność Tommy’ego. Jeszcze dziś wybiorę się do Barkera i do gospodyni Thomasa. Jak ona się nazywa?

– Chyba Dora – odparł Henry. Po chwili poprawił się: – Nie, tak się nazywała ich poprzednia gospodyni. Wspaniała starsza pani. Zdaje mi się, że przeszła na emeryturę niedługo po śmierci Constance. Nie, o ile mnie pamięć nie myli, jego obecna gospodyni, ta, którą widzieliśmy wczoraj, nazywa się Lillian West.

– Właśnie. Kobieta z warkoczem, jeżdżąca lexusem – powiedziała Sunday. – No więc ja zajmę się Barkerem i gospodynią. A co ty zamierzasz robić?

– Polecę do Palm Beach, żeby się spotkać z księżną Condazzi, ale wrócę do domu na kolację.

A ty, kochanie, musisz mi obiecać, że będziesz uważała. Pamiętaj, że ten Alfred Barker to nieciekawy typ. Wolałbym, żebyś nie dawała wychodnego chłopcom z Secret Service.

– W porządku.

– Nie żartuję, Sunday – powiedział Henry cichym, poważnym tonem, który członków jego gabinetu przyprawiał czasem o drżenie kolan.

– Widzę, że z tobą naprawdę nie ma żartów – uśmiechnęła się Sunday. – No dobrze, obiecuję. Pozwolę się chronić przez cały czas. A tobie życzę wysokich lotów. – Ucałowała męża w czubek głowy i opuściła jadalnię, nucąc „Niech żyje wódz”.

Cztery godziny później, gdy już jet Henry’ego bezpiecznie wylądował na lotnisku w West Palm Beach, jego właściciel stanął przed pałacem w hiszpańskim stylu, gdzie mieszkała księżna Condazzi.

– Zaczekaj tu – przykazał swemu ochroniarzowi.

Księżna była niewysoką, szczupłą panią po sześćdziesiątce, o miłej twarzy i spokojnych zielonych oczach. Przywitała Henry’ego nad wyraz serdecznie i ciepło, po czym od razu przeszła do rzeczy.

– Szalenie mnie ucieszył pański telefon, panie prezydencie – powiedziała. – Gdy przeczytałam w gazetach o strasliwym położeniu Tommy’ego, bardzo chciałam z nim porozmawiać.

Wyobrażam sobie, jak musi cierpieć, ale nie odpowiada na moje telefony. Otóż ja wiem, że Tommy nie mógł popełnić tej zbrodni. Byliśmy przyjaciółmi od czasów dzieciństwa, chodziliśmy razem do szkoły, do college’u, i nigdy nie zdarzyło się, by Tommy stracił panowanie nad sobą. Nawet jeśli inni byli nieco podchmieleni czy rozluźnieni, jak to zwykle na studenckich balach, on, choćby i sam trochę wypił, nie przestawał być dżentelmenem. Opiekował się mną, a po balu zawsze odprowadzał mnie do domu. Nie, Tommy w żadnym razie nie byłby do tego zdolny.

– Myślę tak samo jak pani – zgodził się Henry – A więc dorastaliście razem?

– Mieszkaliśmy naprzeciwko siebie w Rye. Chodziliśmy ze sobą w college’u, ale później on spotkał Constance, a ja Eduarda Condazziego, który pochodził z Hiszpanii. Wyszłam za męża, a rok

później, gdy brat Eduarda zmarł, mój mąż odziedziczył po nim tytuł i rodzinne winnice, więc przenieśliśmy się do Hiszpanii. Eduardo zmarł trzy lata temu. Z kolei mój syn odziedziczył tytuł książęcy i mieszka wciąż w Hiszpanii, ale ja uznałam, że czas wracać do domu. I wtedy, po tylu latach, natknęłam się na Tommy'ego, który odwiedzał tu jakichś przyjaciół podczas weekendu przeznaczonego na grę w golfa. To było doprawdy cudowne spotkanie. Miałam uczucie, że czas się cofnął.

A miłość zapłonęła na nowo, pomyślał Henry.

– Księżno...

– Betsy – poprawiła go zdecydowanie.

– W porządku, Betsy, muszę zadać bezpośrednie pytanie. Czy ty i Tommy zaczęliście na nowo to, co się rozpadło wiele lat temu?

– I tak, i nie – odparła Betsy z namysłem. – Nie ukrywałam, jak bardzo się cieszę, widząc go znowu, i sądzę, że on także żywił podobne uczucia. Ale wydaje mi się, że Tommy nigdy nie uporał się z żałobą po Constance. Rozmawialiśmy o tym bardzo wiele. Nie wątpię, że cała historia z Arabellą Young była próbą ucieczki przed smutkiem. Radziłam mu, by porzucił tę osobę, żeby dał sobie trochę czasu na żałobę, sześć miesięcy, może rok. A potem powinien do mnie zadzwonić i zabrać mnie na bal.

Henry przyglądał się twarzy Betsy Condazzi, jej melancholijnemu uśmiechowi, jej oczom przepełnionym wspomnieniami.

– A on się na to zgodził?

– Niezupełnie. Powiedział, że zamierza sprzedać dom i przenieść się tu na stałe. – Uśmiechnęła się. – Oświadczył, że o wiele wcześniej niż za sześć miesięcy będzie gotów zabrać mnie na bal.

Henry milczał chwilę, zanim zadał następne pytanie:

– Gdyby Arabella Young sprzedała brukowcom historyjkę o tym, że za mojej kadencji

prezydenckiej, jeszcze przed śmiercią Constance, Tommy i ja urządzaliśmy dzikie orgie w Białym Domu, jaka by była twoja reakcja?

– Ależ nigdy bym w to nie uwierzyła – oświadczyła księżna z całym przekonaniem. -Tommy zna mnie na tyle, by nie zważyć w moje zaufanie.

W drodze powrotnej na lotnisko Newark Henry pozwolił swemu pilotowi przejąć stery. Sam pogrążył się w głębokiej zadumie. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że Tommy wpadł w jakąś pułapkę. Bez wątplenia jego przyjaciel wiedział, że przyszłość może mu przynieść jeszcze jedną porcję szczęścia, a on nie musi bronić tej możliwości, zabijając kogokolwiek. Nie, Tommy po prostu nie miał żadnego powodu, by zamordować Arabelle Young. Ale jak to udowodnić? Henry zastanawiał się, czy Sunday dopisało szczęście w poszukiwaniach prawdopodobnego motywu tego zabójstwa.

Alfred Barker zdecydowanie nie budzi sympatii, wystarczy jeden rzut oka, pomyślała Sunday, zasiadając naprzeciwko niego na zapleczu sklepu z urządzeniami hydraulicznymi.

Miała przed sobą tęgiego, postawnego czterdziestoletniego mężczyznę, o ziemistej cerze, oczach przesłoniętych ciężkimi powiekami i przetykanych tu i ówdzie siwizną ciemnych włosów, zaczesanych tak, by ukryć najwyraźniej powiększającą się łysinę. Spod rozpiętej koszuli Barkera wysuwało się natomiast mnóstwo włosów porastających tors. Sunday zauważyła jeszcze jedną cechę szczególną: nieregularną bliznę na prawej ręce mężczyzny.

Sunday pomyślała przez chwilę z satysfakcją o szczupłym, muskularnym ciele Henry'ego, o jego przyjemnej aparycji, słynnej „upartej” szczęce i ciemnobrązowych oczach, które potrafią przekonująco wyrazić lub – w razie potrzeby – ukryć każdą emocję. I choć niejednokrotnie drwiła z wszechobecności agentów Secret Service – przecież nigdy nie była Pierwszą Damą, dlaczego więc miałyby ich potrzebować teraz? – to jednak właśnie w tym momencie, skazana na przebywanie sam na sam z wrogo do niej nastawionym mężczyzną w tym obrzydliwym

pomieszczeniu, cieszyła się, że jej goryle stoją tuż za lekko uchylonymi drzwiami.

Przedstawiła się jako Sandra O'Brien, a Alfred Barker najwyraźniej nie wiedział, że druga część jej nazwiska to Britland.

– No więc dlaczego chcesz rozmawiać ze mną o Arabelli? – spytał, zapalając cygaro.

– Pragnęłabym najpierw wyrazić ubolewanie z powodu jej śmierci – powiedziała szczerze Sunday. – Domyślam się, że byliście sobie bardzo bliscy. Ale tak się składa, że ja znam pana Shipmana. – Sunday przerwałaaby po chwili wyjaśnić: – Mój mąż pracował swego czasu razem z nim. I zdaje się, że istnieją dwie sprzeczne wersje na temat tego, kto zerwał związek – on czy ona.

– I co z tego? Arabella miała dość tego starucha – powiedział Barker. – Zawsze kochała mnie.

– Ale przecież zaręczyła się z Thomasem Shipmanem – zauważyła Sunday.

– No tak, ale ja wiedziałem, że to nie potrwa długo. On dysponował tylko grubym portfelem.

Kiedy Arabella miała osiemnaście lat, wyszła za mąż za jakiegoś idiotę, który był tak głupi, że każdego ranka trzeba mu było przypominać, jak się nazywa. Tylko że Arabella to spryciuła. Facet mógł sobie być głupi, ale warto było się do niego przyczepić, jako że miał niezłe nadzianą rodzinę.

Trzymała się go przez trzy czy cztery lata, pozwoliłaby zapłacić za jej college, dentystę i inne duperele, aż doczekała się śmierci jakiegoś bogatego wujaszka męża. A jak mężulek dostał forszę, Arabella go zostawiła. Niezłe się obłowila dzięki rozwodowi. – Alfred Barker jeszcze raz zapalił swoje cygaro i hałaśliwie wydmuchnął dym, rozwalając się na krześle. – Sprytna z niej bestyjka.

– I wtedy zaczęliście się widywać? – zagadnęła Sunday.

– Tak. Ale ja miałem małe nieporozumienie z wymiarem sprawiedliwości i wylądowałem w ciupie. Arabella znalazła robotę w jakiejś modnej firmie reklamowej i kiedy nadarzyła się okazja, żeby przejść do oddziału w Waszyngtonie, nie wypuściła jej z rąk. – Barker zaciągał się cygarem i kasłał głośno. – Mowy nie ma, żeby Arabella przepuściła moment, by wspiąć się wyżej, i ja też wcale jej od tego nie odmawiałem. Gdy w zeszłym roku wyszedłem z kicia, dzwoniła do mnie od

czasu do czasu i opowiadała o tym durniu Shipmanie. Ale to był niezły układ, bo on ciągle jej kupował biżuterię i dzięki niemu spotykała znanych ludzi. – Barker pochylił się nad biurkiem i ciągnął ze znaczącym uśmiechem: – Nawet prezydenta, Henry’ego Parkera Britlanda IV. – Znów przerwał i poprawił się na krześle. Spojrzał na Sunday wyzywająco: – Ilu ludzi w tym kraju siedziało kiedyś przy jednym stole z prezydentem Stanów Zjednoczonych i wymieniało z nim żarty? Ty siedziałaś?

– Nie – odpowiedziała Sunday uczciwie, przypominając sobie ów wieczór w Białym Domu, kiedy to odrzuciła zaproszenie Henry’ego na kolację.

– Rozumiesz, o czym mówię? – tryumfował Barker.

– No tak, nic dziwnego, że sekretarz stanu, Thomas Shipman, mógł zapewnić Arabelli wiele atrakcyjnych znajomości. Ale Shipman twierdzi, że to on zerwał ten związek, nie Arabella.

– Tak. I co z tego?

– Więc dlaczego miałby ją zabijać?

Twarz Barkera pociemniała, kiedy uderzył pięścią w stół.

– Ostrzegałem ją, żeby nie próbowała z nim tej sztuczki z prasą. Mówiłem jej, że tym razem ma do czynienia z kimś innym. Ale kiedyś już jej się to udało i nie usłuchała mnie.

– A więc próbowała tego już wcześniej! – wykrzyknęła Sunday, bo przecież dokładnie taki scenariusz przedstawiła Henry’emu. – Kogo jeszcze próbowała szantażować?

– Jakiegoś faceta, z którym pracowała. Nie znam jego nazwiska. To płotka. Ale nie warto robić zamieszania wokół faceta, który ma taką prasę jak Shipman. Pamiętasz, co zrobił Fidelowi?

– Czy Arabella dużo opowiadała o swoich próbach szantażowania Shipmana?

– Nie za wiele, i tylko mnie. Cały czas jej tłumaczyłem, żeby dała sobie spokój, ale wyliczyła, że nieźle na tym zarobi. – Coś jakby łza zalśniło przelotnie w oku Barkera. – Naprawdę ją lubiłem. Ale była strasznie uparta. Nie chciała mnie słuchać. – Zamyślił się na chwilę. – Ostrzegałem ją.

Pokazywałem jej nawet ten cytat.

Sunday nerwowo poruszyła głową, reagując mimowolnie na ostatnie zdanie Barkera.

– Lubię cytaty – powiedział. – Czytam je sobie dla śmiechu, dla nauki i tak w ogóle, rozumiesz chyba.

– Mój mąż też bardzo lubi cytaty – pokiwała głową Sunday. – Twierdzi, że można w nich znaleźć mnóstwo mądrości.

– No właśnie, o to mi chodzi! A co robi twój mąż?

– W tej chwili nie ma żadnej pracy – odparła Sunday, przyglądając się swoim dłoniom.

– Kiepska sprawa. A zna się na hydraulice?

– Nie bardzo.

– Myślisz, że nadawałby się do różnych numerów?

Sunday pokręciła głową z wyrazem smutku na twarzy.

– Nie, przeważnie siedzi w domu. Dużo czyta, na przykład cytaty, o których wspominałeś – powiedziała, próbując naprowadzić rozmowę na poprzedni tor.

– No właśnie, ten, który czytałem Arabelli, pasuje do niej jak ulał, aż dziw bierze. Miała długi język. Naprawdę długi język. Natknąłem się kiedyś na ten wierszyk i pokazałem jej go później.

Zawsze powtarzałem, że przez ten długi język napyta sobie kiedyś biedy, i miałem rację.

Barker grzebał w najwyższej szufladzie biurka, po czym wyciągnął poszarpany skrawek papieru.

– O proszę, jest. Przeczytaj sobie.

Wcisnął Sunday stronę wyrwaną bez wątpienia ze zbioru cytatów. Fragment zakreślony na czerwono brzmiał następująco:

Pod tymi ciężkimi, cmentarnymi glazami,

Złożono naszą Young Arabellę,

Co dopiero w majową niedzielę,

Nauczyła się trzymać język za zębami.

– To pochodzi ze starego angielskiego nagrobka. Jak obszył! Oprócz daty wszystko się zgadza, prawda? – Barker westchnął ciężko i opadł z powrotem na krzesło. – Oj, będzie mi brakowało panny Arabelli. To była rozrywkowa dziewczyna.

– Jadłeś z nią kolację tamtego wieczoru, prawda?

– Tak.

– Czy podwiozłeś ją potem pod dom Shipmana?

– Nie. Mówiłem jej, żeby sobie dała z nim spokój, ale nie chciała słuchać. No więc wsadziłem ją do taksówki. Zamierzała pożyczyć od niego samochód, żeby wrócić do domu. – Barker pokiwał głową. – Tyle że nie miała zamiaru tego samochodu oddać. Była pewna, że Shipman da jej wszystko, byle tylko nic nie opowiadała prasie. No i popatrz, co facet jej zrobił. – Barker wstał z twarzą wykrzywioną grymasem szczerego gniewu. – Mam nadzieję, że posadzą go na krzeselku!

Sunday wtrąciła się natychmiast:

– W stanie Nowy Jork karę śmierci wykonuje się przez wstrzyknięcie specjalnej substancji, ale rozumiem twoje uczucia. Powiedz mi, co robiłeś potem, kiedy już Arabella wsiadła do taksówki?

– Spodziewałem się, że będą mnie o to pytać, ale gliny nawet nie chciały ze mną rozmawiać.

Od razu wiedzieli, że mają mordercę w ręku. A ja, kiedy już Arabella wsiadła do taksówki, zabrałem swoją matkę do kina. Robię to raz w miesiącu. Przyszedłem po nią za piętnaście dziewiąta, a za dwie dziewiąta staliśmy w kolejce po bilety. Bileter mnie zna. Dzieciak, który sprzedaje prażoną kukurydzę, też mnie zna. Obok nas siedziała w kinie koleżanka matki, która wie, że nie wychodziłem z sali. Ja nie zamordowałem Arabelli, ale za to wiem, kto to zrobił!

Barker rąbnął pięścią w stół, zrzucając przy tym pustą butelkę na podłogę.

– A jeżeli chcesz pomóc Shipmanowi, to mu przytulnie urządz celę!

U boku Sunday stali już dwaj jej ochroniarze ze wzrokiem utkwionym w Barkerze.

– Na twoim miejscu nie hałasowałbym tak w obecności tej damy – zasugerował jeden z nich lodowatym tonem.

Od chwili gdy Sunday przekroczyła próg tej kanciapy, Barker po raz pierwszy zapomniał języka w gębie.

Thomas Acker Shipman nie był zachwycony telefonem Marvina Kleina, który przekazał mu prośbę prezydenta, by wstrzymać na razie zabiegi o ugodę z prokuraturą. Czy to ma jakiś sens?

Shipman zastanawiał się nad tym niezadowolony. Tak czy inaczej, będzie musiał pójść do więzienia i naprawdę wolałby to już mieć za sobą. A poza tym ten dom był już w pewnym sensie więzieniem. Gdy sprawa zostanie zamknięta, dziennikarze przez chwilę skoncentrują na nim swoją uwagę, ale potem dadzą mu spokój i dopadną innego nieszczęśnika. Sześćdziesięcioletni mężczyzna, który trafia za kratki na dziesięć czy piętnaście lat, nie pozostanie bohaterem pierwszych stron gazet zbyt długo.

Jedyny powód, jaki ich tu trzyma, pomyślał Shipman, wyglądając przez okno, przed którym wciąż obozowali reporterzy, to spekulacje wokół tego, czy się zgodzę na śledztwo i proces. Gdy to się rozstrzygnie, kiedy się okaże, że się poddam bez walki, stracą zainteresowanie całą sprawą.

Tego ranka, punktualnie o ósmej, zjawiała się jego gosposia, Lillian West. Miał nadzieję, że zniechęci ją, zakładając łańcuch w drzwiach, ale najwyraźniej osiągnął tylko tyle, że bardziej niż kiedykolwiek uparła się, iż wejdzie do środka. Gdy nie udało jej się otworzyć kluczem, nacisnęła dzwonek u drzwi i dzwoniła tak długo, aż Shipman wreszcie ją wpuścił.

– Ktoś się musi panem zająć, czy pan sobie tego życzy, czy nie – powiedziała, lekceważąc całkowicie jego obiekcje, które wyrażał już poprzedniego dnia, tłumacząc, że nie chciałby, aby dziennikarze wtrącali się w jej prywatne życie z jego powodu, a także podkreślając, że w zasadzie wolałby zostać sam.

Tak więc gospościa zabrała się do swoich codziennych obowiązków, do sprzątanego pokoi, w których on nigdy już nie będzie mieszkał, do przygotowywania posiłków, na które nie miał apetytu. Shipman obserwował jej krzątanie. Lillian była przystojną kobietą, znakomitą gospodynią i kucharką, ale jej autorytarne zapędy od czasu do czasu kierowały jego myśli ku Dorze, gosposi, która pracowała u niego i Connie przez dwadzieścia lat. Choć zdarzyło jej się nie raz i nie dwa przypalić to czy owo, jednak zawsze była uroczym domownikiem.

Dora wyznawała tradycyjne zasady, Lillian natomiast najwyraźniej wierzyła w równość pracodawcy i pracownika. Shipman doszedł jednak do wniosku, że przez tych parę dni, które jeszcze spędzi na wolności, jakoś zniesie obecność Lillian. Skupi się po prostu na pozytywnych stronach jej towarzystwa: będzie się cieszył smakowitymi potrawami i dobrze dobranym winem. Shipman musiał wreszcie przyznać, że nie może całkowicie odizolować się od świata i powinien mieć kontakt z własnym adwokatem, włączył więc sekretarkę automatyczną i zaczął odbierać telefony, ale tylko te, które naprawdę należało odebrać. Gdy jednak usłyszał głos Sunday, podniósł słuchawkę, nie kryjąc radości.

– Tommy, dzwonię z samochodu, bo właśnie jadę do ciebie z Yonkers – wyjaśniała Sunday. –

Chciałabym porozmawiać z twoją gosposią. Zdaje się, że jest u ciebie dzisiaj, a jeśli nie, to pewnie wiesz, gdzie ją mogę złapać?

– Lillian jest tutaj.

– Świetnie. Nie pozwól jej wyjść, dopóki z nią nie porozmawiam. Będę u ciebie za godzinę.

– Nie wyobrażam sobie, by mogła powiedzieć ci coś, czego jeszcze nie usłyszała policja.

– Tommy, właśnie rozmawiałam z chłopakiem Arabelli. Wiedział o jej planach wyduszenia z ciebie pieniędzy i z tego, co mówił, wnoszę, że zastosowała podobny chwyt wobec jeszcze jednej osoby. Musimy się dowiedzieć, o kogo chodziło. Nie można wykluczyć, że ktoś śledził Arabelle, gdy wybrała się do ciebie tej nocy, i mam nadzieję, że może Lillian coś zauważyła, wychodząc

wówczas z domu – na przykład samochód – coś, na co nie zwróciła szczególnej uwagi, a co teraz może okazać się ważne. Policja nigdy nie interesowała się ewentualnymi innymi podejrzanymi i dlatego Henry i ja zamierzamy się tym zająć, nie wierzymy bowiem, że ty to zrobiłeś. Głowa do góry! To jeszcze nie koniec!

Gdy Shipman odłożył słuchawkę i odwrócił się, spostrzegł, że w drzwiach stoi Lillian West.

Nie miał wątpliwości, że słuchała jego rozmowy. Uśmiechnął się jednak przyjaźnie i rzekł:

– Pani Britland właśnie tu jedzie, żeby z tobą porozmawiać. Ona i prezydent sądzą, że mimo wszystko nie zabiłem Arabelli, i prowadzą coś w rodzaju śledztwa na własną rękę. Mają jakąś teorię, która może mi pomóc, i pani Britland chce z tobą o tym porozmawiać.

– To cudownie – powiedziała Lillian West jakimś chłodnym i bezbarwnym głosem. – Nie mogę się doczekać rozmowy z nią.

Sunday natomiast zadzwoniła do Henry'ego, który wciąż leciał samolotem. Wymienili zdobyte do tej pory informacje. Gdy Sunday ujawniła najważniejszy atut, czyli fakt, że Arabella miała zwyczaj szantażować swoich kochanków, dorzuciła natychmiast zastrzeżenie:

– Istnieje jednak pewien poważny problem: niezależnie od tego, kto jeszcze mógł chcieć zabić Arabellę, trudno będzie udowodnić, że wszedł do domu niezauważony, naładował pistolet, który właśnie tam leżał, a potem nacisnął spust.

– To będzie trudne, ale nie niemożliwe – zapewnił ją Henry. – Marvin zaraz zacznie sprawdzać ostatnie miejsca pracy Arabelli, więc może się dowiemy, z kim tam romansowała.

Pożegnawszy się z Sunday, Henry zaczął rozważać wszystko, czego się do tej pory dowiedział na temat przeszłości Arabelli. Czuł się nieswojo, w żaden sposób nie potrafił skleić tego w całość. Narastało w nim poczucie, że coś tu się nie zgadza, nie mógł jednak znaleźć właściwego klucza do sprawy.

Wyciągnął się w swym obrotowym fotelu, który był jego najbardziej ulubionym miejscem

w całym samolocie, jeśli nie liczyć pulpitu sterowniczego. Coś dziwnego kryło się w opowieści Sunday, tylko co? Henry odtwarzał niemal każde słowo ich rozmowy. No jasne, pomyślał, gdy przypomniał sobie, że Sunday martwiła się, iż trudno będzie udowodnić, że ktoś całkiem obcy wszedł do domu Tommy'ego, naładował broń i nacisnął spust.

Otóż to! To wcale nie musiał być ktoś obcy. Jest jedna osoba, która mogła to zrobić, która zdawała sobie sprawę, że Tommy jest chory i nieprzytomnie zmęczony, która wpuściła Arabellę do domu. Gosposia!

Ta kobieta zaczęła pracować u Shipmana nie tak dawno. Niewykluczone, że Tommy nie sprawdził zbyt dokładnie jej przeszłości, że niewiele o niej wie.

Henry zatelefonował natychmiast do księżnej Condazzi. Oby tylko była w domu, modlił się w duchu. Gdy usłyszał znajomy głos, bez ogródek przystąpił do rzeczy:

– Betsy, czy Tommy rozmawiał z tobą kiedykolwiek o swojej gospodynie?

Księżna zawahała się na chwilę.

– Owszem, ale tylko żartem.

– Co masz na myśli?

– Och, chyba rozumiesz – odparła. – Jest tyle pięćdziesięcioletnich czy sześćdziesięcioletnich samotnych kobiet i tak niewielu mężczyzn. Gdy rozmawiałam z Tommym ostatnio – rankiem, w dniu śmierci tej nieszczęsnej dziewczyny – powiedziałam, że mam z tuzin owdowiałych lub rozwiedzionych przyjaciółek, które będą bardzo zazdrosne z powodu jego zainteresowania moją osobą, i jeśli się tu pojawi, znajdzie się w centrum uwagi. Powiedział, że wyłączywszy mnie, zamierza się trzymać z daleka od samotnych kobiet i że miał już jakieś nieprzyjemne doświadczenie tego rodzaju. – Księżna przerwała na chwilę. – Chyba dopiero tamtego ranka powiedział swojej gosposi, że zamierza sprzedać dom i przenieść się do Palm Beach. Zwierzył się jej, że zerwał z Arabellą, bo ktoś inny stał się dla niego ważny. Potem, gdy sobie przypomniał tę rozmowę

i zachowanie gosposi, zrozumiał, że mogła pomyśleć, iż chodzi mu właśnie o nią. Dlatego później celowo podkreślił, że oczywiście będzie musiał zrezygnować z jej usług, gdy już sprzeda dom, i że nie zamierza jej zabierać na Florydę. Powiedział, że w pierwszej chwili wydała mu się zaszokowana tą wiadomością, a potem zaczęła traktować go chłodno i z dystansem. – Księżna znów umilkła, a po chwili jęknęła: – Boże mój, nie sądzisz chyba, że ona ma coś wspólnego z całą tą historią, w którą się wplątał Tommy?

– Obawiam się, że tak właśnie może być, Betsy – odparł Henry. – Słuchaj, zadzwonię do ciebie później. Muszę się tym zająć natychmiast.

Britland przerwał rozmowę i wystukał numer Marvinina Kleina.

– Marvin – powiedział – Mam pewne podejrzenia co do gosposi Thomasa Shipmana, niejkiej Lillian West. Przygotuj pełny raport na jej temat. Natychmiast.

Marvin Klein nie lubił łamać prawa, kontrolując fiszki komputerowe osób prywatnych, wiedział jednak, że szef nie użyłby słowa „natychmiast”, gdyby sprawa nie była naprawdę pilna.

Po paru minutach miał już w ręku dossier pięćdziesięciosześcioletniej Lillian West, zawierające nie tylko rejestr jej licznych wykroczeń drogowych, ale także listę miejsc, w których była zatrudniona. Marvin zmarszczył brwi, gdy zaczął czytać te informacje. Lillian West ukończyła college, miała też tytuł magistra i uczyła sztuki bilansowania budżetu domowego w różnych szkołach, ostatnio w Wren College w New Hampshire. Sześć lat temu porzuciła to zajęcie i zaczęła pracować jako gosposia.

W ciągu tych sześciu lat czterokrotnie zmieniała posadę. Otrzymywała dobre, choć dalekie od entuzjazmu referencje, podkreślające jej punktualność, fachowość i umiejętności kulinarne. Marvin postanowił osobiście sprawdzić te referencje.

W niespełna pół godziny od rozmowy telefonicznej z byłym prezydentem Marvin sięgnął po słuchawkę.

– Sir, według zdobytych przeze mnie informacji, Lillian West miała częste konflikty z przełożonymi w czasie swej pracy nauczycielskiej w rozmaitych college'ach. Sześć lat temu porzuciła zawód wykładowcy i przyjęła posadę gosposi u pewnego wdowca w Vermont. Pracodawca zmarł sześć miesięcy później, podobno na zawał. Pani West zaczęła pracować u pewnego rozwiedzionego dyrektora, który, niestety, również zmarł przed upływem roku. Zanim zaangażowała się u pana Shipmana, prowadziła dom osiemdziesięcioletniemu milionerowi, który wprawdzie ją wyrzucił, ale dał jej dobre referencje. Rozmawiałem z nim. Twierdził, że pani West rzeczywiście znakomicie wywiązywała się ze swoich obowiązków i dobrze gotowała, ale była szalenie zarozumiała i nie uznawała tradycyjnych stosunków między gospodynią a pracodawcą. Ów milioner postanowił ją zwolnić, gdy się zorientował, że pani West ma wobec niego plany matrymonialne, i w krótki czas potem rzeczywiście pokazał jej drzwi.

– Czy ten człowiek miał jakieś kłopoty zdrowotne? – zapytał cicho Henry Britland, analizując rozmaite aspekty historii Lillian West.

– Zapytałem go o to, sir. Dowiedziałem się, że teraz cieszy się doskonałym zdrowiem, ale przez kilka tygodni, zwłaszcza po wręczeniu wypowiedzenia Lillian West, odczuwał straszliwe zmęczenie, które doprowadziło do nieznanej choroby, z niej zaś wywiązało się zapalenie płuc. Tommy także mówił o poważnym przeziębieniu i ogromnym znużeniu. Henry zacisnął rękę na słuchawce:

– Dobra robota, Marvin, dziękuję.

– Sir, obawiam się, że to jeszcze nie wszystko. Okazuje się, że pani West jest miłośniczką polowania i najprawdopodobniej doskonale zna się na broni palnej. Rozmawiałem także z rektorem Wren College, w którym zakończyła swą karierę nauczycielską. Jego zdaniem, pani West została zmuszona do rezygnacji z pracy. Rektor twierdził, że zauważono u niej symptomy świadczące o silnym niezrównoważeniu psychicznym, ale ona zdecydowanie odmówiła konsultacji lekarskiej.

Henry zakończył rozmowę z Kleinem, obłany zimnym potem. Sunday zamierzała ni mniej, ni więcej, tylko porozmawiać z Lillian West, nie mając pojęcia o jej przeszłości, którą właśnie odkrył Marvin. Ta rozmowa obudzi czujność gosposi, która zorientuje się, że Sunday i on rozważają ewentualność, iż ktoś inny niż Shipman zamordował Arabelle Young. Trudno przewidzieć, w jaki sposób ta kobieta zareaguje. Dłonie Henry'ego nie drżały nigdy, nawet podczas trudnych międzynarodowych konferencji na szczycie, ale w tej chwili jego palce z trudem trafiały w cyferki numeru telefonicznego Sunday.

Telefon odebrał agent specjalny, Art Dowling.

– Dojechaliśmy już do domu pana Shipmana, a pani Britland weszła do środka.

– Poproś ją do telefonu – rzucił Henry. – Powiedz, że muszę z nią porozmawiać.

Parę minut później agent Dowling był znów przy telefonie.

– Sir, zdaje się, że są pewne problemy. Wielokrotnie dzwoniliśmy do drzwi, ale nikt nie otwiera.

Sunday i Tommy siedzieli obok siebie na skórzanej sofie w bibliotece, spoglądając na wycelowany w nich rewolwer. Naprzeciwko siedziała wyprostowana Lillian West z bronią w ręku. Natarczywy dźwięk dzwonka do drzwi najwyraźniej jej nie rozpraszał.

– To na pewno twoja gwardia przyboczna – zauważyła gosposia sarkastycznie, zwracając się do Sunday.

Ta kobieta jest szalona, pomyślała Sunday, patrząc w dzikie oczy Lillian West. Szalona i zdeterminowana. Dobrze wie, że nasza śmierć już jej i tak nie zaszkodzi, i naprawdę jest gotowa nas zabić.

Sunday pomyślała także o ochroniarzach czekających na zewnątrz. Towarzyszyli jej dziś Art Dowling i Clint Carr. Co zrobią, gdy nikt im nie otworzy drzwi? Zapewne włamią się do środka, pomyślała. A kiedy to zrobią, ta kobieta zastrzeli Tommy'ego i mnie. Wiem, że to robi.

– Masz wszystko – odezwała się do niej Lillian West niskim, złowrogim głosem, spoglądając przy tym wprost na swych więźniów. – Jesteś piękna, młoda, masz ważną pracę oraz bogatego i atrakcyjnego męża. No cóż, spodziewam się, że dobrze ci z nim było.

– Owszem – odparła Sunday spokojnie. – Jest wspaniałym mężem i człowiekiem i chciałabym spędzić z nim jeszcze wiele lat.

– Wielka szkoda, bo nie masz na to żadnych szans i sama jesteś temu winna. Nic by się nie stało, gdybyś dała sobie z tym spokój. Co za różnica, czy on – Lillian West przerwała na moment, przenosząc wzrok na Tommy’ego – pójdzie, czy nie pójdzie do więzienia? Nie warto się nim zajmować. To nie jest dobry człowiek. Oszukał mnie. Obiecał, że mnie zabierze na Florydę. Miał się ze mną ożenić. – Znowu przerwała, spoglądając w twarz byłemu sekretarzowi stanu. – Nie był wprawdzie tak bogaty, jak tamci, ale wystarczyłoby to, co ma. Przejrzałam wszystkie jego papiery, więc wiem. – Na jej ustach zaigrał uśmiech. – No i jest przystojniejszy niż tamci. To mi się spodobało. Mogliśmy być bardzo szczęśliwi.

– Lillian, wcale cię nie okłamałem – powiedział cicho Tommy. – Przypomnij sobie wszystko, co ci kiedykolwiek powiedziałem, a sądzę, że przyznasz mi rację. Osobiście bardzo cię lubię i wydaje mi się, że potrzebujesz pomocy. Zatrąszczę się o to, byś ją otrzymała. Obiecuję, że zarówno Sunday, jak i ja uczynimy dla ciebie wszystko, co się da.

– Co takiego? Znajdziecie mi kolejną posadę gosposi? – warknęła Lillian. – Sprzątanie, gotowanie, zakupy. Nie, dziękuję! Zamieniłam uczenie głupich dziewcząt na taką harówkę, bo sądziłam, że wreszcie ktoś mnie doceni, że się o mnie zatroszczy. Ale nic takiego się nie stało. Ja czekałam, a oni traktowali mnie jak gówno. – Znowu skierowała spojrzenie na Thomasa. – Myślałam, że ty jesteś inny, ale się pomyliłam. Jesteś taki sam jak reszta.

Podczas tej rozmowy zamilkł dzwonek u drzwi. Sunday wiedziała, że agenci zaczną szukać jakiegoś sposobu przedostania się do środka, i nie wątpiła, że z pewnością dadzą sobie radę. I nagle

przeszył ją dreszcz, gdy Lillian West się wygadała, że włączyła alarm.

– Nie chcemy przecież, żeby wlaź tu któryś z tych wścibskich reporterów – wyjaśniła.

Jeśli Art albo Clint spróbują otworzyć okno, włączy się alarm, pomyślała Sunday, a wtedy już po nas. Poczwała dłoń Tommy’ego na swojej ręce. On myśli o tym samym, uświadomiła sobie. Boże, co możemy zrobić? Często słyszała powiedzonko „zaglądać śmierci w oczy”, ale dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, co to znaczy. Henry, pomyślała, Henry, nie pozwól, by ta kobieta przerwała nasze wspólne życie!

Dłoń Tommy’ego zacisnęła się na jej ręce. Jego palec wskazujący wykonywał intensywne ruchy. Tommy próbował przesłać jej jakiś sygnał. Ale jaki? – zastanawiała się. Czego on od niej chce?

Henry denerwował się za bardzo, by przerwać połączenie telefoniczne z agentami czuwającymi pod domem Shipmana. Agent Dowling trzymał w ręku telefon komórkowy i rozmawiał z byłym prezydentem, badając ostrożnie okolice domu.

– Sir, żaluzje są opuszczone we wszystkich pomieszczeniach. Zawiadomiliśmy lokalną policję i spodziewamy się jej w każdej chwili. Clint jest na tyłach domu i wspina się na drzewo, którego gałęzie sięgają dość blisko niektórych okien. Może wśliźniemy się niezauważeni tą drogą. Tylko że nie mamy pojęcia, czy oni są w środku.

Mój Boże, pomyślał Henry. Trzeba co najmniej godziny, by zdobyć specjalne urządzenia, które dadzą możliwość śledzenia wnętrza domu. Nie ma chwili do stracenia. Ujrzał w myślach twarz Sunday. Sunday! Sunday! Nic jej się nie może stać! Miał ochotę wysiąść i popchnąć samolot, by leciał trochę szybciej. Najchętniej przywołałby wojsko pod ten dom. Chciał sam tam wreszcie być! Teraz! Potrząsnął głową. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Wtedy usłyszał, jak Dowling przeklina z wściekłości.

– Co się dzieje, Art? – krzyknął. – O co chodzi?

– Sir, story w pokoju na dole się właśnie rozsunęły i jestem pewien, że słyszałem w środku jakieś strzały.

– Ta głupia kobieta stworzyła mi wspaniałą okazję – mówiła Lillian West. – Wiedziałam, że mam mało czasu, że nie zdołam cię zabić powoli, tak jak planowałam. Ale ten drugi sposób był równie dobry. Mogłam za jednym zamachem ukarać ciebie i tę okropną kobietę.

– Więc to ty zabiłaś Arabelle? – wykrzyknął Tommy.

– Oczywiście – parsknęła niecierpliwie. – To było takie proste. Wcale nie wyszłam z domu tamtej nocy. Zaprowadziłam ją do tego pokoju, obudziłam cię, powiedziałam „dobranoc”, trzasnęłam drzwiami i schowałam się w garderobie. Wszystko słyszałam. I wiedziałam, że tu leży rewolwer. Kiedy się powlokłeś na górę, byłam pewna, że za parę minut stracisz przytomność. – Przerwałaaby uśmiechnąć się złowrogo. – Moje pigułki nasenne są o wiele skuteczniejsze niż te, do których byłeś przyzwyczajony, prawda? Zawierają specjalne składniki. – Znów się uśmiechnęła. – I kilka interesujących wirusów. Jak sądzisz, dlaczego czujesz się teraz zdrowszy niż tamtej nocy? Bo nie pozwoliłeś, bym ci podała moje tabletki. Gdybyś je zażył, twoje przeziębienie zamieniłoby się już w zapalenie płuc.

– Próbowiałaś otruć Tommy’ego? – wykrzyknęła Sunday.

Lillian West spojrzała na nią z prawdziwym oburzeniem

– Próbowiałam go ukarać – sprostowała dobitnie. Po chwili znów zwróciła się do Shipmana: – Kiedy już byłeś na górze, ja weszłam do biblioteki. Arabella szperała na twoim biurku i bardzo się zmieszała, gdy ją na tym przyłapałam. Twierdziła, że szuka twoich kluczyków do samochodu, bo ty źle się poczułeś i powiedziałeś jej, że może sama pojechać nim do domu. Miała odstawić wóz rano. Potem zapytała, po co wróciłam, skoro już wcześniej się pożegnałam. Wyjaśniłam, że przyszedłam po twój stary rewolwer, bo obiecałam, że odniosę broń nazajutrz na policję, ale zapomniałam go zabrać, wychodząc. A ta idiotka stała tam i patrzyła, jak biorę rewolwer, jak go ładuję. Jej ostatnie

słowa brzmiały: „Czy to nie niebezpieczne, chodzić z naładowaną bronią? Jestem pewna, że pan Shipman nie życzyłby sobie tego”.

Lillian West zaniósła się piskliwym, niemal histerycznym chichotem. Z jej oczu tryskały łzy, ciałem wstrząsały dreszcze, ale nie wypuszczała z rąk broni wycelowanej w Thomasa i Sunday. Ona naprawdę nas zabije, pomyślała Sunday, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że nie mają wiele szans ucieczki. Palec Tommy’ego wciąż stukał w jej dłoń.

– Czy to nie niebezpieczne, chodzić z naładowaną bronią? – powtórzyła Lillian West, naśladowując ton Arabelli głosem, który załamywał się od ostentacyjnego, ochryplego śmiechu. – Jestem pewna, że pan Shipman nie życzyłby sobie tego!

Kobieta oparła dłoń trzymającą rewolwer o lewe ramię. Przestała się śmiać.

– Czy nie mogłabyś rozsunąć żaluzji? – zagadnął Shipman. – Bardzo chciałbym zobaczyć ostatni raz w życiu słońce.

Lillian West uśmiechnęła się radośnie.

– I po co się tym kłopotać? Już niedługo zobaczysz swoje światełko u końca tunelu – odparła.

Żaluzje, pojęła błyskawicznie Sunday. To właśnie próbował jej zasugerować Tommy przez cały czas. Wczoraj, gdy zasłaniali okna w kuchni, napomknął przecież, że elektroniczne urządzenie służące do opuszczania żaluzji w tym pokoju jest uszkodzone i wydaje odgłos przypominający strzał z rewolweru. Pilot leżał na oparciu sofy. Trzeba po niego sięgnąć. To ich ostatnia deska ratunku.

Sunday ścisnęła dłoń Tommy’ego, dając mu sygnał, że zrozumiała, o co mu chodzi. Potem, modląc się w głębi duszy, sięgnęła błyskawicznie w stronę pilota i wcisnęła guziczek sterujący żaluzjami.

Dźwięk, głośny niczym strzał z rewolweru, zdezorientował na chwilę Lillian West i sprawił, że kobieta odwróciła głowę. W tym samym momencie Tommy i Sunday poderwali się z sofy. Tommy

rzucił się na Lillian, a Sunday podbiła do góry jej dłoń, gdy gospodyni pociągnęła za cyngiel.

Podczas walki rozległo się kilka strzałów. Sunday poczuła rozdzierający ból w lewym ramieniu, ale to jej nie powstrzymało. Nie zdołała w żaden sposób wydrzeć rewolweru z ręki kobiety, rzuciła się więc na nią od góry i kopnęła krzesło, tak iż przewróciło się pod ciężarem całej trójki w chwili, gdy brzęk tłuczonego szkła zasygnalizował przybycie agentów Secret Service.

Dziesięć minut później Sunday, z chusteczką na draśniętym ramieniu, telefonowała do zamienionego w kłębek nerwów prezydenta Britlanda.

– Nic mi nie jest – powtórzyła po raz piętnasty. – Wszystko w porządku. Z Tommym także.

Lillian West w kaftanie bezpieczeństwa właśnie opuszcza ten dom. Więc przestań się martwić.

Wszystko w porządku.

– Przecież ona mogła cię zabić – powiedział Henry po raz Bóg wie który. Nie chciał przerywać połączenia. Nie chciał jeszcze kończyć rozmowy z żoną. Była przecież o włos od śmierci. Nie potrafił znieść myśli, że mógłby już nigdy nie usłyszeć jej głosu.

– Ale mnie nie zabiła – oświadczyła Sunday dziarsko. – I wiesz co, mój drogi: oboje mieliśmy rację. To była zbrodnia z namiętności. Tyle że zbyt długo dociekaliśmy, o czyją namiętność tu chodzi.

Wszyscy się uganiają za żoną prezydenta

– Gabinet Ovalny, panie prezydencie.

Henry Parker Britland IV westchnął ciężko. Zdaje się, że nie położę się spać całkiem beztroski, pomyślał. Marvin Klein, jego wieloletni bliski współpracownik, wciąż nie potrafił zaanonsować inaczej telefonu od następcy Henry’ego, obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, niż Gabinet Ovalny. Było to jedno z pomieszczeń Białego Domu.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Henry siedział przy swoim biurku w bibliotece w Drumdoe, wiejskiej posiadłości rodzinnej w New Jersey. Popołudniowe zimowe słońce sączyło swe promienie

przez wysokie, przyciemniane szyby okienne i igrało pośród neogotyckich wzorów na atlasowej tapecie. Henry zamierzał zająć się redagowaniem pamiętników, ale uświadomił sobie, że od momentu, gdy usiadł przy biurku, pogrążył się w marzeniach. Sunday, jego poślubiona niespełna rok temu żona, wyjechała do Waszyngtonu, na posiedzenie Kongresu, i Henry przyłapał się na pragnieniu, by te trzy dni jak najprędzej minęły i by już tu przy nim była z powrotem.

Jak zwykle, pozwolił się opanować tęsknocie. Sunday – z pewnością nie istnieje druga kobieta tak piękna, tak inteligentna, tak dowcipna, tak uczuciowa. Czasami wydawało mu się, że naprawdę stworzył ją w swoich marzeniach. Jego Sunday: szczupła, jasnowłosa członkini Kongresu, z którą zaczął przypadkiem flirtować podczas ostatniego przyjęcia w Białym Domu, tuż przed końcem swej drugiej kadencji prezydenckiej. Na twarzy byłego prezydenta zagościł nieświadomy uśmiech, gdy przypomniał sobie jej chłodną, pełną rezerwy reakcję na te zabiegi.

– Hm, hm, Gabinet Ovalny, panie prezydencie – powtórzył Klein, przerywając tym samym łańcuch wspomnień.

Henry podniósł słuchawkę.

– Tak, panie prezydencie? – rzekł ciepłym tonem.

Wyobraził sobie Desmonda Ogilveya – przyjaciele nazywali go po prostu Des – siedzącego za biurkiem. Przypominał jakiegoś profesora z bujną czupryną białych włosów, wyprostowaną postawą, w wytwornym granatowym garniturze i krawacie.

Wiedział, że jego niegdysiejszy zastępca nigdy nie zapomni, że dziewięć lat temu właśnie Henry wydobył go z cienia i sprawił, że stosunkowo nieznany senator z Wyoming stał się prawą ręką prezydenta. Dziennikarze początkowo okrzyknęli tę decyzję hazardowym posunięciem.

– Dla was to może być hazard – ripostował wówczas Henry – ale dla mnie jest to człowiek, który zasiadał w Kongresie przez dziesięć kadencji i przyczynił się znacznie, choć mało kto to zauważył, do uchwalenia najważniejszych ustaw w ciągu tych lat. Jestem głęboko przekonany, że

gdyby cokolwiek mi się stało podczas sprawowania urzędu prezydenckiego, to stanę przed obliczem Stwórcy ze świadomością, że kraj, który kocham, znalazł się w najwłaściwszych rękach.

Henry uświadomił sobie, że cisza w słuchawce przedłuża się bardziej niż zwykle, więc ponownie się odezwał:

– Des?

– Panie prezydencie... – odpowiedział Desmond Ogilvey, ale jego głos nie brzmiał tak żartobliwie, jak zazwyczaj.

Henry zorientował się natychmiast, że nie chodzi o zwyczajną pogawędkę, i przeszedł od razu do rzeczy:

– Co się stało, Des?

Znów pauza. A potem:

– Chodzi o Sunday. Henry, tak mi przykro.

– Sunday! – Henry stracił oddech. Poczuł, że serce przestało mu bić, a całe ciało zamarło na chwilę.

– Henry, nie wiem, jak ci to wszystko powiedzieć. Jesteśmy w strasznej sytuacji. Sunday zniknęła. Opiekujący się nią agenci Secret Service zostali znalezieni nieprzytomni w samochodzie. To samo przytrafiło się agentom, którzy ich eskortowali. Zapewne posłużono się jakimś mocnym środkiem, by wyeliminować załogę obydwu samochodów. Gdy dotarli tam inni agenci, Sunday już nie było.

– Czy istnieje jakikolwiek prawdopodobny motyw? – Henry odzyskał już oddech i zmusił się do spokoju. Wiedział, że mówi nienaturalnym tonem, że Marvin przygląda mu się uważnie i przyciska alarm wzywający agentów pełniących wartę na zewnątrz.

– Zdaje się, że jest jakiś motyw. Do centrali w Departamencie Skarbu ktoś zatelefonował. Ten człowiek twierdził, że Sunday jest w jego ręku, bądź też, że wie, gdzie Sunday się znajduje. Tylko

ty możesz potwierdzić, czy wiadomość była prawdziwa. Czy Sunday ma wielki siniak na prawej ręce, poniżej ramienia?

– W zeszłą sobotę spadła z konia – powiedział Henry, przypominając sobie przerażenie, które go wówczas ogarnęło, i uświadomił sobie, jak głębokie i paraliżujące są złe przeczucia, które go dręczą w tej chwili. Zauważył, że cała piątka agentów Secret Service pełniąca teraz służbę otacza łukiem jego biurko. Kiwnął głową w stronę Jacka Collinsa, nakazując tym gestem, by podniósł słuchawkę drugiego telefonu, stojącego na stoliku koło skórzanej sofy w kolorze bordo.

– Collins się właśnie włączył, Des – powiedział Henry. – Sunday uczy się jeździć konno. Kiedy nabiła sobie tego siniaka, zażartowała, że gdyby powiedziała o tym komukolwiek, prasa okrzyknęłaby mnie natychmiast katem własnej żony. – Wiedział, że przeskakuje z tematu na temat. Zmusił się, by powrócić do sedna. – Des, ile oni chcą? Zapłacę natychmiast, bez żadnych pytań.

– Gdyby chodziło o pieniądze, Henry... Niestety, oznajmiono nam, że jeśli nie uwolnimy Claudusa Jouvnet'a jutro wieczorem, możemy próbować wyłowić ciało Sunday z Atlantyku.

Claudus Jouvnet. Henry Britland dobrze znał to nazwisko. Szczególnie wyrafinowany terrorysta, były pies wojny, rzeźmieszek do wynajęcia. Jego ostatnia znana zbrodnia, za którą ostatecznie trafił za kratki, to skuteczne zestrzelenie samolotu firmowego Uranus Oil. Podczas tej tragedii dwudziestu dwóch najważniejszych dyrektorów firmy straciło życie. Po piętnastu latach akcji terrorystycznych Jouvnet został wreszcie postawiony przed sądem i odsiadywał właśnie dożywotni wyrok w więzieniu federalnym w Marion, w stanie Ohio. Henry nie miał wprawdzie nic wspólnego z ujęciem i procesem tego wielokrotnego mordercy, odczuwał jednak swoistą satysfakcję, że stało się to podczas jego kadencji.

– Na jakich warunkach ma zostać dokonana wymiana? – zapytał Henry, choć gdy wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że być może Desmond uważa, iż jego rząd nie powinien ulec żądaniom terrorystów.

– Według instrukcji porywaczy, mamy umieścić Jouveta na pokładzie najnowszego ponaddźwiękowca. Jak ci wiadomo, samolot można właśnie obejrzeć na wystawie w Waszyngtonie

– jest już przygotowany do inauguracyjnego lotu. Żądają, by w maszynie nie było nikogo poza dwoma pilotami. Drugi warunek jest trochę dziwny: życzą sobie, byśmy zapewnili cały prowiant, ale – teraz cytuję ich słowa – „możemy sobie darować kawior”. – Prezydent przerwał na chwilę. – Dają, tu znów muszę ich zacytować, „święte słowo”, że po wylądowaniu samolotu piloci będą mogli przekazać nam przez radio informację o tym, gdzie znajdziemy Sunday „całą i zdrową”.

– Ich „święte słowo”! – mruknął Henry z goryczą. Och, Sunday, Sunday!

Spojrzał na Jacka Collinsa, który bezgłośnie powtarzał słowo „broń”.

– Jakiej broni żądają, Des? – zapytał Henry.

– Żadnej, choć to zadziwiające. Gdybyśmy tylko mogli uwierzyć tym ludziom...

– A możemy im uwierzyć? – przerwał mu Henry.

– Nie mamy wielkiego wyboru – westchnął Des.

– Jakie macie plany? – Henry wstrzymał oddech po zadaniu poprzedniego pytania, nie wiedząc, jaką odpowiedź usłyszy.

– Henry, jest tu ze mną Jerry – powiedział Des. Miał na myśli Jeremy’ego Thomasa, sekretarza skarbu.

– Des, jak długo możemy przeciągać sprawę, udając, że godzimy się na ich warunki? – przerwał mu Henry.

– Spodziewamy się, że o piątej przekażą kolejną wiadomość, któremuś z departamentów. Sądzimy, że mamy czas przynajmniej do czwartkowego popołudnia. Na szczęście „Washington Post” dziś rano zamieścił informację, że nowy samolot może wystartować dopiero w piątek, bo trzeba jeszcze wprowadzić kilka poprawek technicznych. – Prezydent przerwał na moment. – I jeśli może cię to uspokoić choćby troszeczkę, zapewniam z całą stanowczością, że zamierzamy

przeprowadzić tę wymianę.

Henry zadrżał na całym ciele, pozwalając sobie na zaczerpnięcie pierwszego głębszego oddechu od paru minut. Spojrzał na zegarek. Była środa i zbliżała się właśnie czwarta po południu. Jeśli dopisze im szczęście, mają przed sobą dwadzieścia cztery godziny.

– Już do was jadę, Des.

Tom Wyman, drugi agent Secret Service, przerwał ciszę, która zapadła, gdy Henry odłożył słuchawkę:

– Helikopter już czeka, sir. Samolot jest przygotowany do natychmiastowego startu.

Przez dobrą chwilę Sunday czuła się tak zdezorientowana i oszołomiona, że z trudem przypominała sobie własne imię. Gdzie jestem? – zastanawiała się, gdy jej umysł budził się powoli, by skonstatować, że stało się coś okropnego. Natychmiast poczuła wszystkie fizyczne skutki tego, że jest związana. Bolały ją nogi i ramiona, czuła w nich także postępujące odrętwienie. Coś usztywniło jej ciało. Przekręciła się odrobinę i nagle naszło ją wspomnienie ręczników i bielizny pościelowej, powiewających sztywno na mroźnym wietrze na dachu bloku w New Jersey, w którym mieszkała jej babka. Sznur do bielizny, pomyślała. Szorstki, chropawy powróż, którym ją skrępowano, przypominał staroświecki sznur do bielizny.

W dziwnie ociężałej głowie wciąż jej szumiało, jakby ktoś przywalił ją jakimś ogromnym kamieniem. Próbowwała za wszelką cenę mieć oczy otwarte, choć nic nie widziała. Otworzyła trochę usta i uświadomiła sobie, że na głowę zarzucono jej grubą, drapiącą szmatę. Skóra twarzy była rozpalona i swędziała.

Poza tym było jednak Sunday zimno. Szczególnie zmarzły jej ramiona. Znow wykręciła się troszeczkę i zorientowała się, że nie ma na sobie marynarki. Ten ruch uświadomił jej także, że odczuwa ból w prawym ramieniu, tam gdzie sznur wrzyna się w siniak, który sobie nabiła, spadając z konia.

Sunday błyskawicznie oceniła własną sytuację: no dobra, mam jakiś worek albo kawał płótna na głowie i jestem osznurowana niczym bożonarodzeniowy indyk, pomyślała. Poza tym przebywam w zimnym pomieszczeniu. Tylko gdzie? I co się stało? Nic nie pamiętała. Czy zdarzył jej się wypadek samochodowy? Czy leży teraz na sali operacyjnej, przywiązana do stołu, budząc się w środku operacji?

Wtedy przypomniała sobie, że coś się zdarzyło w samochodzie.

Tak! Coś się zdarzyło w samochodzie! Tylko co?

Zmuszała się do wysiłku, próbowała spokojnie przywołać w pamięci wszystkie zdarzenia tego dnia, jedno po drugim. Obrady skończyły się o trzeciej po południu. Art i Leo czekali na nią, jak zwykle, gdzieś w okolicy szatni. Nie wróciła już do biura, co zazwyczaj robiła, gdyż została zaproszona na przyjęcie do ambasady francuskiej i musiała pojechać do domu, żeby się przebrać.

Wsiedli więc do samochodu i ruszyli. I co dalej?

Sunday usiłowała stłumić jęk, który wyrwał się z jej ust. Szczyciła się tym, że nigdy nie była beksą. Zupełnie odruchowo pomyślała o czasach, gdy mając dziewięć lat, huśtała się na drabinkach na szkolnym podwórku i ześliznęła się z nich. Widziała zbliżający się błyskawicznie bruk, nim uderzyła czołem w betonowe podłoże. Wtedy nawet nie zapłakała. Nie będzie płakać i teraz.

Wówczas stali wprawdzie wokół niej jacyś chłopcy, a ona nie chciała by zobaczyli jej łzy. Tym razem jest sama.

Nie, nie poddawaj się, upominała siebie w duchu. Myśl, po prostu myśl. Kiedy się zdarzył wypadek? Odtwarzała powoli wszystko, co się działo. Art otworzył tylne drzwiczki samochodu i zaczekał, aż ona usadowi się wygodnie. Potem zajął miejsce koło Lea, który siedział za kierownicą. Sunday pomachała do Larry'ego i Billa, czekających w wozie, który miał asekurować ich z tyłu.

Śnieg przestał wprawdzie padać, ale ulice wciąż były śliskie i niebezpieczne. Kilkakrotnie

minęli jakieś samochody, które otarły się o siebie zderzakami. Było dość wcześnie, ale mimo to na dworze zrobiło się ciemno, Sunday włączyła więc tylne światelko do czytania i zaczęła przeglądać notatki z przemówienia przewodniczącego Kongresu, które tego dnia właśnie zrobiła. Wtedy usłyszała hałas, przypominający stłumiony wybuch. No właśnie, wybuch!

Podniosła więc wzrok. Uprzytomniła sobie, że mijali wówczas Kennedy Center i zbliżali się do Watergate. Twarz Arta. Pamiętała, że się odwrócił, spojrzął na nią, potem przez tylną szybę na jadący za nimi samochód i krzyknął: „Dodaj gazu, Leo!” A potem jego głos gdzieś zniknął. Sunday nie mogła w żaden sposób sobie przypomnieć, czy to Art przestał krzyczeć, czy też ona przestała słyszeć, bo poczuła, że traci przytomność.

Tak, pamiętała, że usiłowała usiąść, gdy samochód zwalniał. Potem otworzyły się drzwi kierowcy. I już więcej nic nie potrafiła odtworzyć.

To wszystko wystarczyło jednak, by zrozumiała, że nie znajduje się w szpitalu. Nie zdarzył się przecież żaden wypadek. Nie, to wszystko było bez wątpienia zaplanowane. Została porwana.

Ale kto to zrobił. I dlaczego?

Nie miała pojęcia, dokąd trafiła, było tu jednak wilgotno i zimno. Szmata, którą jej zarzucono na głowę, kompletnie ją dezorientowała. Potrząsnęła głową, by jakoś rozjaśnić myśli. Mijało już działanie środka, którym porywacze zdołali ją obezwładnić, wciąż jednak dręczył ją dokuczliwy ból głowy. Wiedziała już, że jest przywiązana do drewnianego krzesła. Czy siedzi tu sama? Tego nie mogła być pewna. Czuła, że ktoś jest w pobliżu, może nawet na nią patrzy.

Pomyślała o agentach Secret Service. Czy Art i Leo także tu są? A jeśli nie, to co się z nimi stało? Wiedziała, że zrobiliby wszystko, by ją ochronić. Dobry Boże, nie pozwól, by ich zamordowano, modliła się cichutko.

Henry! Sunday nie wątpiła, że Henry jest przerażony. Czy już wie, że zniknęła? Ile czasu minęło? Może parę minut, może kilka dni. Dlaczego to wszystko się stało? Co można zyskać,

porywając mnie? – rozważała. Jeśli chodzi o pieniądze, Henry z pewnością zapłaci, ile trzeba.

Miała jednak niejasne przeczucie, że w ogóle nie chodzi o pieniądze.

Sunday poczuła dławienie w gardle. Ktoś tu jest, ktoś jest w tym samym pomieszczeniu.

Usłyszała zbliżający się oddech. Poczowała, że ktoś się nad nią pochyla. Jakieś masywne, natrętne palce dotykały jej twarzy przez grubą szmatę, wodziły po jej szyi i włosach.

Niski, ochryply, ledwo słyszalny głos szepnął:

– Wszyscy cię szukają. Wiedziałem, że tak będzie. Twój mąż. Prezydent. Secret Service.

Węszą już wszędzie. Jak ślepe myszy. Tak, jak trzy ślepe myszy. I nie znajdą cię. W każdym razie nie znajdą cię przed przyływem, a wtedy to już nie będzie miało znaczenia.

Henry nie odezwał się nawet słowem w czasie lotu do Waszyngtonu. Siedział samotnie w prywatnym przedziale samolotu, próbując skoncentrować się na tym, co ustalono na temat porwania Sunday, i usiłując coś wywnioskować z tych informacji. Wszelkimi sposobami usiłował zachować dystans wobec własnych wzburzonych uczuć i przeanalizować sytuację, tak jak analizował dziesiątki trudnych sytuacji w czasie swego urzędowania w Białym Domu. Trzeba się kierować rozumem, a nie emocjami. Działać jak chirurg: precyzyjnie i z pełną jasnością umysłu.

Ale wówczas, na krawędzi rozpacz, uświadomił sobie, że żaden chirurg nie operowałby własnej żony, wyjąwszy oczywiście przypadki niecierpiące zwłoki. Lękałby się, że uczucia uniemożliwią mu właściwy osąd sytuacji.

Przyszły mu na myśl słowa wiersza:

Śmiertelne dłonie, miłosne dłonie,

Niczym muzyka musnęły mą szyję,

Jak delikatna, stłumiona pieśń,

Co gdzieś tam na dnie duszy żyje.

Nie miał pojęcia, skąd pochodzi ten cytat, czuł jednak, że w jakiś sposób pasuje do sytuacji.

Pomyślał o Sunday, o tym, jak łatwo zasypia, podczas gdy on jeszcze czyta w łóżku godzinami.

Zdarzało się czasami, że zasypiała, gdy czytał jej coś na głos lub komentował jakiś artykuł, który go szczególnie wzburzył – przeglądał codziennie dziesiątki gazet.

Pamiętał, że nie dalej jak ostatniej niedzieli miał ochotę podzielić się z żoną jakąś refleksją, ale zauważył, że już zasnęła. Mimo wszystko musnął delikatnie jej szyję palcami, mając nadzieję, że nie śpi jeszcze głęboko i przebudzi się, by go wysłuchać.

Sunday westchnęła i, nie obudziwszy się, odwróciła się od niego, podkładając złożone dłonie pod głowę, okoloną rozrzuconymi na poduszce jasnymi włosami. Wyglądała tak uroczo, że siedział chyba pół godziny, wpatrując się w nią, całkiem oczarowany.

Następnego ranka bardzo wcześnie zjedli śniadanie, bo Sunday miała wracać do Waszyngtonu.

Henry wypominał jej żartem, że zlekceważyła go w nocy w ten sposób. Roześmiała się i powiedziała, że zawsze śpi jak suseł, bo ma czyste sumienie. O co więc właściwie mu chodzi, pytała z łobuzerskim uśmiechem.

Odparł, że sama jest sobie winna, bo on szaleje za nią tak bardzo, że sen uważa po prostu za stratę czasu. Sunday się uśmiechnęła i powiedziała: „Nie martw się. Mamy go jeszcze mnóstwo”.

Henry pokiwał głową, uświadamiając sobie, jak gorzką ironię zawierają teraz te słowa.

Och, Sunday, czy cię jeszcze kiedyś zobaczę? – pomyślał, poddając się chwilowo słabości.

Daj spokój! – upomniał zaraz sam siebie. Nie odzyskasz jej, tracąc czas w ten sposób. Nacisnął guziczek umieszczony na oparciu fotela. Nie minęła sekunda, a Jack i Marvin siedzieli już naprzeciwko niego.

Chciał w zasadzie zostawić Marvina Kleina w New Jersey, sądząc, że może porywacze spróbują skontaktować się z nim w domu, ale Marvin błagałby Henry go zabrał ze sobą, więc ten ustąpił.

– Muszę panu towarzyszyć, sir – tłumaczył Mandn. – Sims będzie tu odbierał wszystkie

telefony. I pozostanie w stałym kontakcie z nami.

Sims pracował jako lokaj w Drumdoe od dziesiątych urodzin Henry'ego, czyli od trzydziestu czterech lat. Tym razem powiedział:

– Pan wie, że na mnie można polegać, sir.

Mówił z właściwym sobie spokojem, choć w jego oczach błyszczały łzy. Henry wiedział, że Sims jest ogromnie oddany Sunday.

W tej chwili Henry uświadomił sobie, jak to dobrze, że zabrał ze sobą Marviną. Klein wykazywał się zawsze analitycznym i pełnym jasności podejściem do wszelkich problemów, a tego właśnie Henry'emu w tej chwili brakowało.

Klein, nie czekając, aż padnie pytanie, powiedział:

– Nie nawiązali ponownie kontaktu, sir. Operator centrali w Departamencie Skarbu był na szczęście na tyle inteligentny, że przekazał wiadomość bezpośrednio najwyższemu urzędnikowi, więc wiadomość o porwaniu nie powinna się rozejść. Jak na razie, nic nie wskazuje na to, by były jakieś przecieki.

Jack Collins, starszy agent Secret Service, pełniący służbę u byłego prezydenta Britlanda, doskonale nadawałby się na obrońcę liniowego w zawodowej drużynie piłki nożnej. Niezwykle zdyscyplinowany, chłop jak dąb, skądinąd również był szalenie oddany Sunday i miał do niej słabość. Głosem pełnym hamowanego gniewu i oburzenia zrelacjonował Henry'emu wszystko, co do tej pory ustalono.

– Nikt nie widział samego porwania, sir. Najprawdopodobniej w samochodzie Sunday... to znaczy, w samochodzie pani Britland i w wozie asekurującym go z tyłu zainstalowano ładunek wybuchowy z przymocowanym zbiornikiem jakiegoś nieznanego gazu oszałamiającego.

Niewykluczone, że wybuch został spowodowany za pomocą urządzenia zdalnie sterującego, bo porywacze pojawili się na miejscu w jednej chwili. Wszystko się zdarzyło w środku dnia, a jednak

nie znalazł się żaden świadek, choć wiele biur zamknięto nieco wcześniej z powodu opadów śniegu i dlatego ruch na ulicach był mniejszy niż zazwyczaj.

– Czy Sunday mogła odnieść jakieś obrażenia podczas eksplozji? – zapytał Henry.

– Nie, specjaliści sądzą raczej, że podobnie jak towarzyszący jej tego dnia agenci, Art i Leo, straciła przytomność z powodu wycieków gazu, siła wybuchu nie była bowiem zbyt wielka.

Samochody niemal od razu zwolniły i zatrzymały się, gaz najprawdopodobniej natychmiast obezwładnił wszystkich. Gdy nasi agenci odzyskali przytomność, pamiętali jedynie uczucie oszołomienia i fakt, że stracili świadomość.

– Ale jakim cudem ktoś się dostał do samochodów i zdołał umieścić tam zbiorniki z gazem?

Czy wozy nie są garażowane w bezpiecznym miejscu? – denerwował się Henry.

– Nie mamy na razie żadnej pewności co do tego, sir. To nie było szczególnie skomplikowane urządzenie – każdy mógłby je sam skonstruować. Gaz, ma się rozumieć, to całkiem inna sprawa.

Wciąż trwa analiza jego składu, nie znamy więc źródła jego pochodzenia. Urządzenia zostały najprawdopodobniej zainstalowane na strzeżonym parkingu w Kapitolu: każde trzymało się pod podwoziem dzięki niewielkiemu magnesowi.

– I nikt tego nie zauważył? – zapytał Henry.

– Na razie nie znaleźliśmy żadnych świadków. Okazało się jednak, że ktoś się włamał do mieszkania jednego ze strażników i ukradł jego mundur. Kłopoty ze znalezieniem świadków wynikają prawdopodobnie z tego, że samochód pani Britland jest mało charakterystyczny i wcale nie przyciąga uwagi, nikt więc nie zauważył, że po prostu odjechał natychmiast – powiedział Collins. – Wszyscy, którzy byli na miejscu, skupili się na samochodzie, który ją asekurował z tyłu.

Henry wiedział, że samochód Sunday z dwoma nieprzytomnymi agentami został odnaleziony nieco później nieopodal Lincoln Memorial. Jasne, mówił sobie z goryczą, któż by zwrócił uwagę na wóz, który wygląda, jakby został kupiony na giełdzie tanich aut. To żarcik jego autorstwa.

Zapomnijmy o limuzynach, zdecydował kiedyś. Przyciągają za wiele uwagi. Postanowił, że Sunday będzie jeździć wypieszczonymi od środka samochodami, wyglądającymi z pozoru jak zwyczajne auta rodzinne.

Moja niechęć do przechwalania się, robił sobie wyrzuty. Moje pomysły. Czy to było mądre?

Ależ skąd. Gdyby Sunday jechała limuzyną, na pewno ktoś zwróciłby uwagę na całe wydarzenie.

Choć prawdę powiedziawszy, wiedział doskonale, że Sunday uwielbia samochody tego rodzaju. Nigdy w życiu nie odwiedziłaby swoich rodziców w limuzynie. Henry uświadomił sobie właśnie, że w całym tym pośpiechu i zamieszaniu zapomniał powiadomić rodziców Sunday. Muszę to zrobić czym prędzej, postanowił. Powinni się o tym dowiedzieć i usłyszeć wszystko z moich ust.

– Zadzwoń do rodziców Sunday – polecił Kleinowi.

To była najtrudniejsza rozmowa telefoniczna, jaką kiedykolwiek odbył, ale gdy odkładał słuchawkę, pomyślał, że jest zupełnie jasne, skąd Sunday ma taki silny charakter.

Jego myśli przerwał natarczywy dźwięk dzwoniącego telefonu. Henry sam podniósł słuchawkę.

Odezwał się Desmond Ogilvey, przystępując natychmiast do rzeczy:

– Henry, bardzo mi przykro. Porywacze Sunday zadzwonili do CBS. Dan Rather telefonował przed chwilą z prośbą o potwierdzenie informacji. Wszystko się zgadza, więc nie mamy wątpliwości, że naprawdę kontaktowali się z nimi porywacze. Poprosiliśmy, by przez jakiś czas wstrzymał się z rozpowszechnianiem tej informacji, i Dan się zgodził. Ostrzegł jednak, że jeśli będą jakiegokolwiek przecieki w innych mediach, natychmiast puści to w eter.

– Jeśli porywacze zadzwonili do Dana RATHERA, to najwyraźniej zależy im na rozgłosie – jęknął Henry.

– Nie, jeśli wierzyć temu, co powiedzieli Ratherowi. Twierdzili, że testują „integralność mediów”, cokolwiek by to miało znaczyć.

– Kiedy miała miejsce ta rozmowa?

– Zdaje się, że przed niespełna dziesięćmioma minutami. Zadzwoiłem do ciebie, gdy tylko odłożyłem słuchawkę po rozmowie z CBS. Gdzie jesteś?

– Właśnie ląduję w Waszyngtonie.

– Przyjeżdżaj prosto tutaj. Czeka na ciebie eskorta policyjna.

Dwadzieścia minut później Henry przekraczał próg Białego Domu w towarzystwie Kleina i Collinsa. Des Ogilvey siedział za biurkiem, pod prezydencką pieczęcią zawieszoną na ścianie. Minister skarbu, prokurator generalny i szefowie FBI i CIA otaczali go półkolem. Wszyscy poderwali się na równe nogi, gdy wszedł Henry.

Było już dwadzieścia po szóstej.

– Dostaliśmy kolejną wiadomość, Henry – powiedział prezydent. – Wszystko wskazuje na to, że ci ludzie mają ochotę z nami poigrać. Znow zadzwoili do RATHERA i oświadczyli, że jednak życzą sobie, by rozpowszechnił tę informację. Dostarczyli dowodu swej prawdomówności. – Ogilvey odwrócił na chwilę wzrok. Potem spojrzał Henry’emu prosto w oczy i kontynuował: – Portfel Sunday i kosmyk jej włosów w zalakowanej plastikowej kopercie leżały na pulpicie linii Delta na lotnisku. – Des Ogilvey zniżył nieco głos. – Henry, włosy Sunday były przesiąknięte wodą morską.

Gdy Sunday poczuła, że ktoś wreszcie zdjął jej szmatę z głowy, wzięła głęboki oddech i otworzyła oczy, mając nadzieję, że ujrzy swego dręczyciela. W pokoju panował jednak półmrok, więc widziała niewiele. Mężczyzna miał na sobie coś w rodzaju szaty zakonnej z kapturem osłaniającym większą część twarzy.

Uwolnił ją ze sznurów, którymi była przywiązana do krzesła. Stopy pozostały jednak skrępowane. Mężczyzna popchnął ją tak, że musiała się podnieść. Nie miała butów na nogach i poczuła pod stopami zimną betonową podłogę. Sunday zauważyła, że porywacz jest trochę wyższy od niej. Ma zapewne jakieś sześć stóp wzrostu. Ciemnoszare oczy, wąskie i zapadnięte,

patrzyły na nią z wyrazem jakiejś niezwyklej wrogości, który przerażał ją tym bardziej, że dostrzegła w nich jeszcze płomień inteligencji. Poczowała jego siłę, gdy ją obrócił i powiedział: – Zapewne masz ochotę na wycieczkę do toalety.

Szła niezręcznie przed siebie, próbując jednocześnie ocenić swoją sytuację. Znajdowała się chyba w jakiejś suterenie. Panował tu przenikliwy ziąb i stęchlizna, charakterystyczna dla źle wietrzonych, nieznanających promieni słonecznych pomieszczeń. Podłoga popękana i nierówna. Oprócz krzesła znajdował się tutaj tylko przenośny telewizor z anteną w kształcie króliczego ucha. Trzymał ją mocno i prowadził przez ciemny pokój. Sunday skrzywiła się z bólu, gdy zraniła sobie stopę na jakiejś szczególnie ostrej krawędzi pękniętego cementu. Mężczyzna zaprowadził ją do niewielkiego korytarzyka ze schodami, które kończyły się pod drzwiami jakiejś klitki. Za drzwiami można było dostrzec toaletę i zlew.

– Możesz tam wejść sama, ale nie próbuj żadnych sztuczek – ostrzegł ją. – Będę tuż za drzwiami. Jak się domyślasz, przeszukałem cię, gdy tu trafiłaś. Wiem, że kobiety czasami ukrywają gdzieś broń.

– Nie noszę przy sobie nic takiego – powiedziała.

– Wiem, wiem – rzekł obojętnym tonem. – Może jeszcze nie zauważyłaś, że uwolniłem cię od twojej biżuterii. Muszę przyznać, że jestem zaskoczony, iż pomijając solidną złotą obrączkę, nosisz bardzo typową biżuterię. Sądziłem, że nasz zamożny były prezydent jest trochę hojniejszy dla swojej ślicznej młodej żony.

Sunday pomyślała przez chwilę o kosztownościach rodziny Britlandów, które należały teraz do niej.

– Ani mój mąż, ani ja nie jesteśmy zwolennikami manifestowania bogactwa – odparła, zauważając z zadowoleniem, że gdyby nieścierpnięte kończyny i niepokój o Henry’ego, można by uznać, że jej samopoczucie wróciło do normy.

Gdy została sama w malutkiej toalecie, spryskała sobie twarz wodą. Z kranu leciała wprawdzie tylko cienka strużka ciepłej wody, ale i ta odrobina przyniosła skórze ukojenie. Pojedyncza żarówka, kołysząca się pod sufitem – nie więcej niż dwadzieścia pięć watów, pomyślała Sunday – dawała dość światła, by w matowym lustrze nad zlewem można było dostrzec bladą twarz i rozczochrane włosy. Gdy odwracała się już od lustra, uświadomiła sobie nagle, że we własnym odbiciu dojrzała coś dziwnego. Co?

Wpatrywała się w lustro przez parę sekund, zanim spostrzegła, że ktoś bardzo niezręcznie obciął jej kosmyk włosów po lewej stronie i w starannej przedtem fryzurze pojawiła się śmieszna luka.

Dlaczego obcięli mi włosy? – zastanawiała się.

Chłód, który niewiele miał wspólnego z temperaturą panującą w tym piwnicznym więzieniu, zaatakował żołądek Sunday. W sylwetce porywacza był jakiś zdecydowanie obcy rys. Sprawiał wrażenie robota zaprogramowanego, by zrealizować określone i nieodwołalne polecenia. Kim jest ten człowiek i na co liczy?

Sunday usłyszała pukanie do drzwi.

– Radzę ci się pośpieszyć. Za chwilę zacznie się program telewizyjny, który cię na pewno zainteresuje.

Sunday popchnęła poobijane drzwi. Przypominający mnicha porywacz ujął ją pod ramię niemal kurtuazyjnym gestem.

– Wolałbym, żebyś się nie przewróciła – powiedział.

Sunąc nieporadnie przez piwniczkę, Sunday poczuła coś jakby zapach smażonego boczku.

Czyżby ktoś był na górze? Ilu ludzi uczestniczy w tej operacji? Gdy już dotarli do krzesła, nacisk ramienia mężczyzny sugerował jednoznacznie, że powinna usiąść.

Znów przywiązał ją do krzesła szybkimi, zręcznymi ruchami, tym razem nie krępując jej rąk.

– Jest już osiemnasta trzydzieści – oznajmił. – Pewnie jesteś głodna. Ale najpierw powinnaś obejrzeć program Dana Rathera. Mam nadzieję, że zastosuje się do instrukcji. Dla twojego dobra.

Zaczęły się wieczorne wiadomości CBS. Uśmiechnięty Rather relacjonował główną wiadomość:

„Członkini Kongresu Sandra O’Brien Britland, znana jako Sunday, małżonka byłego prezydenta Henry’ego Parkera Britlanda, została uprowadzona. Jej porywacz – czy porywacze – żądają uwolnienia międzynarodowego terrorysty i przestępcy Claudusa Jouvnetta i umieszczenia go na pokładzie najnowszego amerykańskiego samolotu ponaddźwiękowego, który ma polecieć w nieznane nam na razie miejsce. Porywacze życzą sobie, by na pokładzie było tylko dwóch pilotów. Jeśli te warunki nie zostaną spełnione, Sandra O’Brien Britland ma utonąć w Atlantyku. Rozmawiałem już z byłym prezydentem Henrym Britlandem, który jest w tej chwili w Białym Domu razem ze swoim następcą, Desmondem Ogilveyem. Prezydent zapewnił, że warunki zostaną spełnione i że rząd gotów jest na wszelkie ustępstwa, by zapewnić bezpieczeństwo jego żonie”.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nie wątpię, że jeszcze będą o tobie mówić. Na razie wychodzę, żeby przynieść ci kolację.

Baw się dobrze.

Sunday skoncentrowała się na słowach Rathera:

– Przeniesiemy się teraz do Białego Domu, skąd nasz były prezydent zwróci się osobiście do ludzi, którzy przetrzymują jego żonę.

Chwilę później Sunday patrzyła bezradnie na przerażoną i zbolaną twarz swego męża. Dźwięk dziwnie się zmienił i musiała pochylić się do przodu, by usłyszeć, co mówi Henry.

Ale pełne uczucia słowa Henry’ego zostały zagłuszone przez dźwięki jakiejś piosenki.

Śpiewały ją chyba dwa głosy: męski i kobiecy. Sunday ledwo rozpoznawała słowa. „... myszy...” – usłyszała i po chwili zrozumiała. „Trzy ślepe myszy: tylko popatrz, jak się uganiają, wszystkie się

uganiają za żoną rolnika” – dokończyła w myślach.

Ale dobiegły ją inne słowa. Głosy stały się nieco głośniejsze, bliższe, dochodziły jakby ze schodów.

„... Wszyscy się uganiają za żoną prezydenta, a ją już jedzą ryby”.

Piosenka urwała się nagle. Sunday usłyszała głos porywacza:

– To był bardzo miły program. Chodźmy na górę.

Po chwili mężczyzna stanął przed nią, trzymając tacę.

– Głodna? – zapytał uprzejmie. – Matka nie gotuje najlepiej, ale robi, co może.

Henry Britland odwrócił się od kamery z oczami zamglonymi od łez. Pokój przeznaczony dla dziennikarzy, zazwyczaj pełen harmideru, pogrążył się w ciszy. W oczach zgromadzonych widać było sympatię i współczucie.

Jack Collins spojrział na Henry’ego i pomyślał, że zapewne wszyscy zrozumieli nagle, iż choćby Henry Parker Britland był najsympatyczniejszym, najinteligentniejszym, najzamożniejszym i obdarzonym największą charyzmą człowiekiem na świecie, wszystko straci dla niego sens, gdy zabraknie Sunday.

– Nigdy nie widziałem człowieka, który byłby równie zwariowany na punkcie swojej żony. –

Collins usłyszał, jak jeden z pracowników Białego Domu wypowiada te słowa. Masz rację, pomyślał, masz świętą rację. Niech Bóg ma go teraz w swojej opiece.

Prezydent Ogilvey podszedł do Henry’ego.

– Chodźmy do gabinetu posiedzeń – zaproponował, ujmując swego poprzednika pod ramię.

Henry starł ostatnie ślady łez z oczu. Muszę wziąć się w garść, pomyślał. Muszę się skoncentrować, ruszyć głową, by odzyskać Sunday. Jeśli tego nie zrobię, pozostanę pogrążony w żałobie przez resztę życia.

Zasiedli wokół długiego stołu w gabinecie posiedzeń, podobnie jak to czynili wiele razy przez

osiem lat swej współpracy. Zjawili się wszyscy ministrowie, szef kancelarii oraz dyrektorzy FBI i CIA.

Prezydent Ogilvey oddał głos Henry'emu:

– Wszyscy wiemy, dlaczego się tu znaleźliśmy, Henry. Słuchamy cię zatem.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – zaczął Henry. – Zapewniam, że rozumiem wasze uczucia, i wiem, że wy rozumiecie moje. A teraz zajmijmy się planem akcji. Pragnę zaznaczyć, że jestem ogromnie wzruszony tym, że prezydent zgodził się wymienić Jouvmeta na moją żonę, i rozumiem doskonale, że powinniśmy działać tak, by uwolniwszy ją, natychmiast ponownie schwytać przestępcę. Rząd Stanów Zjednoczonych nie może pozwolić, by tego rodzaju akcje terrorystyczne zaczęły się powtarzać.

Jeden z urzędników wśliznął się po cichu do pokoju i szepnął coś prezydentowi do ucha. Des Ogilvey podniósł wzrok.

– Henry, dzwoni właśnie brytyjski premier. Wyraża głębokie ubolewanie i proponuje swoją pomoc, gdybyśmy jej potrzebowali.

Henry pokiwał głową. Naszły go wspomnienia wizyty, którą odbył w Londynie w towarzystwie Sunday. Zatrzymali się w Claridge's. Królowa zaprosiła ich na kolację w zamku windsorskim. Jakże był dumny z Sunday! Była bez wątpienia najbardziej czarującą i najpiękniejszą kobietą na sali. Byli razem tacy szczęśliwi...

Henry zorientował się, że Des wciąż coś do niego mówi.

– Henry, Jej Królewska Wysokość chce z tobą rozmawiać. Premier powiedział nam, że jest bardzo przejęta. Oznajmiła mu, że bardzo by pragnęła by w jej rodzinie pojawiła się taka osoba jak Sunday.

Henry wziął słuchawkę i po chwili usłyszał znajomy głos królowej angielskiej.

– Wasza Wysokość... – Zaczął.

Inny urzędnik szeptał kolejną wiadomość prezydentowi Ogilveyowi.

– Sir, obiecaliśmy, że oddzwoni pan do prezydentów Egiptu i Syrii. Obaj podkreślali, że nic im nie wiadomo, by jakakolwiek organizacja terrorystyczna z terenu ich krajów miała coś wspólnego z tym porwaniem, obaj proponują nam udział swoich oddziałów specjalnych w akcji uwalniania żony prezydenta Britlanda. Telefonował nawet Saddam Husajn, wyrażał swe oburzenie i zapewniał, że nie ma pojęcia, kto stoi za tą sprawą. Obiecał nawet, że jeśli Jouvnet wyląduje w Iraku, a Sunday nie wróci bezpiecznie do domu, to on zatroszczy się osobiście, by tych ludzi pojmano na miejscu.

Dzwonią też głowy innych państw – kontynuował urzędnik. – Prezydent Rafsandżani podkreślał, że niezależnie od wniosków, jakie można by wyciągnąć ze słów, że „możemy sobie darować kawior”, Iran nie ma absolutnie nic wspólnego z tym porwaniem. Jak na razie, Jouvnet jest człowiekiem bez ewentualnego azylu. Do tej chwili nie znalazł się nikt, kto chciałby go przyjąć na swoje terytorium. Ogilvey spojrzał na Henry’ego. Trzeba się zabrać do roboty; czas ucieka.

Henry kończył właśnie rozmowę z królową.

– Jestem ogromnie wdzięczny Waszej Wysokości za słowa współczucia i obiecuję, że gdy tylko Sunday wróci do domu, z przyjemnością przyjmiemy zaszczytne zaproszenie na kolację.

Henry oddał słuchawkę sekretarzowi, spoglądając na swego następcę.

– Des, wiem, co trzeba zrobić. Muszę natychmiast porozmawiać z Jouvnetem. Potem przywieziemy go tu z więzienia w Marion. To jest klucz do wszystkiego. Może uda mi się wydobyć z niego coś, co naprowadzi nas na trop ludzi, którzy za tym stoją.

– Niegłupi pomysł – przyznał dyrektor FBI. – Jeśli dobrze sobie przypominam, sir, pańskie umiejętności negocjacyjne nie mają sobie równych. – Tu dyrektor zamilkł i odchrząknął, uświadomiwszy sobie, że w tym pokoju tego rodzaju porównania nie brzmią najlepiej.

Boczek był przypalony, by nie rzec – zwęglony. Tost, zimny i pokruszony, przywiódł Sunday na myśl kuchnię babki. Babcia zawsze uparcie wkładała chleb do staroświeckiego tosteru i czekała

niezmiennie na kłęby dymu sygnalizujące, że trzeba odwrócić kromkę. Gdy już przypaliła odpowiednio drugą stronę, zeszkrobywała zwęgloną warstwę nad zlewem i z uśmiechem podawała to, co pozostało po jej kulinarnych poczynaniach.

Tym razem jednak Sunday była głodna i nawet nędzne jedzenie mogło ten głód zaspokoić.

Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że herbatę dostała mocną, taką, jaką lubiła. Po paru łykach tego napoju myśli Sunday zaczęły się rozjaśniać. Mijało poczucie nierzeczywistości; zastąpiła je niepewność co do tego, jak bardzo niebezpieczna jest cała sytuacja. Nie chodzi wszakże ani o nocny koszmar, ani o kiepski żart. Człowiek w mnisich szatach, sam czy też z jakimiś współnikami, zdołał pomajstrować przy jej samochodzie, który stał przecież nieustannie na strzeżonym parkingu, obezwładnić doświadczonych agentów Secret Service, wreszcie zdołał ją porwać. On – czy też oni – okazali niemało odwagi i inteligencji.

To się zdarzyło chwilę po trzeciej, pomyślała Sunday. Wiadomości Dana Rathera emitowano o wpół do siódmej, a zatem niedawno minęła siódma, kalkulowała dalej. Czyli byłam nieprzytomna przez niespełną godzinę. Jak długo tu jestem? I jak długo jechaliśmy? Zestawiając wszystkie fakty, Sunday doszła do wniosku, że znajduje się wciąż niedaleko Waszyngtonu. Zważywszy na niesprzyjającą aurę, porywacz zdołał ją chyba ledwie wywieźć z terenu miasta.

Ale gdzie ja jestem? Co to za miejsce? Czy to jego dom? Być może. Ile osób jest w to zamieszanych? Jak na razie, widziała tylko człowieka w mnisich szatach i słyszała głos, który najprawdopodobniej należał do starszej kobiety. Ale to nie znaczy, że nie ma tu nikogo więcej.

Trudno przypuścić, choć to możliwe, że ten człowiek przeprowadził całe porwanie sam; jest bez wątplenia bardzo silny i z łatwością zdołałby wynieść ją z samochodu i przytaszczyć tutaj.

Wreszcie najważniejsze pytanie ze wszystkich, które pojawiały się w jej nadal zamglonych myślach: co zamierzają ze mną zrobić?

Spojrzała na tacę, którą wciąż trzymała na kolanach. Gdyby tak mogła postawić ją na podłodze!

Tępy ból w ramieniu nasilał się coraz bardziej, potęgowany bez wątpienia przez ucisk sznura do bielizny. Tak czy inaczej, nabawiła się chyba nie tylko siniaka. Żałowała, że nie dała się namówić Henry'emu na prześwietlenie po upadku z konia. Może to jednak jakieś niewielkie pęknięcie kości...

Zaraz, zaraz! Chyba oszalałam, pomyślała. Zaprzęłam sobie głowę jakimś tam pęknięciem kości, choć może mam umrzeć, zanim ono zacznie mi naprawdę doskwierać! Nie wypuszczą mnie, dopóki ten terrorysta Jouvnet nie trafi tam, dokąd chce. A zresztą gdyby nawet dotarł na miejsce przeznaczenia, to czy na pewno ja zostanę uwolniona?

– Pani prezydentowo...

Sunday gwałtownie odwróciła głowę. Porywacz stał w drzwiach prowadzących do korytarzyka.

Nie słyszałam, żeby schodził po schodach, pomyślała. Jak długo już na mnie patrzy?

Odezwał się lekko ironicznym tonem:

– Odrobina jedzenia czyni cuda, prawda? Zwłaszcza po narkotyku, który musiałem ci zaaplikować. Obawiam się, że przez jakiś czas będzie ci dokuczał ból głowy, ale nie martw się, to nie potrwa długo.

Mężczyzna podszedł do niej. Sunday próbowała się instynktownie cofnąć, gdy położył jej ręce na ramionach. Skuliła się, gdy poczuła ich niemal pieszczotliwy dotyk.

– Masz naprawdę ładne włosy – powiedział porywacz. – Spodziewam się, że nie będę musiał obciąć ich do reszty, zanim przekonam twojego męża i jego ludzi, że ze mną naprawdę nie ma żartów. A teraz pozwól, że uwolnię cię od tej tacy.

Wziął z kolan Sunday tacę i postawił ją na telewizorze.

– Ręce do tyłu – rozkazał.

Nie pozostawało jej nic innego, jak go posłuchać.

– Postaram się nie związywać cię zbyt mocno – obiecał. – I powiedz tylko, gdy zaczną ci

cierpnąć nogi. Gdy nasz człowiek będzie już bezpieczny, wolałbym nie musieć wlec cię za sobą do twojego miejsca przeznaczenia.

– Zaczekaj chwilę, zanim zwiążesz mi ręce – powiedziała pośpiesznie Sunday. – Masz mój żakiet. Tu jest bardzo zimno. Pozwól mi się ubrać.

Mężczyzna zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał. W dalszym ciągu wiązał jej ręce z tyłu. Sznur wrzynał się w nadgarstki, a dłonie niemal skleiły się ze sobą. Sunday zacisnęła zęby, przewyciężając ogromny ból, który poczuła w prawym ramieniu.

Nie miała wątpliwości, że nawet w tym mrocznym i zaciemnionym pokoju mężczyzna musiał dostrzec i poczuć jej reakcję.

– Nie mam zamiaru zadawać ci więcej bólu niż trzeba – powiedział. – Rozluźnię trochę sznur. No i masz rację, tu na dole jest rzeczywiście zimno. Przykryję cię kocem.

Pochylił się, by podnieść coś z podłogi. Sunday odwróciła głowę i powstrzymała się z trudem od słów protestu. Miał w ręku tę samą oblepioną brudem szmatę, pod którą się przedtem przebudziła. Troszczył się o nią na jakiś dziwaczny sposób, ale Sunday mu nie ufała. Czowała, że coś jest nie w porządku. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ten człowiek sobie z niej kpi i że spotka ją coś naprawdę straszliwego. Perspektywa duszenia się pod brudną derką skłaniała ją niemal do krzyku, Sunday zdołała się jednak opanować. Nie miała zamiaru błagać tego człowieka o nic. Odezwała się najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć:

– Po co to wszystko? Zdaje się, że krzyk nic mi nie pomoże, zapewne nie zaalarmuję w ten sposób żadnego przechodnia.

Jej słowa najwyraźniej ucieszyły mężczyznę. Uśmiechnął się, wykrzywiając usta w ponurym grymasie i odsłaniając mocne i nierówne zęby.

– Może mam ochotę zdezorientować cię trochę – drażnił ją. – Człowiek czuje się zdezorientowany z zawiązanymi oczami.

Światło matowej żarówki zawieszanej gdzieś w górze oświetliło jego rękę. Zanim kaptur ponownie zasłonił jej wszelki widok, Sunday zobaczyła przelotnie pierścień, który ten człowiek nosił na palcu, szeroki, złoty sygnet. Wyglądał niezbyt oryginalnie, wyróżniała go jedynie niewielka dziurka w środku, tak jakby brakowało kamienia.

Usiłowała oddychać płytko i równomiernie, gdy szmata już opadła na jej ramiona. Tak jak ją uczył kolega z pierwszego roku, który pomagał jej swego czasu przezwyciężyć klaustrofobię odziedziczoną po ojcu.

Próbowała sobie przypomnieć tamte sesje terapeutyczne, ale, niestety, na nic się to nie zdało.

Nie potrafiła się skoncentrować na odtwarzaniu lekcji. Myślała wyłącznie o pierścieniu.

Widziała go już kiedyś. Tylko gdzie?

O dwudziestej pierwszej trzydziści Henry w towarzystwie Jacka Collinsa i strażników szedł długim, posępnym korytarzem, prowadzącym do niewielkiego pokoju wizyt, zarezerwowanego na osobiste spotkania z najbardziej niebezpiecznymi przestępcami, którzy odsiadawali karę w Marion.

Marion cieszyło się sławą najcięższego więzienia federalnego, Henry odnosił jednak ścinające krew w żyłach wrażenie, że te grube mury nie do przebycia przesiąknęły nie tyle krzykami więźniów, ile ich ofiar.

Sunday jest ofiarą Claudusa Jouvmeta, pomyślał Henry. Zresztą ja także. Strażnicy zatrzymali się przed stalowymi drzwiami. Jeden z nich wystukał szyfr i nacisnął klamkę.

Jouvnet siedział przy metalowym stoliku z boku pokoju. Henry rozpoznał twarz, którą znał ze zdjęć drukowanych przez gazety w okresie, gdy pojmano terrorystę, oraz z wywiadu w znanym programie telewizyjnym. Była to w zasadzie piętnastominutowa, pełna arogancji mowa na własną cześć, równoważona na szczęście błyskotliwymi uwagami Lesleya Stahla, który umiejętnie przekłubał każdy pęcherzyk pychy, produkowany przez Jouvmeta. Tym razem Jouvnet miał na sobie więzienny uniform, który absolutnie nie pasował do jego dawnego dandysowskiego stylu.

Miał także kajdanki na rękach i nogach, a jednak w jakiś przedziwny sposób emanowało z niego nieskrępowanie i niezmałcone niczym dobre samopoczucie. Na jego anielskiej twarzyczce zarysowały się już krągłe policzki, jasnoniebieskie oczy zdradzały wesołość, a wąskie, różowe, chłopięce usta wyginały się lekko, tak jakby przez cały czas trenowały uśmiech. Henry poczuł przypływ wstrętu na ten widok.

W drodze do Ohio, na pokładzie samolotu, zapoznał się ze streszczeniem bogatego życiorysu Jouvneteta. Nikt nie potrafił powiedzieć, skąd ten człowiek pochodzi. Skończył niedawno pięćdziesiąt sześć lat i jeśli wierzyć jego słowom, urodził się w Jugosławii. Mówił płynnie pięcioma językami, zaczął karierę jeszcze jako nastolatek, od sprzedaży broni w Afryce, wynajmował się jako płatny morderca niezliczonym klientom w wielu krajach, nie cieszył się niczym zaufaniem i potrafił zmienić powierzchowność nie do poznania. Na niektórych zdjęciach wyglądał tak, jakby ważył przynajmniej pięćdziesiąt funtów więcej, na innych występował jako żołnierz, farmer albo arystokrata.

Niezależnie od przebrania nie potrafił jednak przewyciężyć swego zamiłowania do strojów, które wyszły spod ręki najlepszych projektantów. Nic dziwnego, że ostatecznie ujęto go podczas pokazu mody samego Calvina Kleina.

Jouvnet szeroko otworzył oczy na widok Henry'ego.

– Pan prezydent! – wykrzyknął z kurtuazyjnym ukłonem, pochylając się do przodu na tyle, na ile pozwalały mu kajdanki. – Cóż za wspaniała niespodzianka! Proszę wybaczyć, że nie wstaję, ale okoliczności uniemożliwiają mi wyrażenie szacunku w ten sposób.

– Cicho! – powiedział spokojnie Henry. Ale jego dłonie zacisnęły się w pięści. Miał ochotę zetrzeć Jouvnetowi ten uśmiech z twarzy, nie szczędząc pięści; miał ochotę go udusić; miał ochotę zacisnąć mu palce na gardle i ścisnąć tak długo, aż tamten wykrztusi z siebie, gdzie jest przetrzymywana Sunday.

– A ja chciałem zrobić wszystko, by panu pomóc – westchnął Jouvnet. – W porządku, poddaję się. O co wam chodzi w tej chwili? Zdaję sobie sprawę, że sporo moich dokonań z przeszłości wciąż pozostaje tajemnicą nawet dla waszych wścibskich dziennikarzy. Nie łudzę się, że to wizyta towarzyska, sądzę więc, że przyszedł pan tutaj, bo mnie pan potrzebuje. Być może potrafię w czymś pomóc. Czy jednak mogę się spodziewać jakichś korzyści, jeśli wam teraz pomogę?

– Dostaniesz dokładnie to, czego chcesz. Bezpieczny lot naszym najnowszym samolotem do miejsca, które sobie wybierzesz. Jesteśmy gotowi urządzić to tak, jak sobie tego życzysz. Ale musisz przestrzegać wszystkich naszych warunków co do wymiany.

Przez twarz Jouvnetę przemknął wyraz zdziwienia.

– Pan chyba żartuje? – powiedział. Po chwili jednak przywołał się do porządku. – Świetnie, panie prezydencie. A jakie są pańskie warunki?

Henry poczuł masywną dłoń Jacka Collinsa na swym ramieniu. Collins po raz pierwszy pozwolił sobie na taki gest. Radzi mi, bym się uspokoił, pomyślał Henry. Racja.

– Mam licencję pilota i uprawnienia do kierowania ponadźwiękowcami. Ja i tylko ja zawiozę cię do miejsca przeznaczenia. Nie zejdziesz z pokładu, dopóki moja żona nie zostanie uwolniona i dopóki nie trafi bezpiecznie w ręce naszych ludzi. Jeśli coś jej się stanie, samolot wyleci w powietrze z tobą i ze mną na pokładzie. Jasne?

Jouvnet siedział przez chwilę w milczeniu, układając sobie w głowie to, co przed chwilą usłyszał.

– Och, ta siła miłości! – rzekł wreszcie, powoli kiwając głową.

Henry patrzył na Jouvnetę i uświadomił sobie, że kąciki ust tamtego jakoś dziwnie drżą. Nie do wiary, ale Jouvnet śmiał się z niego. A on nie mógł zrobić nic innego, jak stać tutaj niczym żebrak i mieć nadzieję, że terrorysta się na wszystko zgodzi. Zauważył z obrzydzeniem, że twarz Jouvnetę okryła się potem, choć w pomieszczeniu było całkiem zimno.

Gdzie oni trzymają Sunday? – zastanawiał się. Może w jakimś pomieszczeniu przypominającym tę celę? Na dworze panuje okropny chłód. Czy Sunday nie marznie?

Henry zmusił się do skupienia uwagi na mężczyźnie, który przed nim siedział. Jouvnet najwyraźniej analizował przedstawione warunki. Sygnalizowały to jego zwężone źrenice.

– Musimy porozmawiać o jeszcze jednej sprawie... – zaczął powoli Jouvnet.

Henry czekał.

– Mnie również zależy na tym, by pańskiej żonie nic się nie stało. Nie miałem przyjemności jej poznać, ale jak wszyscy w tym sprawiedliwym kraju, śledziłem historię pańskich zalotów i małżeństwa. Sądząc z tego, co o niej słyszałem, jest uroczą osobą. Jednakże w tej sytuacji nie mam nieograniczonych możliwości. Czy mogę otrzymać informację, kiedy wystartujemy?

Henry wiedział, jak wiele zależy od tego, czy Jouvnet uwierzy jego słowom.

– Przed porwaniem mojej żony, które nastąpiło dziś po południu, „Washington Post” opublikował informację o tym, że w nowym SST trzeba wprowadzić kilka usprawnień technicznych przed lotem inauguracyjnym, który ma nastąpić w piątek rano. Dzień jutrzejszy został przeznaczony na te prace. Na pokładzie SST znajdziemy się obaj w piątek o godzinie dziesiątej rano...

Jouvnet spojrzał na niego z politowaniem.

– Wyobrażam sobie, ile kamer, aparatów podsłuchowych i anten satelitarnych zamontujecie podczas tych „usprawnień technicznych” – powiedział z westchnieniem. – To zresztą nie ma znaczenia, nieprawdaż? – Z jego twarzy zniknął uśmiech. – Żądam stanowczo natychmiastowego przeniesienia do Waszyngtonu. O ile mi wiadomo, dysponujecie tam wieloma dobrze strzeżonymi domami, chciałbym więc trafić w jedno z takich miejsc, nie zaś do tego rodzaju zakładu resocjalizacyjnego, w jakim się teraz znajduję. Mam już dość tych warunków.

– Właśnie to zamierzaliśmy zrobić – rzekł chłodno Henry. – Nagramy taśmę wideo w tym

domu, a ty wygłosisz ostrzeżenie pod adresem porywaczy mojej żony, że nie wolno im jej tknąć.

Muszą dostarczyć nam kasetę wideo, na której zobaczę moją żonę w dobrej formie, przed godziną piętnastą w dniu jutrzejszym.

Jouvnet pokiwał głową z roztargnieniem i spojrział z niesmakiem na swój więzienny uniform.

– Jeszcze jeden drobiazg. Jak panu zapewne wiadomo, zwykłem ubierać się elegancko.

Wszystkie moje starannie dobrane stroje zniknęły jakiś czas temu, a ja zamierzam się udać tam, gdzie, niestety, nie ma domów mody; mam nadzieję, że zatroszczy się pan o nową kompletną garderobę dla mnie. Jestem szczególnym miłośnikiem Kleina i Armaniego. Życzyłbym sobie zatem, by w mojej nowej garderobie znalazły się ich pełne ostatnie kolekcje. Nie obejdzie się także bez kilku mistrzów krawieckich, którzy zdołają dokonać pewnych przeróbek według moich wskazówek przed piątkowym przedpołudniem. Dyrekcja tego przybytku powinna pana poinformować o moich wymiarach. Moje nowe ubrania mają trafić na pokład samolotu w walizkach firmy Vuitton. –

Jouvnet przerwał na chwilę, nie spuszczając wzroku z Henry'ego; na jego ustach błąkał się uśmiezek. – Czy wyrażam się jasno?

Zanim Henry zebrał siły, by mu odpowiedzieć, Jouvnet uśmiechnął się raz jeszcze, nieco wyraźniej:

– Sądzę, że nie powinien pan być zdziwiony. Czyżby pan zapomniał, w jakich okolicznościach zostałem aresztowany? Na pokazie mody Calvina Kleina. – Roześmiał się wielce rozbawiony. –

Cóż za ambarasująca sytuacja, a na domiar złego nie był to najlepszy pokaz. Ta bielizna! Czasami przychodzi mi na myśl, że biedny Klein już się kończy.

Henry czuł, że musi jak najszybciej stąd wyjść. Nie może zostać w jednym pokoju z tym człowiekiem choćby o dziesięć sekund dłużej.

– Do zobaczenia jutro, w Waszyngtonie – powiedział.

Czuł oddech Collinsa na szyi, gdy opuszczali celę. Collins się boi, że zatłukę tego łotra,

pomyślał Henry. I ma rację. Gdy zamykały się za nimi stalowe drzwi, usłyszał ostatnie żądanie Jouvmeta:

– Nie zapomnijcie o szampanie. Ma być Dom Perignon i kawior. Mnóstwo kawioru. Nawet ponaddzwiękowiec potrzebuje trochę czasu, by dolecieć tam, gdzie chcę.

Tym razem Jack Collins musiał najzwyczajniej w świecie przytrzymać Henry’ego, by ten nie wrócił do celi. Na szczęście drzwi się zatrzasnęły i już nie było ani słyszeć, ani widać Claudusa Jouvmeta.

– Panie prezydencie – powiedział Collins pośpiesznie – jeśli coś się nie uda, przysięgam, że go dostanę w jednej chwili.

Henry wcale go nie słuchał.

– Kawior? – zdziwił się głośno. – Wszystko, co się tu dzieje, ma związek z kawiozem. Czy ktoś ma pojęcie, do jakiego kraju ten człowiek chce uciec?

W środku nocy Sunday zbudziła się z niespokojnego snu, gdy błysnęło światło tak silne, że zdołało przeniknąć przez gruby kaptur, który wciąż zasłaniał jej twarz.

– Robię ci zdjęcie – powiedział łagodnie jej strażnik. – Wyglądasz nie najlepiej. Doskonale. Jestem pewien, że twojemu mężowi pęknie serce, gdy zobaczy, w jakiej się znalazłaś sytuacji. Zsunął szmatę z głowy.

– Jeszcze jedno i możesz znowu zasnąć.

Sunday zamrugałaby wymazać jakoś spod powiek białe plamki, które ją oślepiły, gdy flesz błysnął po raz drugi. Uświadomiła sobie, że parę godzin temu ktoś chyba wykręcił słabą żarówkę, która wisiała u sufitu; teraz, gdy żarówka powróciła na miejsce, nawet to nikłe światło drażniło oczy. Sunday zachwiała się na moment w postanowieniu, by nie stracić zimnej krwi. Obrzuciła porywcza płonąca od gniewu spojrzeniem.

– Pozwolę sobie powiedzieć, że gdy się stąd wydostanę, jeśli się wydostanę, powinien pan

zrobić wszystko, by się znaleźć na pokładzie samolotu razem ze swoim przyjacielem. Jeśli bowiem pana złapią, uczynię wszystko, by trafił pan do najstraszliwszego, najbardziej surowego więzienia, jakie zdołamy znaleźć.

Kolejny oślepiający błysk flesza podrażnił oczy Sunday.

– Przepraszam. Nie miałem zamiaru robić trzeciego zdjęcia, ale nie zaszkodzi, jeśli twój mąż zobaczy, jak bardzo jesteś przygnębiona – powiedział mężczyzna.

O nie, mylisz się, pomyślała Sunday. Wcale nie jestem przygnębiona, tylko straszliwie wściekła. Henry widział niedawno jej wybuch wściekłości, gdy tłumaczyła mu, jak nieludzki charakter mają polowania na lisy. Gdy odzywa się w niej kropla irlandzkiej krwi, mawiał Henry, Sunday może rozwalić każdą przeszkodę.

Jeśli Henry zobaczy to ostatnie zdjęcie, będzie wiedział, że wcale się nie załamalam, mówiła sobie Sunday.

– Wygląda na to, że twój mąż jest gotów poruszyć niebo i ziemię, aby nic ci się nie stało – mówił mężczyzna. – Wszystkie stacje radiowe i telewizyjne w kółko bębnią o tym, że Claudus Jouvnet został przeniesiony do Waszyngtonu i że zobaczymy go na taśmie wideo, którą pokażą nam o godzinie jedenastej. Mówią też o tym, że twój mąż oczekuje taśmy wideo, na której ty coś powiesz. Chcą mieć pewność, że nic ci się nie stało. – Mężczyzna zaczął się przyglądać polaroidowym zdjęciom. – Świetnie. Te fotografie i kasetka magnetofonowa powinny przekonać twego męża i cały rząd, że wszystko z tobą w porządku, choć nie przebywasz w szczególnie komfortowych warunkach.

Znów zarzucił jej kaptur z grubej szmaty na głowę. Tym razem zdążyła wprawdzie zamknąć oczy, nim poczuła drapiący materiał na twarzy, ale jej czujność się zdecydowanie wzmogła.

Zrozumiała, że jeśli chce kiedykolwiek zobaczyć Henry'ego, musi sama znaleźć jakiś sposób, by się stąd wydostać. Narastało w niej dziwne przeczucie, że ten człowiek bawi się z nią i z Henrym

w kotka i myszkę na śmierć i życie. Ten człowiek nie ma nic wspólnego z polityką. Nie wygłosił
wszak żadnej typowej deklaracji nienawiści wobec rządu za domniemane zbrodnie państwa, nie
próbował w żaden sposób uzasadnić swojej akcji, którą chciał pomóc Jouvnetowi. Tak, to po prostu
zabawa w kotka i myszkę, a Sunday nie przepadała za rolą myszki.

Ale co mogłaby zrobić? Nie ma wielkich możliwości, siedząc tu związana w kompletnych
ciemnościach. Nie zdoła wprawdzie nic przedsięwziąć, jej umysł jednak pracuje wciąż całkiem
swobodnie. Znowu przypomniała sobie pierścień, który zauważyła na palcu porywacza. Nie miała
wątpliwości co do tego, że już go przedtem widziała. Tylko gdzie? I kiedy? Czy widziała go na
palcu tego samego człowieka, czy może u kogoś innego?

Przywoływała w pamięci wszystkie osoby, które mogły wchodzić w grę. Ktoś z Kongresu?
Niemożliwe. A poza tym to wspomnienie pochodziło raczej z odleglejszej przeszłości. Ktoś
z dostawców? Albo ze służących z domu w New Jersey? Nie. Znam Henry'ego od niespełna roku,
pomyślała. A wszyscy ludzie, którzy u niego pracują, są tam od wieków.

W takim razie kto to może być?

Na pewno w końcu do tego dojdę, upewniła się w duchu.

Pośpiesz się lepiej, przestrzegał ją głos wewnętrzny, masz niewiele czasu.

Czy wydostanę się stąd żywa? – zapytywała sama siebie. Czy zobaczę jeszcze kiedyś
Henry'ego? Przez dłuższą chwilę Sunday czuła ból w głębi serca. Zatęskniła do Drumdoe, do męża.
Znalazła niedawno znakomity przepis na kurczaka w czosnku w prowansalskiej książce kucharskiej
i zamierzała wypróbować go w ten weekend. Zarabiała na swoje studia w Fordham jako kucharka
i właśnie wtedy polubiła gotowanie. Skończyła potem prawdziwy kurs kulinarny. Od jakiegoś
czasu przynajmniej raz w tygodniu długoletni szef kuchni Henry'ego dostawał wychodne i Sunday
zajmowała się przygotowaniem posiłków.

Tego ranka miała spotkanie w Kongresie. Raz jeszcze dyskutowano sprawę ustawy na temat

świadczeń zdrowotnych dla dzieci nielegalnych imigrantów. Do szaleństwa doprowadzał ją facet, który przewodniczył frakcji sprzeciwiającej się podpisaniu dokumentu, a jego taktyka polegała na przywoływaniu przykładu własnych wnuków. Zamierzała w końcu przyprzeć go do muru. Najpierw jednak trzeba się stąd wydostać albo przynajmniej pomóc tym, którzy próbują ją uwolnić! Bóg troszczy się o tych, którzy potrafią się zatroszczyć o siebie. To były ulubione słowa jej ojca.

Bóg pomaga nawet tym, którzy zostają przyłapani na gorącym uczynku! Zawsze to sobie powtarzałam, próbując pomóc moim klientom, pomyślała Sunday. I wreszcie wzięła głęboki oddech.

To jest to, pomyślała bardzo podniecona. Ten pierścień wcale mi się nie kojarzy z Drumdoe ani z Waszyngtonem. Pochodzi z dawniejszych czasów. Z czasów, gdy byłam obrońcą z urzędu. Nosił go jeden z moich klientów.

Ale który? Który z setek klientów, których broniła w ciągu tych siedmiu lat, nosił na palcu taki właśnie gruby sygnet w dziurą w miejscu kamienia?

Sunday odzyskała przytomność umysłu i analizowała wszystkie sprawy, w których uczestniczyła przez te lata. Gdy zgasł w jej pamięci ostatni z obrazów, pokręciła głową. Była całkowicie pewna, że nigdy nie broniła w sądzie tego człowieka. Ale była też pewna, że pamięta ten pierścień. Choć może to nie był ten sam egzemplarz? Może to symbol jakiejś grupy terrorystycznej? Ale przecież wiem, że nigdy nie broniłam nikogo, kto by był zamieszany w działalność terrorystyczną, pomyślała, i przypomniała sobie, jak bardzo „apolitycznie” wygląda ten człowiek. W porządku, wobec tego to nie terrorysta i nigdy nie był moim klientem. W takim razie kim jest?

Gdzie Sunday spędziła poprzedni wieczór? Henry zadawał sobie to pytanie, wchodząc do gabinetu w Białym Domu nazajutrz o jedenastej przed południem. Zauważył natychmiast, że panuje

tu jeszcze bardziej ponury nastrój niż poprzedniego dnia. Oprócz Desmonda Ogilveya zobaczył cały rząd, szefów CIA i FBI oraz dwie nowe twarze: przewodniczącego większości senackiej i marszałka Kongresu. Obaj zawsze szukają okazji, by dać się sfotografować, pomyślał. Żaden z tych dwóch panów nie należał do jego ulubieńców.

Nocą prószył lekki śnieg, a prognoza pogody zapowiadała wielką burzę tuż przed weekendem, prawdopodobnie w piątek. Dobry Boże, żeby nas tylko nie zasypało, modlił się Henry. Im dłużej Sunday znajduje się w ich rękach, tym większe prawdopodobieństwo, że coś się nie uda.

Przypomniał sobie spotkanie z Jouvnetem. Co znaczą te sprzeczne instrukcje na temat kawioru? – zadał sobie pytanie raz jeszcze. Mała rzecz, ale brzmi dziwnie znacząco. Henry przyszedł tu prosto z domu, w którym umieszczono Jouvnetę, otoczonego tłumem krawców i popijającego z uśmiechem szampana. Na zakąskę przygotowano kawior. A przecież porywacze Sunday podkreślali, iż nie należy brać na pokład kawioru. Chyba że chodzi tu o jakąś zakodowaną informację. Henry pokręcił głową. Miał za sobą całe lata doświadczenia, ale ta gra była mu całkowicie obca. Najwyraźniej nie obowiązywały w niej żadne reguły i wszystko się mogło zdarzyć.

Henry zauważył, że stoi już koło swego krzesła i że wszyscy patrzą na niego z wyczekiwaniem.

– Panie prezydencie – powiedział – proszę wybaczyć, że kazałem panom czekać na siebie.

Desmond Ogilvey, uosobienie cierpliwości, prezydent najczęściej porównywany z „zimnym”

Calvinem Coolige’em, odparł:

– Henry, mówię to zazwyczaj w rozmowach z ludźmi, którzy nie szczędzą informacji dziennikarzom. – Tu spojrzał wymownie na marszałka Kongresu. – Nie częstuj mnie tymi formalnościami, jeśli nie chodzi ci o żart. Wychowano mnie w poczuciu wielkiego szacunku dla rządu i państwa. Ale to ty nauczyłeś mnie, na czym polega prezydentura.

A Sunday nauczyła mnie, na czym polega szczęście, pomyślał Henry.

Desmond Ogilvey położył dłonie na stole konferencyjnym w sposób, który z takim

upodobaniem szkicowali karykaturzyści polityczni.

– Wydaje mi się, że wszyscy orientujemy się w sytuacji – zaczął. – Samolot zostanie wyposażony w najnowocześniejszą aparaturę. Chodzi oczywiście o to, by nie tracić Jouvnet z oczu

– wszelkie jego ruchy w przyszłości będą nam zatem doskonale znane. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nawet gdyby Jouvnet w końcu wylądował w dżungli, dowiemy się, na którym drzewie i na której gałęzi siedzi. Nie powinniśmy mieć kłopotów ze zlokalizowaniem samolotu.

Ogilvey uderzył w stół splecionymi dłońmi.

– Jest jednak pewien problem. Mimo kilku potknięć nasze dwie agencje wywiadowcze ruszyły już do akcji. Wszyscy wysłannicy twierdzą, że żaden kraj, ani sprzymierzony z nami, ani nieprzyjazny, nie zaproponował Jouvnetowi schronienia. Wręcz przeciwnie, wszyscy podkreślają, że woleliby raczej zobaczyć, jak ten samolot wylatuje w powietrze, niż pozwolić, by Jouvnet postawił nogę na ich terytorium. Można z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek: w jakimś kraju, po którym wcale się tego nie spodziewamy, szykuje się najwidoczniej rewolta, mająca na celu wysadzenie z siodła rządzących, a to może spowodować poważne zamieszanie w polityce światowej.

Henry słuchał tych słów z sercem podchodzącym do gardła. Jakby widział Sunday, która walczy z silnym prądem morskim, a on nie może jej w żaden sposób pomóc.

– Dlatego – kontynuował Desmond Ogilvey – musimy założyć, że to sprawa wagi państwowej, że jakiś naród, którego sygnały zostały zlekceważone, znalazł się o krok od katastrofy. –

Spojrzenie, którym obrzucił szefa CIA, sprawiło, że nieszczęśnik pobladł. Wtedy prezydent spojrzał na swego poprzednika i dodał:

– Nie wiem doprawdy, jak mam to powiedzieć, ale wszystko wskazuje na to, że twoja żona, szanowana członkini Kongresu, trafiła w ręce zupełnie nieznanego przeciwnika. Obawiam się, że

nie pozostaje nam nic innego, niż po prostu czekać, aż ten przeciwnik się ujawni.

Henry wstał nagle z miejsca.

– Des, muszę poprawić oświadczenie, które Jouvnet ma nagrać na taśmę wideo.

Henry ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymały go objęcia przyjaznych ramion.

– Henry – obiecywał Des – na pewno ją uwolnimy. Stosujemy wszystkie dostępne nam środki.

Nie, Des, pomyślał Henry. Musimy oczywiście rozgrywać sprawę w ten sposób, ale coś mi mówi, że nie tędy droga.

Ten człowiek zaczynał tracić panowanie nad sobą. Sunday zauważyła pewną zmianę w sposobie jego zachowania. Gdzieś z góry docierały do niej jego pokrzykiwania na kobietę, którą nazywał matką. Czy ona naprawdę jest jego matką, czy też chodzi tu o jeszcze jeden wybieg? Podobnie jak te klasztorne szaty. Przebranie wygląda tak, jakby mężczyzna wypożyczył je na bal kostiumowy.

Hałas na górze wybił ją ze snu. Teraz zastanawiała się, która godzina. Minęło chyba wiele czasu od chwili, gdy robił jej zdjęcia, pomyślała. Czy Henry już je zobaczył? Czy dojrzy gniew na jej twarzy i zrozumie, że wcale nie dała za wygraną? Że nie zamierza się poddać?

Zmusiła się do tego, by całkowicie zignorować potworny ból w prawym ramieniu. Dlaczego ręce nie mogłyby wreszcie zdrętwieć, jak nogi, których już w ogóle nie czuła? Żadnego krążenia krwi, pomyślała. Gdyby był tu Henry...

Potrząsnęła głową. Nie wolno jej o tym myśleć. Obraz Henry'ego, który przecina te sznury, podnosi ją i delikatnie rozmasowuje nogi, by przywrócić w nich krążenie, był wszak zbyt fantastyczny, zresztą ta odrobina wyimaginowanego luksusu mogłaby ją rozbroić. Musi być silna. Nie zamierza się poddać bez walki.

W swoich wspomnieniach z owych siedmiu lat praktyki adwokackiej dotarła już do czwartego roku. Przypomniała sobie wszystkie istotne sprawy. Pomięta historie głupich dzieciaków,

wdających się w utarczki z wykidajłami w nocnych barach.

Pan Bóg obdarzył mnie niezwykłą pamięcią, zapewniała sama siebie, poruszając przy tym głową, by jakoś uwolnić się od lepkiego dotyku kaptura. Mama zawsze powtarzała, że wrodziłam się w ciotkę Kate.

– Wcielenie spostrzegawczości, żaden szczegół nie uszedł jej uwagi – opisywała ją matka, przedstawiając Henry’emu historię rodziny. – No i wścibska. Chyba nigdy nie zapomnę, jak Kate zapytała mnie, czy nie szykuję dla niej żadnej nowiny, sugerując, że zapewne jestem w błogosławionym stanie. Mój Boże, to był chyba pierwszy czy drugi tydzień ciąży i nie miałam najmniejszego zamiaru komukolwiek o tym wspominać. Uważam...

Sunday wpadła jej wówczas w słowo:

– Uważasz, że takie sprawy wypada rozgłaszać dopiero w czwartym miesiącu. Może ciotka Kate miała trochę nieczyste myśli. Słyszałam, że to się zdarzało w rodzinie.

Ale ja naprawdę jestem podobna do ciotki Kate, tłumaczyła sobie Sunday. Jestem spostrzegawcza i zapamiętuję najdrobniejsze szczegóły. Na pewno widziałam ten pierścień w sądzie.

Odgłos kroków na schodach przerwał tok jej myśli. Sunday poczuła, jak przeszywa ją nerwowy dreszcz. Nie wiedziała już, czy woli, by porywacz skradał się na dół po cichutku, czy żeby sygnalizował swe nadejście ciężkimi, hałaśliwymi krokami.

Jest chyba ranek. Sunday poczuła głód. Czy ten człowiek zamierza ją nakarmić? Powiedział coś na temat nagrywania taśmy. Kiedy się do tego wezmą?

Mężczyzna szurał teraz butami o cementową podłogę. Sunday poczuła, że zdejmuje jej kaptur z głowy. Przebrana postać stała tuż nad nią. Mężczyzna podniósł rękę i przekręcił dyndającą żarówkę. Znów na parę sekund oślepiło Sunday światło. Gdy jej wzrok już się przyzwyczyił do nowych warunków, zaczęła się wpatrywać w porywacza, szukając jakiegokolwiek wskazówki w jego

wyglądzie. Jego twarz wciąż się kryła w cieniu, ale Sunday nie spuszczała z niej wzroku, próbując wydobyć z podświadomości fakt, czy widziała go już, czy też nie. Zapadnięte oczy, koścista twarz. Wiek – około pięćdziesiątki.

– Matka powinna się bardziej postarać – powiedział ze złością. – Zostawiła mleko na stole na całą noc i teraz jest już kwaśne. Obawiam się, że musisz się nastawić na suche płatki owsiane z czarną kawą. Najpierw zaprowadzę cię jednak do toalety.

Stanął za krzesłem i zaczął rozwiązywać supły.

„Matka powinna się bardziej postarać...”

Ten głos. Ten ton. Słyszałam to już przedtem. Odezwał się kiedyś do mnie w ten sam sposób, pomyślała Sunday. Powiedział, że ja powinnam się bardziej postarać.

Wspomnienie rozjaśniało się niby wywoływana klisza fotograficzna. To się zdarzyło w sądzie, gdy broniła Wallace’a „Trampa” Klienta, jednego z wielu przestępców, których reprezentowała w owych latach. Sunday zaczęła pracować jako obrońca z urzędu, ponieważ była gorącą zwolenniczką zasady, że każdy przestępca zasługuje na praworządny proces. A zatem każdy z nich potrzebuje adwokata, który będzie reprezentował jego interesy. Klient należał do tych, którzy nie budzili w niej najmniejszej sympatii. Został oskarżony o morderstwo z premedytacją, Sunday zdołała jednak przekonać sąd, by winowajca odpowiadał z innego paragrafu, dzięki czemu mógł mieć nadzieję, że po dwudziestu latach, z sześćdziesiątką na karku, wyjdzie w końcu zza kratki. Proces nie był szczególnie długi, po części dlatego, że oskarżyciel nie miał w ręku niezbitych dowodów. Starszy brat Klienta pojawił się wówczas na kilka dni. Sunday jeszcze raz spojrzała na porywacza. Nic dziwnego, że go nie poznałam, pomyślała, dbając o to, by żadne uczucie nie odmalowało się na jej twarzy. Wtedy brat Klienta nosił długie włosy w strąkach i brodę i wyglądał jak starzejący się hipis. Tak, rzeczywiście miał coś wspólnego z „kulturą protestu”. Utkwiło jej to w pamięci, ponieważ długo zastanawiała się nad tym, czy nie powołać go na świadka, ale czuła, że

jego zeznanie bardziej zaszkodzi „Trampowi”, niż mu pomoże.

Sunday usiłowała sobie za wszelką cenę przypomnieć dzień, w którym wypowiedział do niej te słowa. Wyszła już z sali sądowej i szła właśnie w stronę windy, gdy ten człowiek podszedł do niej z tyłu. Położył dłoń na jej ramieniu. Pamiętała, że poczuła ucisk pierścienia i że strząsnęła tę rękę. Wtedy zauważyła ów charakterystyczny sygnet.

Mężczyzna powiedział wówczas, że ten wyrok znaczy to samo, co wyrok śmierci dla ich matki, bo ona nie dożyje chwili, gdy będzie mogła znów zobaczyć „Trampa” w domu. I właśnie wtedy powiedział mi, że powinnam się bardziej postarać, pomyślała Sunday.

Te słowa nie zabrzmiały jak groźba. Sunday pomyślała wtedy, że ten człowiek chyba oszalał, powinien przecież całować jej stopy za to, że ocaliła jego braciszka od śmierci. To dzięki niej „Tramp” produkuje w tej chwili tablice rejestracyjne do samochodów ze stanu New Jersey.

A więc ten człowiek jest jego starszym bratem. A kobieta na górze – zapewne starzejącą się matką. Nie pozwól, by się domyślił, że go poznałaś, przestrzegała się Sunday w myślach.

Gdy jednak usiłowała poskładać to wszystko w jakąś całość, nie potrafiła dopatrzeć się w niej żadnego sensu. Co starszy brat Klienta może mieć wspólnego z międzynarodowym terroryzmem? Porwanie zostało przecież zorganizowane bardzo profesjonalnie, a tymczasem ten człowiek wygląda raczej jak osamotniony szaleniec.

Poczuła wreszcie, że ma wolne ramiona. Objęła nimi natychmiast ciało i zaczęła je rozmasowywać.

Porywacz rozluźniał sznury, które krępowały jej nogi. Gdy wstała, natychmiast się potknęła. Znów sięgnęła pamięcią w przeszłość. Jak on miał na imię? Było to zapisane w sądowych dokumentach. Dosyć niezwykle imię. Zaczynało się na W.

Warfield.... Woolsey..... Wexler? Tak!

Wexler Klint. Ledwo się powstrzymała od lekkiego choćby tryumfalnego uśmiešku.

– Pomogę ci – powiedział Wexler Klint, obejmując ją w talii.

Próbowała ukryć reakcję, gdy położył jej rękę na biodrze. Jeszcze raz zaprowadził ją do toalety, przyprowadził z powrotem i powtórzył rytuał przywiązywania do krzesła, pozostawiając jej wolne ręce na czas jedzenia tego, co szumnie nazwał śniadaniem – suchych płatków owsianych z czarną kawą.

Stał beczynnie i patrzył, jak Sunday je. Kiedy skończyła, zabrał tacę z naczyniami i łyżką, po czym metodycznie związał kobiecie ręce z tyłu. Wychodząc, włączył telewizor.

– Telewizja sprawia, że czas płynie szybciej – powiedział cicho. – Jouvnet ma wystąpić o jedenastej – uśmiechnął się niewyraźnie. – Wciąż jesteś w centrum uwagi. I podejrzewam, że potrwa to jakiś czas. Pomyśl tylko, masz już zapewnione miejsce w podręcznikach historii i właśnie mnie to zawdzięczasz.

Sunday nie odpowiedziała. Była zbyt zaabsorbowana patrzeniem na Henry'ego, który pędził w stronę helikoptera czekającego na trawniku przed Białym Domem.

Sprawozdawca telewizyjny powiedział:

– Zatroškany były prezydent wybiera się właśnie do jednego z domów Secret Service, w którym umieszczono Claudusa Jouvnet. Dowiedzieliśmy się, że nastąpiła pewna zmiana w planach. Jouvnet wystąpi na żywo, a nie na taśmie wideo. Chodzi o to, by porywacze pani Britland przekonali się o tym, że rząd zamierza ściśle wypełnić wszystkie ich warunki.

Sunday patrzyła, jak Henry podchodzi do helikoptera. Wspiął się po stopniach, ale przed wejściem do kabiny odwrócił się w stronę kamer telewizyjnych. Podano mu mikrofon.

– Módlcie się za nią – powiedział.

– Niezła myśl – westchnął porywacz. – Ale to się na nic nie zda.

– Panie Jouvnet, my po prostu musimy już włączyć mikrofony. – Sydney Green, kierownik produkcji programów telewizyjnych Białego Domu, zaczął się denerwować.

Znajdowali się w Arlington, w Wirginii, tuż pod Waszyngtonem. Uroczy amerykański dworek stojący w centrum obszernej posiadłości pozornie należał do stroniącego od ludzi milionera ze Środkowego Wschodu. W rzeczywistości w domu przetrzymywano przestępców politycznych dużego kalibru.

W elegancko umeblowanym pokoju tłoczyli się agenci CIA o surowych obliczach i technicy telewizyjni pracujący w Białym Domu. Wszystkie kamery wycelowano w puste jeszcze krzesło. Claudus Jouvnet stał we wnętrzu głównego pokoju. Z pogardą odniósł się do nalegań Greena.

– Za chwilę. Widzi pan chyba, że jestem zajęty czym innym. – Odwrócił się do krawca, który właśnie dokonywał poprawek przy rękawie wizytowego garnituru – Ubolewam doprawdy nad tym, że nawet tacy mistrzowie krawieccy jak pan nie zauważają, iż moje lewe ramię jest o pół cala wyższe niż prawe.

– Zauważyłem to. Mój ojciec i dziadek także byli mistrzami krawieckimi, podobnie jak ja. – Krawiec przyklęknął, nieco przygarbiony, trzymając szpilki w ustach, ale mimo to zdobył się na ostentacyjnie chłodny ton.

– Człowiek nie powinien mieć żadnych wątpliwości co do swoich umiejętności fachowych. – Jouvnet pokiwał głową z aprobatą. – A ja nie mam wątpliwości, że znajduję się w dobrych rękach. Jouvnet skinął głową na kelnera. W jego kieliszku perlił się schłodzony Dom Perignon.

– Proszę to odstawić i usiąść, bo inaczej osobiście pana uduszę – powiedział Henry Britland niebezpiecznie ściszonego głosem.

– Jak pan sobie życzy. – Jouvnet wzruszył ramionami, postawił kieliszek na stole i odezwał się do krawca: – Wygląda na to, że musi pan zakończyć przymiarkę. Poprawki całej reszty garderoby, codziennej i sportowej, nie powinny zająć więcej niż parę godzin. Potem musimy starannie wybrać dodatki. Bardzo się cieszę, że dostarczyliście państwo sporo tych zabawnych krawatów firmy Belois.

Niemal pieszczotliwie ujął jeden z krawatów leżących na długim stole i pokazał go Henry'emu.

– Ręcznie malowany, naprawdę elegancki.

Spostrzegłszy wyraz twarzy Henry'ego, odłożył krawat i powiedział:

– A tak, wywiad!

– Musimy teraz nagrać naszą kasetę. Zdaje się, że twój mąż zaczyna się naprawdę niepokoić, nie sądzisz? – zapytał Wexler Klint.

Sunday pilnie się strzegłaby nie rozpamiętywać tego, co poczuła, ujrzawszy przepelnione bólem oczy Henry'ego, który cicho i dobitnie wygłaszał swoje oświadczenie, gdy uśmiechnięty Claudus Jouvnet już potwierdził, że rząd Stanów Zjednoczonych obiecał przetransportować go do dowolnego miejsca na pokładzie najnowszego samolotu ponaddźwiękowego, pilotowanego przez byłego prezydenta Britlanda. Jouvnet zaznaczył także, że będzie mógł opuścić samolot dopiero wtedy, gdy Sandra O'Brien Britland będzie całkowicie bezpieczna. Jakiegokolwiek fałszywe posunięcie porywaczy narazi jego, Claudusa Jouvnetę na niebezpieczeństwo.

Właśnie wtedy Henry wygłosił swoje oświadczenie:

– Muszę podkreślić, że podróż Claudusa Jouvnetę rozpocznie się dopiero wtedy, gdy otrzymam kasetę wideo, na której zobaczę moją żonę żywą i w dobrej kondycji. Jeśli start samolotu ma nastąpić wedle planu, musimy mieć kasetę w ręku dziś przed godziną piętnastą.

Klint wyłączył telewizor i odwrócił się w stronę Sunday. Trzymał mikrofon podłączony do staroświeckiego magnetofonu. Przysunął mikrofon do ust Sunday i uśmiechnął się:

– Powiedz coś osobistego, co przekona twój mąż, że obejrzałaś wystąpienie jego i Jouvnetę w telewizji. I nie zapomnij nakłonić go do współpracy; powiedz, że każda próba podstępu będzie cię kosztować życie. Przemyśl to, co chcesz powiedzieć. Nie mam zamiaru tego nagrywać jeszcze raz.

Sunday już wcześniej myślała bardzo wiele nad tym, co powinna powiedzieć, ale działo się to,

zanim rozpoznała porywacza. Nie potrafiła wprowadzić wciąż zrozumieć gry, którą prowadził Klint, nie miała jednak żadnych wątpliwości co do tego, że on wcale nie zamierza jej uwolnić. Jej myśli galopowały niemal z prędkością światła. Nabrała głębokiego oddechu. Jeśli chcesz jeszcze zobaczyć Henry'ego, to naprawdę musisz się postarać, mówiła sobie.

Zaczęła szlochać.

– Chyba nie potrafię tego zrobić – powiedziała do Klinta piskliwym głosem małej dziewczynki.

– Gdy widzę mego męża, tak bardzo za nim tęsknię. Nie chcę tu być. Chcę być razem z nim.

Rozkołysana, słaba żarówka nie rozpraszała cieni, które się kładły w tej ponurej piwnicy, ale Sunday zauważyła, że magnetofon jest już włączony. Westchnęła z rezygnacją.

– No dobrze, mówi pan, że mam koniecznie wspomnieć, że widziałam go w telewizji przed chwilą.

Przerwała i znów zaszlochała. Musiała poszukać właściwego tonu. Zamierzała użyć tonu pewnej bekisy ze swej dawnej klasy, bekisy wybuchającej płaczem przynajmniej trzy razy dziennie.

– Oczywiście, że go widziałam – zawodziła. – Och, Henry, potrafię myśleć tylko o tym, że obiecywałeś zawsze mnie bronić. Dlatego jestem pewna, że nie pozwolisz, by mi się cokolwiek stało. Będiesz mnie bronił, prawda, i niedługo wrócę do domu? Henry, gdy cię zobaczyłam, zauważyłam, że masz na nogach te same czarne angielskie mokasyny, które nosiłeś wtedy, gdy pierwszy raz oprowadzałeś mnie po Drumdoe. Pamiętasz, kochanie? Och, mam tak wiele wspomnień. Wciąż czuję, że jesteś blisko. Tak bardzo cię potrzebuję i... – głos jej się załamał pośród szlochów.

Potrząsnęła głową i popatrzyła na Klinta. Zdołała nawet uronić kilka łez.

– Już mi lepiej. Możemy zaczynać?

– Nie, właśnie skończyliśmy – uśmiechnął się Klint. – Możesz sobie odpocząć. Zniknę na jakiś czas. Nie odchodź nigdzie – zachichotał, narzucając jej kaptur na głowę.

– Zamierza pan chyba naprawdę mnie wypuścić, gdy Jouvnet wyląduje bezpiecznie, prawda?

Wie pan przecież, że Henry i cały rząd dotrzymają słowa. – Sunday ugryzła się w język.

Zapomniała się i powiedziała to wszystko normalnym głosem.

Klint jednak nie zauważył tej nagłej zmiany tonu. W odpowiedzi zaśpiewał:

– Trzy ślepe myszy: tylko popatrz, jak się uganiają...

Poprawił Sunday kaptur na głowie, muskając przy okazji kark. Potem przyłożył usta do jej ucha i szepnął:

– Chyba wiesz, kim są te ślepe myszy? Nie? No to ci powiem. Pierwsza to twój własny mąż; druga to cały rząd Stanów Zjednoczonych; a trzecia... – tu na chwilę zawiesił głos – ...a trzecia to Claudus Jouvnet.

Opuściwszy Arlington, Henry udał się prosto do zorganizowanego naprędce centrum dowodzenia w Białym Domu. Nieznaczny ruch głowy szefa CIA dał mu do zrozumienia, że nie zdarzyło się nic nowego. Wszelkie wysiłki, by ustalić, w jaki sposób opanowano samochód Sunday i obezwładniono jej ochronę, spełzły na niczym. Wszyscy byli przekonani, że Sunday znajduje się gdzieś niedaleko Waszyngtonu, ale nikt nie potrafił dostarczyć żadnego tropu. Kiepska aura sprawiła, że mało kto wychodził z domu i nie udało się znaleźć nikogo, kto zauważyłby coś podejrzanego. Jak na razie, trzeba było się zadowolić kilkoma odciskami stóp, które pozostały na śniegu niedaleko miejsca, w którym najprawdopodobniej zatrzymał się samochód Sunday.

Pewności nie mieli, można było jednak założyć, że ślady należą do porywaczy. Specjaliści zajęli się już badaniem odlewów, wykonanych według tych śladów.

Henry, nieodstępowany przez Jacka Collinsa i Marvina Kleina, wszedł do gabinetu, by po raz czwarty zadzwonić do ojca Sunday.

Gdy odłożył słuchawkę, odezwał się bezbarwnym tonem:

– Matka Sunday, wszystkie jej ciotki, wszyscy wujowie i kuzyni są w kościele. Jej ojciec

powiedział tylko, że jego mała dziewczynka jest mądrzejsza od całej bandy terrorystów. A potem się rozplakał.

– Musi pan coś zjeść, sir – zauważył Klein, przyciskając jednocześnie guzik na stole.

– Jouvnet nie stracił na razie apetytu – odezwał się Collins, nie kryjąc ironii. – Chłopcy powiedzieli mi, że zamówił więcej szampana i kawioru niż którykolwiek z rosyjskich zdrajców, których od czasu do czasu zwykliśmy zabawiać. Trzeba było zamówić kolejną dostawę. A przed chwilą zameldowano mi, że Jouvnet życzy sobie, aby kolację przygotował mu osobiście szef kuchni „Le Lion d’Or”.

– Zastanawiam się, dlaczego tak się teraz opycha – powiedział Henry z irytacją w głosie.

– Nie wątpię, że czeka na niego uroczysty obiad tam, dokąd się wybiera. Czy mamy jakieś podejrzenia, o jaki kraj chodzi?

– Niestety, nie – odparł Klein. – Być może Biały Dom ma rację – pewnie gdzieś szykuje się właśnie zamach stanu i Jouvnet powita jakiś nowo utworzony rząd, ale jak dotąd, nikt nie zaproponował mu gościny. A lepiej, żeby już się zdarzyło to, co ma się zdarzyć, bo mamy mało czasu.

Tuż przed piętnastą do gabinetu zaczęli wracać członkowie rządu i inni uczestnicy spotkania.

Jako ostatni zjawił się prezydent Ogilvey w towarzystwie sekretarza stanu.

– Nikt, ale to nikt nie przyznaje się do zaaranżowania tej wycieczki Jouvnet – oznajmił sekretarz z goryczą.

O piętnastej wszyscy obecni umilkli. Dopiero dziesięć po trzeciej zadzwonił Tom Brokaw z NBC i zażądałby go czym prędzej połączono z byłym prezydentem Britlandem.

– Proszę łączyć – powiedział Henry. Brokawowie często bywali na kolacjach w Drumdoe.

Brokaw nie tracił czasu na uprzejmości:

– Sir, parę minut temu zadzwonił do mnie człowiek, który podał się za członka Ruchu Obrony

i Wyzwolenia Jommeta. W pierwszej chwili myślałem, że to jakiś dowcip, ale informacja, którą właśnie otrzymałem z naszego waszyngtońskiego biura, chyba potwierdza tożsamość mojego rozmówcy. Malutka paczuszka, owinięta w brązowy papier i zaadresowana na pańskie nazwisko, została znaleziona na stopniach katedry Świętego Mateusza. Wiadomo, że wielu wariatów próbuje włączyć się w tego rodzaju tragiczne wydarzenia, ale tym razem dzwonił chyba właściwy człowiek. Dowiedziałem się, że pod pańskim nazwiskiem na paczuszce wypisano numer telefonu. Zaraz go panu podam.

– To numer telefonu naszej willi w Prowansji – powiedział Henry. – Zna go bardzo niewielu zaufanych ludzi, ale zapewne jest także zapisany w notatniku, który Sunday nosi w torebce. Gdzie jest teraz ta paczka?

– Już wydałem polecenie, by nasi ludzie dostarczyli ją panu. Powinni dotrzeć do Białego Domu lada moment.

– Tom, jesteś prawdziwym przyjacielem. Dzięki, że tego nie otworzyłeś – powiedział Henry szczerze. Podał słuchawkę Mardnowi Kleinowi, który stał tuż koło niego.

– Panie Brokaw – powiedział Klein – prezydent Britland jest panu niezmiernie zobowiązany. Oczywiście poinformujemy pana o wszelkich nowych faktach.

Henry ruszył w stronę drzwi i zatrzymał się tam, czekając niecierpliwie na paczkę. W każdym razie starają się zapewnić nas o tym, że są skłonni do współpracy, pocieszał się.

– To kasetka magnetofonowa, sir – powiedział Collins, wchodząc do pokoju. – Ale jest także zdjęcie.

Umiejętność przybierania kamiennego wyrazu twarzy, która tak dobrze służyła Henry’emu podczas konferencji na szczycie, zawiodła go w chwili, gdy spojrzął na zdjęcie. Widok Sunday przywiązanej do krzesła w jakiejś nędznej, mrocznej dziurze łamał mu serce. Cierpiał katusze, widząc jej wykręcone do tyłu ramiona. To obolałe ramię przysparza jej chyba okropnych męczarni,

pomyślał.

Ale gdy ujrzał jej twarz, niemal się uśmiechnął. Oczywiście pewne pocieszenie stanowiło już to, że widzi ją żywą. Ale było też coś w wyrazie twarzy, coś, co budziło w nim nadzieję. Sunday znalazła się w straszliwych opałach, ale najwyraźniej nie straciła ducha. Nie poddała się. Na tym zdjęciu Henry zobaczył jej gniew, gniew, który dobrze znał.

Prezydent Britland podniósł wzrok.

– Chciałbym usłyszeć nagranie.

Oparł się o stół, zamknął oczy i słuchał szlochu żony i błagań, by jej bronił.

Gdy nagranie dobiegło końca, powiedział:

– Chciałbym usłyszeć to powtórnie.

Przesłuchał taśmę jeszcze dwukrotnie, po czym spojrział na otaczających go mężczyzn, którym zwilgotniały oczy.

– Nie rozumiecie? – zapytał niecierpliwie. – Sunday próbuje nam coś przekazać. Wszystko, co mówi, ma nas naprowadzić na jakiś trop. Dokładnie pamiętam ten dzień, gdy ją oprowadzałem po Drumdoe. Oboje byliśmy ubrani w codzienne stroje. Wcale nie miałem na nogach angielskich mokasynów, tylko trampki. Sunday usiłuje przekazać jakąś informację.

– Ależ Henry – powiedział prezydent. – Ona jest przecież zupełnie wytrącona z równowagi.

– To tylko gra, Des – odparł Henry bez cienia wątpliwości. – Znam ją dobrze. Nawet gdyby zakuli ją w dyby, nie jęczałaby w ten sposób. Nie wiem tylko, co ona chce nam przez to powiedzieć. To musi być jakiś szyfr. Ale jaki? Co ona, na miłość boską, chce nam powiedzieć? Czy to wciąż czwartkowa noc, czy już piątkowy ranek? Sunday nie była tego pewna. Drzemała, gdy poczuła nagle, że ktoś rozwiązuje jej ręce.

– Oglądałem właśnie CNN – szepnął Wexler Klint. – Pokazali długi program o tobie. Nie wiedziałem, że byłaś ratownikiem w czasach szkolnych. Kto wie? Może ci się to przyda całkiem

niedługo? – Przerwał na chwilę, ponownie krępując jej ręce, tym razem jednak z przodu. – A może i nie. Tak czy inaczej, wybieramy się na przejażdżkę.

Zdjął jej kaptur z głowy i Sunday poczuła, że zawiązuje jej usta jakąś szmatą. Jej gniewny protest zamarł pod kneblem. Kaptur raz jeszcze przesłonił jej widok. Potem zorientowała się, że Klint rozcina sznur, którym przywiązał ją do krzesła. Zadrasnął ją przy tym ostrzem w prawą nogę i z rany popłynęła ciepła krew. Sunday celowo otarła nogę o jeden z drążków krzesła. „Kilroy był tutaj”, pomyślała, przypominając sobie opowieści ojca o tym, w jaki sposób cichociemni pozostawiali informacje o tym, że byli w jakimś miejscu.

Do gardła podchodził jej histeryczny śmiech. Zdaje się, że przegrywam, mówiła sobie. Tylko spokojnie.

Co też ten człowiek zamierza ze mną zrobić? – zastanawiała się.

Klint podniósł ją i położył na szorstkiej, betonowej podłodze. Zapach stęchlizny był wszechogarniający, przenikał nawet przez grube płótno kaptura. Potem porywacz owinał ją czymś, prawdopodobnie kocem, który uprzednio na nią narzucił. Kiedy to było? Kilka godzin temu? Kilka dni temu? Może zdołałaby to jakoś złożyć w całość, ale uświadomiła sobie z przerażeniem, że jest całkowicie zdezorientowana. Musi odzyskać panowanie nad sobą, jeśli chce mieć jakąkolwiek nadzieję, że wyjdzie z tego cało.

Nagle poczuła, że Klint ją podnosi i gdzieś niesie. Ten człowiek był niezwykle silny. Trzymał ją w ramionach, jakby była lekka niczym piórko. Jej stopy otarły się o krzesło, a potem chyba o ścianę. Czyżby niósł ją na górę?

Ale skręcił w prawo, a nie w lewo. Słyszała, jak po omacku szuka klamki. Potem poczuła lodowaty powiew powietrza, przenikający cienki koc. A zatem wyszli na dwór. Słysząc było odgłos pracującego silnika.

– Obawiam się, że bagażnik nie będzie szczególnie wygodny – powiedział Klint – ale, niestety,

musimy go użyć. Cele więzienne również nie są komfortowe. Poza tym w panujących warunkach atmosferycznych potrzebujemy przynajmniej pięciu godzin, by dotrzeć tam, gdzie się wybieramy.

Ale nie martw się, na pewno zdążymy obejrzeć dramatyczne wydarzenia na lotnisku.

Sunday napięła mięśnie, czując, jak wpada do bagażnika. Układał jej ciało tak długo, aż leżała wreszcie zwinięta w kłębek. Gdy spróbowała wyprostować nogi, jej stopy natrafiły na opór. Potem Klint ściągnął z niej koc i ułożył go tak, by przykryć całe jej ciało. Kaptur przywarł Sunday do nozdrzy. Węzeł knebla ściśle opasującego głowę wrzynał się w tył czaszki. Ból w ramieniu promieniował coraz silniej. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek znajdowała się w bardziej nieprzyjemnym położeniu.

Potem poczuła, że Klint ładuje na nią jakieś przedmioty. Odgadła, że ten człowiek próbuje jak najskuteczniej zamaskować jej ciało. Robił to jednak cicho i ostrożnie, jakby się lękał, że ktoś go usłyszy. Gdzie właściwie to wszystko się rozgrywa? Może ktoś z sąsiadów stoi w oknie i patrzy na nich? Słyszała przecież gdzieś w pobliżu szczekanie psa. Dobry Boże, błagam, modliła się, spraw, by ktoś patrzył na ten samochód w tej chwili.

Bagażnik zamknął się prawie bezszelestnie. Chwilę później bolesne wstrząsy dowiodły, że zaczął się kolejny etap koszmarnych przeżyć Sunday.

– Sir, jak panu wiadomo, mediolańskie trampki, które zwykł pan nosić, są szalenie ekskluzywnym obuwiem, którego nabycie przewyższa możliwości finansowe przeciętnego obywatela.

O godzinie piątej rano w piątek Conrad White, czołowy analityk CIA, zdawał Henry’emu Britlandowi raport z badań dedukcyjnych, które miały wyjaśnić podtekst celowego błędu Sunday w jej wypowiedzi na temat obuwia, które Henry miał na sobie w dniu, gdy po raz pierwszy przywiózł ją do Drumdoe. Henry Britland irytował się coraz bardziej w miarę słuchania sprawozdania. White zachowywał się tak, jakby przedstawiał sprawę niezbyt rozgarniętemu i wolno

myślącemu studentowi: oto nasz problem, oto szczegółowe pytania, a to możliwe rozwiązania.

Tylko że w ogóle nie macie racji, myślał Henry pogardliwie. Zamrugął lekko, próbując pozbyć się nieznośnego pieczenia oczu.

Conrad White powiedział:

– Jeśli wolno mi coś zasugerować, sir, to pozwolę sobie zauważyć, że przydałoby się panu parę godzin snu, zwłaszcza że ma pan odbyć podróż, która zapewne będzie dość długa.

– Nie wolno panu nic sugerować – burknął Henry. – Niechże pan wreszcie przystąpi do rzeczy.

Zdaje się, że zamierza mi pan powiedzieć, że nie miałem na sobie angielskich mokasynów i że mediolańskie trampki są bez wątpienia włoskim produktem. I dlatego właśnie sądzicie, że moja żona sugeruje nam, byśmy szukali tych porywaczy we Włoszech.

– Albo też pośród tych, z którymi nasi włoscy przyjaciele mają kłopoty – skorygował jego słowa White. – Może w mafii. Może naprawdę w mafii. Mają tam przecież długą tradycję, jeśli chodzi o tego typu działalność: porwania i morderstwa. Och, przepraszam, panie prezydencie, nie miałem zamiaru...

Ale właśnie w tym momencie White ostatecznie stracił słuchacza. Henry odwrócił się do Jacka Collinsa i Marvina Kleina.

– Idziemy do wschodniej sali – zdecydował niespodziewanie.

Poprowadził ich w stronę schodów, a potem na górę, do wspaniałego pomieszczenia, w którym z portretów na ścianach spoglądali życzliwie Marta i Jerzy Waszyngtonowie. Dlaczego przyszedłem właśnie tutaj? – zastanawiał się Henry, siadając na krześle, które było jego ulubionym siedziskiem za czasów urzędowania w tym budynku. Najwyraźniej przywiódł go tutaj instynkt.

A może przyprowadziło go tu wspomnienie cudownego przyjęcia, które Des i Roberta urządzili dla niego i Sunday w parę tygodni po ślubie? Najpierw podano koktajle, potem wszyscy przeszli na kolację do głównej sali jadalnej, by powrócić znów tutaj na krótki koncert. Henry sięgnął pamięcią

do tamtego wieczoru. Sunday miała na sobie jasnoniebieską atlasową suknię z długimi rękawami i diamentowy naszyjnik, który pradziadek Henry'ego kupił od jakiegoś maharadży. Wyglądała wówczas naprawdę pięknie.

Na twarzy Henry'ego błąkał się uśmiech, gdy wspominał, jak wielu ludzi wyrażało ubolewanie, że nie spotkał Sunday osiem lat wcześniej, bo byłaby wówczas wspaniałą Pierwszą Damą.

Ambasador brytyjski powiedział to w obecności nas obojga, zamyślił się Henry. Potem dodał coś jeszcze, Sunday mu odpowiedziała i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Musisz to sobie przypomnieć, szeptał mu jakiś głos w podświadomości.

Henry pochylił się do przodu i klasnął w rękę. Może White miał jednak rację, może naprawdę jest już zmęczony. Pokręcił głową. Nie, jestem pewien, że w tym wszystkim coś się kryje, upewnił sam siebie. Koniecznie muszę sobie przypomnieć tę rozmowę. Coś mi mówi, że tamte słowa mają wiele wspólnego z informacją, którą Sunday próbowała przemycić na kasecie, pomyślał, czując przypływ nadziei. Dlatego moja intuicja kazała mi tu przyjść...

Zauważył, że Collins i Klein stoją w przepisowej odległości, i skinął dłonią, sugerując, by usiedli naprzeciwko niego.

– Pozwalam, by moje myśli wędrowały swobodnie, na zasadzie luźnych skojarzeń. Teraz wasza kolej. Strumień świadomości – rozkazał. Nie proponował nic nowego, wszyscy trzej wielokrotnie uciekali się do tej metody, gdy chodziło o znalezienie nowego sposobu podejścia do problemu.

Zaczął Collins:

– Sir, źle się dzieje w państwie duńskim.

Henry poczuł przypływ energii. Intuicja podpowiadała mu, że to właściwa droga.

– Dalej.

– Chłopcy z CIA tracą czas; co więcej, oni tracą nasz czas. Mafia tkwi po same uszy we własnych problemach, więc to rozwiązanie kodu jest nic niewarte. Mafia nigdy nie podjęłaby akcji

przeciw rządowi Stanów Zjednoczonych, uprowadzając żonę byłego prezydenta. A poza tym, sir, wszelkie istniejące grupy terrorystyczne, czy to nowe, czy stare, przysięgają na wszystkie świętości, że nie mają z tym nic wspólnego. Na dodatek nie istnieje w tej chwili żadne ugrupowanie, które miałyby słowo „obrona” w swojej nazwie.

Obrona.... bronić...

Henry’ego nagle bez reszty opanowały wspomnienia. To się zdarzyło tu, właśnie w tym pokoju, pomyślał, tuż pod portretami Waszyngtonów. Gdy brytyjski ambasador powiedział Sunday, że byłoby lepiej, gdyby spotkała prezydenta Britlanda wcześniej, ona odparła:

– Nie sądzę, by Henry wówczas w ogóle zwrócił na mnie uwagę. Kiedy wygrał pierwsze wybory, byłam na drugim roku studiów prawniczych. Cztery lata później, gdy wybrano go powtórnie, pracowałam jako obrońca z urzędu, walcząc w imieniu moich nieszczęsnych klientów, którzy czasem na to rzeczywiście zasługiwali, ale najczęściej nie byli, niestety, szczególnie praworządnymi obywatelami...

Henry pomyślał: i wtedy powiedziałem, że usłyszawszy sporo historii o niektórych procesach, obiecałem Sunday, że będę jej bronił przed niezadowolonymi klientami, których nie będzie mogła się pozbyć.

Henry podniósł się, oblany rumieńcem podniecenia.

– Właśnie tego szukałem po omacku – oznajmił głośno, odwracając się ku swym zdziwionym towarzyszom. – Sunday usiłowała mi powiedzieć, że w porwanie zamieszany jest ktoś, kogo zna z jakiegoś procesu w okresie, gdy była obrońcą z urzędu! Idziemy! Mamy mało czasu!

Sunday zdawała sobie sprawę z tego, że dar zasypiania w absolutnie każdych okolicznościach jest zgoła nieoceniony. Miała jednak nadzieję, że tym razem ta umiejętność nie obróci się przeciwko niej. Przejażdżka po wertepach sprawiała katusze jej obolałemu ramieniu, więc po godzinie Sunday przypominała sobie kilka technik jogi z lekcji, które brała całe wieki temu,

i zdołała jakoś wyeliminować ból ze swej świadomości. Oddając się ćwiczeniom, zasnęła.

Tym samym znowu straciła poczucie czasu. Jak długo już jedziemy, zastanawiała się. I dokąd?

Klint wspomniał o lotnisku, ale przecież intuicja podpowiadała jej, że dom, w którym ją trzymano, znajdował się gdzieś w okolicach Waszyngtonu, a zatem do lotniska dojechaliby już jakiś czas temu. Nie, zdecydowanie oddalali się od stolicy.

Sunday nic wprawdzie nie widziała, ale słyszała odgłosy innych samochodów. Wobec tego jadą chyba jakąś główną drogą. Czy zdoła osiągnąć cokolwiek, jeśli zacznie walić stopami w bagażnik? – zastanawiała się. Nie, w każdym razie nie podczas jazdy. Gdyby jednak zatrzymali się na stacji benzynowej... Jeśli jednak miała skorzystać z tego rodzaju okazji, to powinna jakoś znieść ból, nie zasypiać i uważać.

Po pewnym czasie poczuła, że samochód zwalnia. Wykręciła się nieco, usiłując przyjąć pozycję, w której mogłaby kopnąć w pokrywę bagażnika. Zatrzymali się na chwilę i samochód ruszył dalej.

Rogatki z opłatą drogową, pomyślała. Na której autostradzie? W którym stanie? Dokąd ten samochód jedzie?

Godzinę później знаła już odpowiedź. Gdy Klint otworzył bagażnik i wyciągnął ją z niego, przez kaptur i koc poczuła zapach oceanu.

„Nie wiedziałem, że byłaś ratownikiem w czasach szkolnych. Kto wie? Może to ci się przyda całkiem niedługo”. Tak właśnie powiedział Klint nieco wcześniej. Teraz zrozumiała: Klint zamierza ją utopić.

Gdy niósł ją gdzieś, zaczęła się modlić w duchu:

„Panie, wybacz, jeśli kiedykolwiek poczułam się zdradzona. Większość ludzi nie zaznaje nawet godziny szczęścia, które ja poznałam u boku Henry’ego. Błagam, troszcz się o niego. I o mamę i ojca. Nikt nie byłby dla mnie lepszy niż oni”.

Poczuła, że Clint trzyma ją tylko jedną ręką, po chwili zaś usłyszała pobrzękiwanie kluczy.

Zaskrzypiały otwierane drzwi. Chwilę później posadził ją na krześle.

Nieustanne ukłucia bólu w ramieniu nie ustały, ale zeszły jakby na drugi plan. Nic nie liczyło się bardziej niż fakt, że wyrok został na razie zawieszony. Sunday zaczęła się modlić nieco inaczej:

„Panie, błagam Cię – szeptała w głębi duszy – spraw, by renesansowy umysł człowieka, którego poślubiłam, zdołał odczytać wiadomość, którą próbowałam mu przesłać. Powiedz mu, że „bronić” znaczy „obrońca z urzędu”. Podpowiedz, by zamienił „mokasyny” na „trampki”. I daj mu moc, by te słowa naprowadziły go na trop „Trampa”. Klinta i jego szalonego brata”.

Trzeba było całej godziny jakże cennego czasu, by ułożyć całość z sygnałów, które przekazała Sunday. Jednak połączone siły CIA i FBI, zaprzężnięte do poszukiwań, zdołały wreszcie ustalić, którego ze swych licznych klientów Sunday mogła mieć na myśli, formułując przemyślaną, acz tak niejasną informację. Jej aluzja do „obrony” sprawiła, że sprawdzili wszystkich klientów, których sprawy prowadziła swego czasu. Nieco trudniejsze okazało się rozszyfrowanie wskazówki ukrytej w zdaniu o butach Henry’ego. Ostatecznie Henry domyślił się, że mówiąc o mokasynach Gucciego, chociaż wcale nie miał ich na sobie we wspomnianym przez nią dniu, Sunday chciała skierować jego uwagę na trampki, które wówczas rzeczywiście nosił. Dzięki temu odkryciu wydedukowano ostatecznie, którego ze swych klientów miała Sunday na myśli: chodziło jej o „Trampa” Klinta.

Henry był dopiero w progu pokoju, w którym pochrapywał Claudus Jouvnet, gdy już zaczął krzyczeć:

– Wstawaj, ty łotrze! Koniec zabawy. Zaczнеш wreszcie mówić i zrobisz to właśnie teraz!

Jouvnet otworzył jedno oko i odruchowo sięgnął ręką pod poduszkę.

– Nie ma tam żadnego rewolweru – syknął Jack Collins przez zaciśnięte zęby. – Tamte dni już dawno minęły, ty bandyto. – Wyciągnął Jouvnet z łóżka i popchnął go pod ścianę. – Masz odpowiadać. Natychmiast!

Jouvnet zamrugał i ostrożnie wygładził boki pasiastej piżamy Cahrina Kleina.

– A więc już wiecie – westchnął. – No cóż, sądzę, że John Gotti zrobiłby wszystko, aby przeżyć takie cudowne dni.

Marvin Klein zapalił górne światło.

– Mów – rozkazał. – Dokąd miałeś polecieć ponaddźwiękowcem?

Jouvnet rozmasował policzek, potem spojrzął na wszystkich trzech mężczyzn i wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Henry odsunął Collinsa na bok.

– Kto porwał moją żonę? – zapytał.

Jouvnet gapił się na niego bezmyślnie.

– Kto porwał moją żonę? – krzyknął Henry.

Jouvnet osunął się na brzeg łóżka i potarł sobie czoło.

– Bez wątplenia nie powinienem pić brandy – westchnął. – Ale co zrobić, skoro nigdy nie potrafiłem odmówić sobie Remy Martin V. S. O. P. A kelner wcale mi go nie żałował ostatniej nocy. – Jouvnet spojrzął Henry'emu w oczy i natychmiast przybrał czujny wyraz twarzy. – Wiecie przecież równie dobrze jak ja, że nikt nie zapłaci nawet pensa, by mnie wydostać z więzienia – rzekł z emfazą. – Przez minione trzydzieści lat zdołałem w ten czy inny sposób wyprowadzić w pole wszystkie rządy i wszystkie organizacje polityczne. Wcale nie jestem z tego dumny. Ale z tego właśnie żyłem. – Przerwał na chwilę, obrzucił wszystkich spojrzeniem i ponownie zatrzymał wzrok na Henrym. – Mogę wam także wyznać, że gdyby naprawdę doszło do tego, że pan, panie prezydencie, i ja wsiedlibyśmy do tego samolotu, nie miałbym pojęcia, co mam panu powiedzieć. Nikt mnie przecież nie przyjmie. Nie wiem, jaką grę ktoś z wami prowadzi, ale wiem na pewno, że ja nie mam gdzie się podziać. Jeśli nie liczyć więzienia. Jestem w pełni świadom, że mam się

znacznie lepiej jako stały rezydent Marion, stan Ohio, niż gdziekolwiek indziej. Ten dzień wolności to był doprawdy niezły żart – ach, ten cudowny kawior – i wykorzystałem go gruntownie, wiedząc, że dobiegnie końca. Byłem pewien, że prędzej czy później wszystko rozszyfrujecie, no i właśnie to uczyniliście.

Henry nie mógł oderwać wzroku od tego człowieka. On nie kłamał, pomyślał, czując, jak zamiera w nim serce.

– Dobrze, Jouvnet, powiedz, czy mówi ci coś nazwisko „Tramp” Klint?

– „Tramp” Klint. – Jouvnet sprawiał wrażenie człowieka prawdziwie skonsternowanego. – Nic, absolutnie nic. A powinno?

– Mamy powody, by przypuszczać, że ten człowiek ma coś wspólnego z porwaniem mojej żony, a raczej, że jest w to zamieszany jego brat Wexler Klint. „Tramp” Klint odbywa właśnie karę więzienia. Jego brat nigdy nie został skazany, ale naszym zdaniem, może żywić urazę do mojej żony.

Jouvnet pokręcił głową.

– Przykro mi panów rozczarować. Swego czasu znałem wiele niezbyt przyjemnych postaci, ale, niestety, nie było wśród nich ani „Trampa” Klinta, ani jego brata.

Parę godzin później, gdy poranne słońce próbowało przeszyć posępne chmury swymi promieniami, atmosfera w niektórych pokojach Białego Domu zdawała się naładowana elektrycznością.

Prezydent, odziany w swe ulubione codzienne ubranie, składające się z dżinsów i teksasowej koszuli, opuścił właśnie prywatne apartamenty położone dwa piętra wyżej i pojawił się przed Henrym, który wziął przed chwilą przemienny, gorący i zimny, prysznic, by jakoś rozjaśnić umysł. Jeden z agentów Secret Service wybrał się do apartamentu Britlandów na Watergate i przyniósł przyrządy nawigacyjne, bluzę i spodnie. Henry ogolił się po raz pierwszy od dwóch dni.

Zdecydował się na te wszystkie zabiegi wyłącznie dlatego, że wciąż powtarzał sobie, iż właśnie dziś znajdą Sunday, i nie chciałby ujrzała go tak zaniedbanego.

Do Conrada White'a, który nieco wcześniej wygłosił teorię na temat mafii, przyłączył się inny analityk CIA. Obaj panowie spierali się teraz po cichu o to, jakim tropem powinni pójść dalej, gdy ujrzeni, że zbliża się były prezydent.

White, który wciąż trwał przy swej koncepcji na temat udziału mafii w porwaniu, zwrócił się do Henry'ego:

– Sir, „Tramp” Clint pętał się zawsze wokół jakichś gangów, był swego rodzaju chłopcem na posyłki. Wydaje mi się, że jego brat również miał z nimi wiele wspólnego. Być może w końcu uznano, że się marnuje. Pańska sugestia, by odszukać akta Wexlera z jego lat młodzieńczych, okazała się niezwykle owocna. W młodości niejednokrotnie pakował się w tarapaty. Zdaje się, że był zwolennikiem ruchów hipisowskich w późnych latach sześćdziesiątych i że przez jakiś czas podejrzewano go o kontakty z pewnymi radykalnymi grupami alternatywnymi, choć naszym zdaniem, fakt, iż nie uczył się w żadnym college'u, zamykał przed nim progi tego rodzaju organizacji; nigdy zresztą nie został członkiem żadnej z nich. Ostatni odnotowany epizod wydaje się najbardziej znaczący. Ktoś związany z SDL – jedną z najbardziej radykalnych grup działających w kampusach uniwersyteckich – zostawił w biurze linii PanAm na lotnisku w Newark list zawierający groźbę uprowadzenia burmistrza Hackensack, stan New Jersey. Wexler Clint był jednym z podejrzanych, ale ta sprawa nigdy nie została rozwikłana. Później, jeśli nie liczyć różnych przestępstw drogowych i paru przypadków zakłócenia porządku publicznego, nazwisko Klinta nie pojawia się w kartotekach policyjnych. Wiemy jednak, że podejmował bardzo różne prace. Jego iloraz inteligencji znamionuje niemal genialny umysł. Dodawszy do tego fakt, że pracował kiedyś w fabryce, w której mieszał chemikalia używane w dezodorantach, potem zaś w warsztacie samochodowym...

– Czemu pan wciąż mi o tym opowiada? – zapytał rozsierdzony Henry Britland, niebezpiecznie podniesionym głosem. – To nie ma żadnego znaczenia. Wiemy już, kogo szukamy.

– Ależ sir – przerwał mu White – musimy...

– Musicie mi pomóc znaleźć moją żonę. Gdy już to zrobicie, może pan analizować sytuację tak długo, jak pan sobie życzy. Czy wyrażam się dostatecznie jasno? Nie interesuje mnie portret psychologiczny tego człowieka; interesuje mnie plan akcji. – Przerwał na chwilę, gdy jego twarz znalazła się zaledwie parę cali od zadziwionego oblicza agenta CIA. – No więc, czy panowie ustalili już jakąś wspólną strategię?

Tym razem odezwał się drugi analityk, ten, który zachowywał milczenie podczas długich wyjaśnień White'a:

– Mimo wielkiego współczucia dla pani Britland i dla pana prezydenta muszę przyznać, że nie możemy zrobić nic więcej, niż postarać się jak najtrafniej odtworzyć rozumowanie Wexlera Klinta i wymyślić coś, na co on najprawdopodobniej zareaguje. – Tu skinął głową w kierunku White'a. – Mój kolega i ja sądzimy, że trzeba ogłosić w telewizji, iż już wiemy, że człowiekiem, którego szukamy, jest Wexler Klint, i zapewnić go, że jeśli się podda, to rząd Stanów Zjednoczonych ręczy, iż zostanie potraktowany łagodnie, pod warunkiem że zwróci wolność pańskiej żonie.

– Obaj zgadzacie się co do tego? – zapytał Henry.

– Owszem, choć ja uważam – odezwał się White – że zważywszy na szczególnie silne więzi rodzinne między braćmi Klintami, można by zachęcić go do kapitulacji, obiecując, że obaj będą mogli odwiedzać się nawzajem w więzieniach.

Sugestia White'a zawisła gdzieś w powietrzu pod ciężkim spojrzeniem Henry'ego.

Na obliczu Britlanda malowała się niechęć i niedowierzanie, gdy odwrócił się od obydwu agentów i wszedł do pokoju, w którym jego następcą rozmawiał z jakimiś ludźmi.

– Des, musimy coś zrobić. Mam poczucie, że zostało nam bardzo niewiele czasu. Ta kreatura

nie dała żadnego sygnału już od wielu godzin. A my nie mamy pojęcia, gdzie jest Sunday. – Henry zwrócił się do Marvinina Kleina: – Marv, czy wiadomo już cokolwiek o miejscu zamieszkania tego Klinta?

– Na razie nie, sir. Nasi ludzie przyciskają „Trampa” Klinta w więzieniu w Trenton, ale on wciąż utrzymuje, że nie wie, gdzie jest jego brat. Twierdzi, że nie kontaktował się z nim od dnia, w którym sąd wymierzył mu karę. Niestety, ludzie, z którymi rozmawiałem, przypuszczają, że ten człowiek mówi prawdę.

– Wiemy, że rodzina już się wyprowadziła z Hoboken – odezwał się Jack Collins – gdzie mieszkała podczas procesu młodszego brata. Znaleźliśmy to miejsce. Dowiedzieliśmy się od „Trampa”, że jego matka miała chorowitą siostrę, która mieszkała we własnym domu gdzieś w okolicy Waszyngtonu. Być może właśnie tam się przeprowadziła. „Tramp” zdradził nam także, że jego brat zawsze planował jakąś wielką akcję przeciwko rządowi, by „wyrównać rachunki” za wszystkie krzywdy, których doznał od państwa. Marzył też, by dokonać czegoś, co zapewni mu miejsce w podręcznikach historii. Podobno matka Klintów zawsze była niespełna rozumu i „Tramp” podejrzewa, że brat odziedziczył po niej te skłonności. – Collins pokiwał głową. – Tak czy inaczej, sprawdzamy właśnie okolice Waszyngtonu, szukając jakichś śladów tej siostry i próbując ustalić, gdzie ona mieszka.

Z przeciwległego kąta pokoju dobiegł ich pełen podniecenia okrzyk:

– Sir, udało nam się zlokalizować dom siostry. Zdaje się, że ta kobieta zmarła niedawno, ale matka Klintów chyba mieszka w tym domu i całkiem możliwe, że jest tam także Wexler Klint.

– Ruszamy! – wykrzyknął Henry. – Założę się, że właśnie w tym miejscu znajdziemy Sunday.

Dwadzieścia minut później przygnębiony Henry Britland stał już w suterenie podniszczonego domu w Georgetown. Trzymał w ręce zakiet Sunday. Z oparcia i z drążków krzesła, na którym ją sfotografowano, wciąż zwisały resztki liny. Henry zauważył, że agent, który robił właśnie zdjęcia,

zatrzymał się nagle i przykucnął koło krzesła.

– O co chodzi? – zapytał Henry.

Agent zawahał się przez chwilę.

– Obawiam się, że są tu ślady krwi, sir.

Henry z zamierającym sercem wyobraził sobie, co tu się mogło stać. Porywacz nieostroźnie przecinał sznury, którymi przywiązał Sunday do krzesła i zranił ją przy tym w nogę. Henry odwrócił się, rozsierzony do ostatecznych granic. Zabiję go, przyrzekł sobie solennie w duchu. Znajdę go i zabiję.

Jack Collins przyjrzał się dokładnie plamce krwi.

– Sir, chyba nie należy się tym szczególnie martwić; zważywszy na to, jak niewiele krwi zostało na krześle, można założyć, że ranka jest niewielka. – Collins się wyprostował. – Jest dziewiąta. Czy postanowił pan już, co zrobimy?

Henry zacisnął dłonie na tweedowym zakiecie, który wciąż pachniał dyskretnie ulubionymi perfumami Sunday.

– Chcę porozmawiać z matką Klintów.

– Nie dowie się pan od niej zbyt wiele, sir. Jest przerażona i dezorientowana. Powtarza tylko, że syn przyprowadził wprawdzie tę panią do domu, ale nie pozwoliłby matka zeszła na dół i ją zobaczyła.

Starsza pani siedziała na zdezelowanej sofie w małym pokoju dziennym wąskiego domu.

Kobieta o nieobecnych, smutnym spojrzeniu kołysała się, nucąc coś pod nosem.

Henry stanął obok niej i ujął ją za rękę. Bogaty czy biedny, pomyślał, każdego może spotkać ten sam los. Jego własna babka cierpiała na chorobę Alzheimera.

Przypomniawszy sobie rozmowy z babką, ostrożnie zamknął dłoń staruszki w swojej dłoni.

– Nuci pani bardzo ładną piosenkę – zagadnął. – „Trzy ślepe myszy...”, prawda? Dlaczego pani

to śpiewa?

– Wszyscy się na mnie gniewają – powiedziała staruszka, spoglądając na Henry’ego.

– Nikt się na panią nie gniewa – uspokoił ją Henry. Poczuł, że napięcie, które zdradzała jej dłoń, powoli słabnie.

– Przeze mnie skwaśniało mleko. Mój syn kazał mi śpiewać razem ze sobą. Ale potem się na mnie rozgniewał. Przeze mnie skwaśniało mleko.

– To przecież nic strasznego. Nie powinien się wściekać – powiedział Henry. – A gdzie jest teraz pani syn?

– Powiedział, że jedzie popływać z tą panią.

Henry poczuł, że nagły przypływ strachu dławi go w gardle. Koperta z lokiem Sunday była zanurzona w morskiej wodzie – powinien przecież wyciągnąć z tego wnioski.

– Kiedy pojechali popływać? – zdołał zadać następne pytanie.

– Będą pływać wtedy, kiedy odleci samolot. Ja też chciałam z nimi jechać, ale on powiedział, że to za daleko. Czy New Jersey jest daleko? Ja jestem z New Jersey.

– New Jersey – powtórzył Henry. – A czy wie pani, dokąd pojechali?

– Wiem. Ale to za daleko. – Kobieta przerwałaby spojrzeć na swoje dłonie. – Czy Long Branch jest za daleko? Podobało mi się tam. Wolałam tamten dom niż ten, który mieliśmy w Hoboken. Stał blisko oceanu. Gdy samolot odleci, pójdą popływać. – Staruszka zamknęła oczy i znów zaczęła nucić.

Henry wstał, nie przestając głaskać jej dłoni

– Postępujcie z nią delikatnie – przykazał agentowi, stojącemu w drzwiach. – I na miłość boską, niech ktoś siądzie koło niej, niech do niej mówi i słucha jej słów.

Dziesięć po dziesiątej kamery telewizyjne usytuowane w odpowiedniej odległości zaczęły śledzić kawalkadę agentów Secret Service, eskortujących byłego prezydenta Stanów

Zjednoczonych, Henry'ego Parkera Britlanda i terrorystę Claudusa Jouvnet, którzy przez pole startowe zbliżali się do najnowszej ponaddzwiękowiec.

Gdy już dotarli do stopni, agenci cofnęli się o krok i patrzyli, jak Britland i Jouvnet wsiadają do samolotu i zamykają za sobą drzwi.

– Jouvnet poinformował rząd, że nie określi miejsca, do którego chce lecieć, przed drugim śniadaniem – oznajmił telewizjom Dan Rather. – Zażądałby podano mu ostrygi, omlet z kawiozem, chateaubriand ze szparagami i ciasteczka. Posiłek ma być uzupełniony stosownymi winami i zakończony portwajnem. Szef kuchni „Le Lion d’Or” wszedł już wcześniej na pokład, by poczynić odpowiednie przygotowania, opuści jednak oczywiście samolot, gdy wszystko zostanie podane. Wówczas prezydent Britland przekaże nam plan lotu i samolot wystartuje. Nie mieliśmy żadnych więcej wiadomości od porywaczy, którzy przetrzymują żonę pana Britlanda, Sandrę O’Brien Britland, ale według naszych źródeł, pani Britland odzyska wolność, gdy samolot wyląduje w miejscu, które dopiero za jakiś czas zostanie określone. W ten sposób cała historia dobiegnie chyba wkrótce końca. Dzięki uprzejmości jednego z naszych widzów będziemy mogli państwu pokazać amatorskie nagranie wideo, przedstawiające panią Britland podczas jej tanecznego występu z czasów szkolnych. Miło mi państwa zaprosić na ten program.

O mój Boże, pomyślała Sunday, widząc na ekranie własne pląsy w zielonej tiulowej spódniczce, z migoczącą różdżką w ręku. Oni chyba zwariowali.

Gdy Klint ją tu przyprowadził, miała wciąż zakrytą głowę, ale wszystko wskazywało na to, że znów trafiła do jakiejś piwniczki, bardziej jeszcze zrujnowanej. Klint zabrał ze sobą telewizor i podłączył go do tego samego przewodu, na którym dyndała matowa żarówka.

Sunday siedziała przywiązana do metalowego krzesła o ostrych, przeżartych rdzą krawędziach, ale nie troszczyła się o to zupełnie. Myślała tylko o tym, czy Henry zdoła rozszyfrować jej wiadomość. Nie miała wątpliwości, że mężczyzna, który pojawił się na ekranie w zasłaniającym

wiele stroju pilota, nie jest jej mężem. Najprawdopodobniej był to agent, który czasami odgrywał rolę Henry'ego, jeśli ludzie mieli zobaczyć prezydenta wsiadającego do helikoptera, by lecieć do Camp David.

Sunday domyśliła się także, że cała historia drugiego śniadania jest tylko wybiegiem taktycznym. Czy Wexler Klint nie zaczął przypadkiem czegoś podejrzewać? Spojrzała ostrożnie w kąat pokoju, gdzie Klint leżał rozwalony na zatęchłym materacu, na którym spoczęła też jego mnisia szata. Przebrał się w kombinezon pływacki i najwyraźniej się niecierpliwił, skubiąc brzeg ubrania.

Sunday poczuła kolejny przyływ przerażenia. Jeśli Henry zastosował się do wskazówek i przejrzał moje stare akta, rzuciło mu się z pewnością w oczy nazwisko „Trampa”, myślała, próbując pocieszyć sama siebie. Jestem pewna, że właśnie w tej chwili mnie szuka. W przeciwnym razie wsiadłby do tego samolotu.

Tymczasem helikopter Henry'ego krążył nad Long Branch, oddalonym o jakieś pięćdziesiąt mil. Dziesiątki agentów kręciły się po wybrzeżu. Inni dzwonili do każdych drzwi i przeszukiwali każdy dom, który sprawiał wrażenie opuszczonego.

– Sir, jeśli pani Britland tu jest, znajdziemy ją – powtórzył Marvin Klein po raz piąty w ciągu pół godziny.

– Ale jeśli w słowach tej nieszczęsnej starej kobiety jest choćby cień prawdy, to dlaczego nie możemy znaleźć żadnych dowodów na to, że Klintowie tu kiedyś mieszkali? Nie ma żadnych śladów, które sugerowałyby, że byli tu kiedykolwiek zameldowani – powiedział Henry, nie kryjąc zdenerwowania i frustracji. – Być może wszystko jest tylko jej urojeniem.

Czas upływa, czas upływa, powtarzał sobie Henry coraz częściej. Nie istnieje nawet strzęp dowodu na to, że to wszystko ma jakikolwiek sens. Klint mógł już dojechać na plażę w Południowej Karolinie. Zresztą może oni wcale nie byli właścicielami żadnego domu, może tylko

wynajmowali coś w tej okolicy. Albo żyli tu pod innym nazwiskiem. Nie mamy czasu, by zbadać wszystkie możliwości.

– Zadzwońcie do więzienia w Trenton – powiedział Henry do Kleina. – Chcę jeszcze raz porozmawiać z „Trampem”.

Mijały godziny i nie działo się absolutnie nic; prezenterzy musieli się ograniczyć do powtarzania dobrze znanych faktów. Kamery pokazywały wciąż samolot stojący na oddalonym pasie startowym.

– Dochodzi już południe, sądzę więc, że drugie śniadanie wkrótce dobiegnie końca – oznajmił telewidzom Tom Brokaw. – W każdej chwili szef kuchni może pojawić się na stopniach samolotu. Nie wspomniał jednak o tym, że – podobnie jak wielu innych wytrawnych dziennikarzy – zaczął podejrzewać, iż cała historia z drugim śniadaniem jest jedynie wybiegiem służącym opóźnieniu startu.

– Jeśli samolot nie wystartuje do dwunastej trzydzieści, nie będziesz, niestety, w stanie pomachać na pożegnanie swemu mężowi – oznajmił Wexler Clint ze złością. – Mam tego dość. Coś mi się zdaje, że oni próbują jakichś numerów. – Clint podniósł się, podszedł do drzwi i wyrzwał na zewnątrz. – Znowu się chmurzy. No i nieźle wieje. Świetnie. Na pewno nikogo nie będzie dziś na plaży.

Wyszedł na chwilę z pomieszczenia, by wrócić ze staroświeckim budzikiem w rękę. Nastawił go na dwunastą trzydzieści i nakręcił hałaśliwy mechanizm. Umieścił zegarek na podłodze, naprzeciwko krzesła, na którym siedziała Sunday.

– O dwunastej trzydzieści pójdziemy popływać – uśmiechnął się, spoglądając na kobietę.

Claudus Jouvnet skończył właśnie jeść kawior, który zabrał ze sobą na pokład. Na pokładzie samolotu nie było, rzecz jasna, żadnego szefa kuchni, tylko dubler prezydenta Britlanda i gromadka agentów. Właśnie jeden z nich odgrywał przed kamerami rolę kucharza. Jouvnet delectował się

jednak resztkami, które zostały mu z poprzedniego dnia

– Och, tak bardzo tęsknię za wygodnym życiem – westchnął terrorysta. Rozejrzał się z rozrzewnieniem po komfortowej kabinie. Potem jego spojrzenie spoczęło na walizkach marki Vuitton, w których kryła się tak droga jego sercu garderoba. Agenci zgodzili się nie rezygnować z tej części podstępu i pozwolili mu zabrać bagaż na pokład samolotu.

– Jak pan uważa, czy w podzięce za współpracę pozwolą mi zabrać krawaty Belois do więzienia w Marion? – zagadnął Jouvnet dublera Henry’ego Britlanda.

– Panie prezydencie, gdybym mógł panu pomóc, z pewnością bym to zrobił – zaklinał się „Tramp” Clint płaczliwie. – Domyśla się pan przecież, że ci strażnicy nie zawsze są mili. Sam pan rozumie. Nic więcej nie wiem. Mama urodziła Wexa, kiedy miała czterdzieści trzy lata, a mnie dwa lata później. Ojciec? Kto go tam wie. Nigdy go nie znałem, mama nigdy o nim nie mówiła. Zdaje się, że zwiął parę miesięcy po moim urodzeniu.

– Znam historię pańskiej rodziny – przerwał mu Henry, chcąc się dowiedzieć, czegoś nowego, istotnego.

– No, ale ja muszę jeszcze raz podkreślić, że to nie była wina mamy. Obaj z Wexem trzymaliśmy nie z tymi, z którymi trzeba, chociaż mama robiła, co się dało. Dzięki niej poszliśmy do szkoły i Wex nawet przez jakiś czas miał kumpli z college’u. Obaj byliśmy zdolni, naprawdę zdolni. Ale jest, jak jest, i tyle. Prawda?

– Czy wasza matka miała kiedykolwiek dom w Long Branch, w New Jersey? – jęknął Henry. – Nic więcej nie chcę wiedzieć.

– Mama ma już dziewięćdziesiątkę na karku. Dajcie jej spokój. Nie miała pojęcia, czy idę do ciupy, czy wybieram się na rejs karnawałowy. Ona nie jest normalna. Mój brat też nie, tylko że u niego to nie kwestia wieku. To zwyczajny wariat.

– Dość już tego! – Henry prawie krzyczał. – Nic mnie to nie obchodzi! Chcę tylko wiedzieć,

czy pański brat ma jakieś mieszkanie na Long Beach.

– Przedtem pytał pan o Long Branch. O co panu właściwie chodzi? – zapytał „Tramp”. –

Owszem, jeździliśmy czasem na Long Beach Island. Wex i mama lubili to miejsce. Myślałem trochę o starych czasach. Wex zawsze powtarzał, że pewnego dnia wszyscy ludzie o nim usłyszą. Ciągle snuł jakieś niedorzeczne plany, które miały mu zapewnić miejsce w historii. Kiedyś nawet wpadł w tarapaty, bo zagroził, że porwie burmistrza Hackensack... Jak on się nazywał, zaraz, zaraz, chyba Obie Good. Taki skrót od Obious Good. Niezła ksywa, prawda? Wex zawsze używał tego jako pseudonimu: O – kropka, B – kropka, Good.

Henry dawno już przestał słuchać. Long Beach Island. Ciekawe, czy pani Klint przejęzyczyła się tak samo jak ja? Ona przynajmniej ma niezłe usprawiedliwienie, pomyślał Henry.

Long Beach Island leży jakieś pięćdziesiąt mil na południe od Long Branch, ale zostało im już tak mało czasu, że równie dobrze mogłoby chodzić o tysiąc mil.

Henry zostawił karteczkę dla Marvina Kleina. „Long Beach Island. Sprawdź kartotekę niejakiego O. B. Gooda”.

Dziesięć sekund później cała eskadra helikopterów wzięła kurs na południe, śpiesząc czym prędzej do Long Beach Island. Minęła właśnie dwunasta dwadzieścia osiem.

Dan Rather stanął przed kamerami, a na ekranach stojących za jego plecami można było dostrzec zarys SST. Samolot stał w dalszym ciągu na pasie startowym, wokół niego nie działo się chyba zupełnie nic. Rather wertował kartki leżące przed nim, po czym spojrzał w prawą stronę, jakby czekał na jakieś wskazówki. Wreszcie odwrócił się w stronę kamery i powiedział:

– Z najnowszych informacji wynika, iż trasa lotu została już wyznaczona, ale start opóźni się z powodu nieoczekiwanej awarii silnika. Prezydent Desmond Ogilvey zamierza właśnie osobiście zwrócić się do porywaczy pani Britland, prosząc, by okazali cierpliwość i dali załodze trochę czasu na uporanie się z tym problemem technicznym.

Ekran telewizora był już jedynym źródłem światła w zawilgoconej suterenie domku na wybrzeżu New Jersey. Dźwięk głosu prezydenta Ogilveya odbijał się pustym echem od ścian pokoju. Nie było tam już nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

T. S. Eliot napisał, że świat nie skończy się z hukiem, ale ze skomleniem, pomyślała Sunday, popędzana i popychana ku złowieszczemu poszarzałemu brzegowi Atlantyku, lecz biada mi, jeśli zacznę teraz skomleć! Miała wciąż związane ręce, tym razem z przodu, sznur krępujący nogi został spleciony na tyle luźno, by mogła kuśtykać po piasku. Popychał ją Wexler Klint, ubrany w kompletny strój do nurkowania, uzupełniony maską i butlą tlenową. Trzymał Sunday obiema rękami i pędził w stronę linii brzegowej.

W tej wodzie można chyba zamarznąć, pomyślała. Nawet gdybym miała jakąś szansę, to i tak nie dałabym rady. Zdaje się, że pisana mi jest hipotermia. A może hydrotermia? Och, Henry, myślałam, że dokonam jeszcze czegoś w życiu. Myślałam, że zrobię coś dobrego dla ludzi, którzy tego potrzebują, a potem wrócę do ciebie, do domu. Byłoby nam tak cudownie, strasznie mi przykro, że to się nie ziści.

Gdy dotarli do brzegu, Sunday poczuła lodowatą falę na stopach.

Boże mój, jaka zimna woda, pomyślała Sunday, coraz bardziej zatrwożona.

Fala obmyła jej kolana.

Od dziecka uwielbiałam ocean, wspominała, mając przed oczami obraz siebie samej jako małej dziewczynki, ciągle wyrywającej się ku wodzie na wybrzeżu w Jersey. Mama zwykła mawiać, że przydałyby się jej oczy dookoła głowy, by mnie pilnować na plaży. Miło by było, gdyby te oczy patrzyły na mnie w tej chwili. Żegnaj, mamó, żegnaj, tato.

Skłębiona woda sięgała już Sunday do pasa, podwodne prądy były wyczuwalne gdzieś w okolicy stóp. Henry, kocham cię, pomyślała.

Klint, z nieobecny, zimnym spojrzeniem, uporczywie zmuszał Sunday, by wchodziła coraz

głębiej w ocean. Wodoszczelna izolacja pływackiego kombinezonu i szum morskich fal zagłuszały ledwo słyszalny pomruk, który dobiegał gdzieś z północy, nasilając się z każdą sekundą.

Wexler Klint miał zamiar zaciągnąć Sunday na głębiny, utopić ją z dala od brzegu i zaholować jej ciało aż do miejsca, w którym porwałby je wartki prąd. Może wypłynęłoby gdzieś po kilku dniach czy miesiącach, ale co to za różnica? Wtedy będzie już martwa, a przecież o to właśnie chodzi. Klint nie troszczył się nawet o to, że być może w końcu zostanie schwytany. Chciał zostawić po sobie ślad. Chciał zapewnić sobie miejsce w podręcznikach historii.

– Sir, tam, na lewo! Proszę spojrzeć!

Henry pośpieszył do przeciwległego okna helikoptera. Przez lornetkę dostrzegł jakąś postać unoszącą się na wodzie, co najmniej dwadzieścia jardów od brzegu. Próbował uregulować ostrość, by przyjrzeć się lepiej tej postaci, która najwyraźniej coś przytrzymywała. Nie widział, co się tam właściwie dzieje, może to po prostu jakiś samotny, zawzięty rybak, który chce coś złowić za wszelką cenę. Czas był już zbyt cenny, by go tracić niepotrzebnie.

Helikopter zbliżał się do tego miejsca. Henry raz jeszcze wyregulował ostrość i wtedy rozpoznał jasne włosy unoszące się na pomarszczonej powierzchni wody! Sunday, pomyślał. To musi być Sunday!

– Nurkuj! – krzyknął.

Helikopter zaczął gwałtownie obniżać lot

Sunday walczyła co sił, przytrzymywana przez Klinta. Nie potrafiła jednak utrzymać głowy na powierzchni. Żegnaj, Henry, pomyślała.

Wtedy właśnie Klint usłyszał hałas zbliżających się helikopterów, spojrzał w górę i uświadomił sobie, co się dzieje. Kurczowo zacisnął ramię na szyi Sunday i wepchnął jej głowę pod wodę. Jeszcze zdąży ją wykończyć. Nawet jeśliby miał zostać ujęty, zapewni sobie miejsce w podręcznikach historii. Pokazał tym bandytom, jak bardzo ich nienawidzi.

Tym bandytom z Waszyngtonu.

To była ostatnia myśl Wexlera Klinta przed ocknięciem się w kajdankach, parę minut później. Henry błyskawicznie rzucił się do wody, wypływając natychmiast na powierzchnię. Chwyił Sunday jednym ramieniem, drugim zaś zerwał Klintowi maskę z twarzy i ścisnął mu szyję paraliżującym chwytem. Mam nadzieję, że ten człowiek utonie, pomyślał. Helikoptery zrzuciły im na pomoc całą armię agentów.

– Kochana, moja kochana – powtarzał Henry bez końca, płynąc przez fale i trzymając żonę u boku.

– Henry, najdroższy – szepnęła rozdygotana Sunday, otaczając jego szyję ramionami. – Nie waż się mnie całować, zanim nie umyję zębów.

Henry Parker Britland IV nie potrafił nigdy przedtem powiedzieć komuś „zamknij się”, tym razem jednak miał to zgoła na końcu języka. W oczach kręciły mu się łzy, gdy już dotarł do brzegu i potoczył się po piasku, nie wypuszczając z objęć ukochanej Sunday. Zlekceważył oczywiście prośbę żony i, całując jej usta, szeptał:

– Cicho bądź, cicho, kochanie.

Sunday odpowiedziała mu stłumionym chichotem spoza podzwaniających zębów.

Henry zajrzał jej w oczy. To histeria, pomyślał.

– Wypłacz się – powiedział. – Masz za sobą okropne chwile. – Po chwili dodał jednak z niedowierzaniem: – Mój Boże, przecież ty się śmiejesz!

– Och, nie śmieję się z ciebie, kochanie – zapewniła Sunday, wtulając twarz w jego szyję, gdy obmyła ich kolejna fala. – Pomyślałam po prostu, że wybraliśmy sobie dosyć dziwną porę roku na odgrywanie Burta Lancastera i Deborah Kerr.

– O czym ty mówisz? – zapytał Henry, kompletnie zdezorientowany.

– O filmie „Stąd do wieczności”.

„Kolumbia”

The New York Times, 8 listopada

Były prezydent Henry Parker Britland IV kupił jacht „Kolumbia”, który przed laty należał do jego rodziny. „Kolumbię” zbudowano dla rodziny Britlandów w 1940 roku, w 1964 roku natomiast jacht został sprzedany panu Hodginsowi Weatherby’emu. Tuż przed tą transakcją na pokładzie „Kolumbii” w tajemniczych i do tej pory niewyjaśnionych okolicznościach zaginął premier Costa Barrii, Garcia del Rio.

Trzydzieści lat jacht cieszył się sławą miejsca nawiedzanego przez duchy, częściowo za sprawą tajemniczego zniknięcia pana del Rio, częściowo zaś z powodu ekscentrycznego i dość kontrowersyjnego zachowania ostatniego właściciela. „Kolumbia” jest znacznie większa, wygodniejsza i bardziej luksusowa niż niegdysiejszy oficjalny jacht prezydencki, „Sekwoja”, dlatego stała się ulubionym miejscem wypoczynku prezydentów, począwszy od Roosevelta, skończywszy na Geraldzie Fordzie.

W jednym z apartamentów „Manhattan’s Plaza Hotel” Congor Reuthers, szczupły, muskularny mężczyzna około pięćdziesiątki, drżącym głosem czytał, zgodnie z rozkazem, fragment artykułu, po czym spojrzał z wyrazem przerażenia na swą chlebodawczynię.

Siedzieli przy stoliku ustawionym pod oknem z widokiem na Central Park, a w eleganckim pokoju dały się słyszeć stłumione postukiwania kopyt koni zaprzęzonych do przejeżdżających w dole powozów. W oczekiwaniu na reakcję pracodawczyni Reuthers pograżył się na chwilę we wspomnieniach swego pierwszego polowania na lisy. Był wówczas młody i zastanawiał się, jak też się czuje zwierzę w potrzasku. Teraz już wiedział.

Reakcja szefowej nie minęła się z jego oczekiwaniami: filiżanka z kawą stanęła znów na talerzyku.

Nawet błękitne soczewki kontaktowe nie mogły ukryć wściekłości gromadzącej się

w mroźnych, czarnych oczach. Angelica, jak zwykle, podróżowała incognito. Tym razem wcieliła się w lady Roth-Jones: włożyła niebieskie szkła kontaktowe, skromną perukę ciemnoblonde, tweedowy kostium i oksfordzkie buty.

Reuthers spuścił wzrok pod jej spojrzeniem.

– Przepraszam – wymamrotał, mając ochotę połknąć własny język.

– Przepraszasz – powiedziała podniesionym głosem. – Spodziewałam się nieco bardziej sensownej odpowiedzi. Gdzie był Carlos?

– Tam gdzie powinien.

– Więc dlaczego nie licytował? Nie, nie chodzi o licytowanie: dlaczego nie kupił jachtu?

– Bał się, że rozpozna go jeden z tajniaków. Nikt nie wiedział, że Britland ma się tam zjawić.

Nie spodziewaliśmy się żadnej konkurencji. Carlos posłał czym prędzej po Roberta, żeby on wziął udział w licytacji. Ale zanim Roberto dostał się do środka, prezydent Britland potroił cenę wywoławczą. Po chwili jacht należał już do niego. Pieniądze były przeznaczone na cele charytatywne....

Szefowa przez dobrą chwilę patrzyła na niego bez słowa, po czym zapytała:

– Co Britland zamierza zrobić z jachtem?

Tym razem Reuthers zdecydowanie wolałby połknąć język, by uniknąć odpowiedzi.

– Powiedział, że popłynie nim od razu do swej prywatnej przystani w Boca Raton na Florydzie.

Jak pani wie, skończył architekturę i podobno zamierza osobiście zaprojektować nowy wystrój wnętrza, a potem zaproponować, by jacht znowu służył rządowi podczas wizyt głów państw.

Zapewne rząd będzie wówczas uczestniczył w kosztach utrzymania jachtu.

– Wiadomo, co to oznacza.

Reuthers pokiwał głową bez słowa.

– Carlos i Roberto nie będą mi już potrzebni. – Palce, które przed chwilą trzymały filiżankę

z delikatnej chińskiej porcelany, uchwyciły teraz konwulsyjnie brzeg stołu.

– Jasne... – Reuthers zagryzł wargi, by zdławić swój protest.

– Jasne? – Jej jadowity szept najwyraźniej go przedrzeźniał. – Uważaj, żebyś niedługo nie podzielił losu swoich przyjaciół. Na co mi jesteś potrzebny? Właśnie ty powinieneś wiedzieć, że Britland zamierza licytować „Kolumbię”. – Żelazne spojrzenie zmroziło Reuthersowi serce. – Wynoś się stąd w tej chwili!

– Henry, kochanie, wciąż nie mogę w to uwierzyć – westchnęła Sunday, przechylając się przez reling „Kolumbii”, by ujrzeć pierwsze zarysy Belle Maris, graniczącej z oceanem posiadłości Britlandów na Florydzie. Wyciągając szyję, odgarnęła rozwiane wiatrem, pszeniczne włosy, przesłaniające spojrzenie roziskrzonych niebieskich oczu.

„Najczystsza moja, co mi jesteś żoną, ostatnim darem niebios, radością nieskończoną”, rozmarzył się Henry Parker Britland IV, podnosząc wzrok sponad projektów „Kolumbii”, które przeglądał wygodnie wyciągnięty w fotelu. Od czasu niedawnego uprowadzenia Sunday często przychodziły mu na myśl te słowa Miliona.

– Dlaczego nie możesz w to uwierzyć? – zapytał z czułością w głosie.

– Bo kiedy miałam dziewięć lat, przeczytałam książkę o „Kolumbii” i próbowałam sobie wyobrazić, jak prezydent Roosevelt i Winston Churchill żeglowali nią do Potomacu. Czy potrafisz sobie wyobrazić ich rozmowę? A prezydent Truman grał tu czasem na pianinie, gdy razem z Bess wydawali przyjęcie dla swych gości. Państwo Kennedy i Johnsonowie też uwielbiali ten jacht, u prezydent Ford zwykł trenować swoje słynne uderzenie golfowe na przednim pokładzie.

– Kiedyś uderzył kapitana – oznajmił Henry z poważną miną. – Żartowano, że załoga dostaje wojenny żołd, gdy prezydent Ford wyjmuje swoje kije golfowe.

– Powinnam pamiętać, że wiesz wszystko o „Kolumbii” – uśmiechnęła się Sunday. – Przecież można powiedzieć, że tutaj wyrosłeś. – Jej twarz spoważniała trochę. – No i wiem dobrze, że nigdy

nie zapomniałeś tej nocy, gdy zniknął premier del Rio. Nietrudno to zrozumieć. Wciąż odczuwamy skutki tego wydarzenia.

– Miałem dwanaście lat – mówił przygnębiony tym wspomnieniem Henry. – I byłem ostatnią osobą, która z nim rozmawiała, zanim wyszedł na pokład, by zapalić papierosa. To najbardziej czarujący mężczyzna, jakiego kiedykolwiek znałem. Poprosiłbym poszedł razem z nim.

Sunday spostrzegła, że oczy męża zasnuły się mgłą smutku. Podeszła do fotela i przysiadła tuż obok Henry’ego.

On przesunął trochę nogi, by żonie było wygodniej, i dotknął jej dłoni.

– Byłem jedynym przedstawicielem tego pokolenia Britlandów, więc ojciec starał się zabierać mnie ze sobą przy każdej okazji. Mój Boże, składałem razem z nim wizytę u szacha, gdy w Iranie kwitła jeszcze monarchia.

Sunday całymi godzinami mogła słuchać opowieści Henry’ego o czasach jego dzieciństwa i młodości. Te historie tak bardzo różniły się od wszystkiego, czego ona sama doświadczyła, dorastając w Jersey City, w rodzinie maszynisty kolei stanu New Jersey!

Tym razem jednak, choć ciekawił ją dalszy ciąg opowieści o wizycie u szacha, wołałaby usłyszeć, co się stało na „Kolumbii” tamtej pamiętnej nocy.

– Nie wiedziałam, że byłeś ostatnią osobą, która rozmawiała z premierem del Rio – powiedziała cicho.

– Tego wieczoru kolacja upłynęła w miłej atmosferze – ciągnął Henry. – Premier ogłosił, że mój ojciec zamierza wysłać swoją firmę inżynieryjną, by zbudowała wiele mostów, tuneli i dróg w Costa Barrii za połowę normalnej ceny. Dzięki temu wspaniałomyślnemu gestowi miała się poprawić sytuacja ekonomiczna tamtego kraju. Wszyscy obecni rozumieli, że boom gospodarczy pomoże premierowi del Rio utrzymać władzę i uchronić kraj przed kolejnymi dyktatorskimi rządami.

– Del Rio i jego ministrowie byli zapewne bardzo szczęśliwi – powiedziała Sunday. – Czy sądzisz, że w tej sytuacji mógł popełnić samobójstwo? – Zauważywszy zmarszczkę, która przecięła czoło Henry’ego, dodała po chwili: – Henry, mój drogi, widzę, że ta rozmowa jest dla ciebie zbyt bolesna. Nie krępuj się więc i odeślij mnie z kwitkiem.

– Kochanie, gdybym naprawdę chciał odesłać cię z kwitkiem, miałabyś niezły kawałek do przepłynięcia – odparł Henry. – I choć nie wspomniałaś o tym – na razie – to przecież wiem, że nie podjęłaś jeszcze decyzji w sprawie głosowania Kongresu nad ustawą, która otworzy możliwość wznowienia pomocy dla Costa Barii.

– Wiem, że, twoim zdaniem, lepiej byłoby się z tym wstrzymać – broniła się Sunday. – Ale przecież trudno uznać za nieistniejącą wyspę, na której żyje osiem milionów mieszkańców, wyspę, na której tak wielu ludzi cierpi biedę i naprawdę potrzebuje naszej pomocy.

– Bobby Kennedy mówił coś podobnego, gdy chodziło o stosunki z Chinami.

– W 1968 roku, prawda? – zapytała Sunday.

– W czerwcu 1968 roku, gwoli ścisłości – odparł Henry. – A jeśli chodzi o premiera del Rio, to był on wielkim przyjacielem mego ojca i regularnie nas odwiedzał. Mogę powiedzieć z dumą, że nawet mnie polubił, a ponieważ zadałem sobie trud, by dowiedzieć się wszystkiego na temat jego kraju i panującej tam sytuacji politycznej i gospodarczej, zabawiał się sprawdzaniem moich informacji. Ostatniego dnia poszliśmy razem popływać w basenie. Popołudnie było doprawdy przepiękne, ale on popadł w melancholię. Całkiem poważnie powiedział mi w pewnej chwili, że z jakiegoś powodu wciąż prześladowają go ostatnie słowa Cezara.

– „I ty, Brutusie”? Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. W każdej chwili groził mu zamach. Jakoś żył z tą świadomością. Ale na „Kolumbii” czuł się zazwyczaj, bezpiecznie.

Wiem jednakowoż, że miewał okresy depresji, i w tej chwili wydaje mi się, że być może

właśnie to uczucie ovladnęło nim tego wieczoru.

– Całkiem możliwe – zgodziła się Sunday.

– Jak już wspomniałem, kolacja upłynęła w miłej atmosferze i zakończyła się kwadrans po dziesiątej. Pani del Rio od razu poszła do siebie, ale premier został jeszcze na chwilę, by się uprzejmie pożegnać. Gdy wychodziłem z jadalni, podszedł i zaprosił mnie na przechadzkę po pokładzie. Powiedziałem, że matka oczekuje mojego telefonu o dziesiątej trzydzieści. Podejmowała wówczas swoją starą przyjaciółkę, królową Holandii Julianę, która przyjechała na tydzień do Nowego Jorku. Wtedy, pomimo nieskazitelnych manier premiera, dostrzegłem jego głębokie zatroskanie. Dodałem więc czym prędzej, że matka byłaby zapewne zadowolona, gdybym przyjął jego zaproszenie na przechadzkę.

– W takim razie nie możesz się winić – orzekła Sunday.

Henry patrzył gdzieś w dal.

– Pamiętam, że klepnął mnie po ramieniu i powiedział, że nie wolno mi rozczarować matki, że może dokonałem najwłaściwszego wyboru za nas obydwu. Dodał, że potrzebuje odrobiny samotności, bo musi pilnie przemyśleć jakąś ważną sprawę, po czym objął mnie, ukradkiem wydobyl z kieszeni jakąś kopertę i wsunął ją do mojej. Poprosił szeptem, bym ją dla niego przechował aż do chwili, gdy mnie o nią zapyta. Potem poszedłem do swego pokoju i zatelefonowałem do matki, by jej opowiedzieć o tym wieczorze, a rano obudził mnie przeraźliwy krzyk pani del Rio. Wiem, że niezależnie od tego, co się wtedy wydarzyło, ja byłem jedyną osobą, która mogła temu zapobiec.

– Albo podzielić los premiera, próbując go uratować – rzekła Sunday z przekonaniem. – O ile cię znam, skoczyłbyś za nim do wody. Myślisz, że dwunastoletni chłopiec, nawet jeśli byłeś nim ty, mógłby zmienić bieg zdarzeń? Jesteś dla siebie zbyt surowy.

Henry pokiwał głową.

- Pewnie masz rację. Jakoś nie potrafię się uwolnić od tamtych wspomnień, przekonany, że być może byłem świadkiem czegoś, czego nie zrozumiałem w porę.
- Ależ, Henry – zaprotestowała Sunday – mówisz jak moi klienci, których broniłam w sądzie: „Facet, który zastrzelił moją żonę, uciekł tamtędy”.
- Nie – zaproponował Henry. – Nie wiesz jeszcze, kochanie, że mój ojciec poprosił mnie, bym spisał wszystkie wrażenia z tego wieczoru, tak jak to czyniłem w związku z każdym ważniejszym wydarzeniem, w którym brałem udział. Do swojego dziennika wpinałem luźne kartki, tak by móc w przyszłości połączyć związane ze sobą wydarzenia. Robię to właśnie teraz, spisując pamiętniki.
- Ja pisałam swój dziennik w kołonotatniku – zwierzyła się mężowi Sunday.
- Byłbym bardzo rad, gdybym mógł go przeczytać.
- Nigdy w życiu. Ale co właściwie chciałeś mi powiedzieć?
- Po rozmowie z matką – choć byłem bardzo zmęczony – zmusiłem się, by wszystko szczegółowo zapisać. Zostawiłem dziennik na biurku, a na wierzchu kopertę, którą wręczył mi premier. Nocą zniknęły zarówno zapisane przeze mnie strony, jak i koperta.
- Sunday obrzuciła go pełnym zdziwienia spojrzeniem.
- To znaczy, że ktoś wszedł do twojego pokoju, gdy spałeś, i ukradł kopertę wraz z twoimi zapiskami?
- Tak.
- W takim razie, Henry, przychodzą mi na myśl tylko dwa słowa: nieczysta gra.
- Już przyплыnęli, Sims! – zawołał Marvin Klein, stojąc w oknie salonu w Belle Maris i patrząc, jak lśniący jacht zarzuca kotwicę.
- Sims przechadzał się dostojnym krokiem, układając kwiaty w wazonie na stoliku do kawy.
- A więc są na miejscu – powiedział ciepło. – Z radością mogę powiedzieć, że wszystko już przygotowano na ich powitanie. „Kolumbia” to wspaniały jacht, prawda? Pływałem na niej kilka

razy – westchnął Sims. – Aż do tego okropnego dnia.

– Byłeś na pokładzie tamtej nocy? – wykrzyknął Marvin.

– Owszem. Pracowałem już u państwa Britlandów od dwóch lat. Pan Henry Parker Britland III był uprzejmy zauważyć, że potrafię zadbać o szczegóły, a służba zachowuje się nienagannie, i zawsze zabierał mnie na pokład przy okazji ważnych przyjęć. Prezydent był wtedy jeszcze chłopcem, ale pamiętam, jak bardzo się przejął zniknięciem premiera. Nic dziwnego. Naprawdę przechorował dosyć poważnie parę następnych dni. W swej młodszej zapalczywości próbował ustalić, co się naprawdę stało, ale jego ojciec zdecydował, że sprawę należy zamknąć.

Pełne zadumy spojrzenie Simsa rozjaśnił uśmiech na widok Sunday i Henry'ego, wsiadających właśnie do łodzi motorowej.

– Bardzo się cieszę, że kraby wyglądają tak znakomicie – powiedział Kleinowi. – Wiem, że prezydent będzie zachwycony.

– Nie wątpię – zgodził się Marvin. – Jeszcze tylko jedno pytanie, Sims. Powiedziałaś, że sprawa zniknięcia premiera została zamknięta. Ale chyba przeprowadzono szczegółowe dochodzenie?

– I owszem, zwłaszcza że przecież nigdy nie znaleziono ciała premiera. Czy jednak ktoś mógł cokolwiek powiedzieć? Przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności. Zobaczy pan wkrótce, że największy apartament jest usytuowany nieco wyżej niż pozostałe kajuty i posiada własny pokład. Podczas tamtego weekendu pan Britland przeznaczył ten apartament dla premiera. Ochrona osobista pana del Rio zajmowała miejsce u stóp schodów wiodących do kabin. Przed wypłynięciem z portu jacht został dokładnie przeszukany i wszystkie osoby pozostające na pokładzie, począwszy od załogi, skończywszy na służbie, pozostawały poza wszelkimi podejrzeniami. Premier miał czterech własnych ochroniarzy.

– Była tam również jego żona?

- Tak. Pobrali się stosunkowo niedawno i nigdy nie podróżował bez niej.
- Zdaje się, że ta pani okazała się osobką z charakterem – zauważył Klein.
- I owszem. Przejęła urząd Garcii del Rio. Pan Henry Parker Britland III wcale nie przypuszczał, że ona zdoła utrzymać to stanowisko, ale wykorzystała umiejętnie uczucia, którymi ludzie darzyli jej świeżo poślubionego męża, i skutecznie umocniła swoją pozycję. Doprowadziła do rozłamu w kołach dysydenckich, utrzymując, że to wrogowie jej męża winni są jego śmierci. Teraz jest ni mniej, ni więcej, tylko dyktatorem.
- Spotkałem ją siedem lat temu – zamyślił się Marvin – gdy prezydent Britland zorganizował konferencję państw środkowoamerykańskich. Prezydent Britland mówił o niej zawsze Madame Castro. Ale dodawał zaraz, że gdyby pan del Rio nie umarł, jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej.
- Między innymi dlatego – westchnął Sims – prezydent Britland zawsze się obwinał. Jestem pewien, że wciąż uważa, iż gdyby owej nocy poszedł z premierem na przechadzkę po pokładzie, zdołałby w jakiś sposób zapobiec jego śmierci.
- O ile mi wiadomo, premiera prześladował nieustannie sen o tym, że padnie ofiarą zamachu.
- To bardzo przypomina Lincolna, prawda? – skomentował Sims. – Może nawet ubiegł swych wrogów, odbierając sobie życie, jak sądzi nasz prezydent. Kto wie? Teraz, wybaczy pan, panie Klein, muszę wracać do swoich obowiązków. Motorówka, która wiezie prezydenta i panią Britland, zbliża się do pomostu.

Congor Reuthers zameldował się w „Boca Raton Hotel”, wcielony w postać wytrawnego gracza w golfa, przebywającego właśnie na wakacjach. Błękitna lniana marynarka opadała luźno na nienagannie skrojone białe dzinsy. Odpowiednio przetarta torba golfowa opierała się o markową torbę na garnitury. Wrażenia dopełniało skórzane etui na aparat fotograficzny, przewieszane przez ramię, kryjące jednak najnowszy telefon komórkowy o ogromnym zasięgu.

Torba i kije do golfa były najzupełniej autentyczne, ale w rękach Reuthersa funkcjonowały

przede wszystkim jako atrybuty jego roli. Kije należały zresztą niegdyś do przemysłowca z Costa Barrii, który pozwolił sobie skrytykować publicznie panią del Rio, po czym musiał opuścić swój majątek ziemski, uciekając z wyspy.

Reuthers zorientował się nagle, że recepcjonista coś do niego mówi. O co temu człowiekowi chodzi? – zastanawiał się z irytacją. Zdaje się, że dotyczyło to jego sprzętu sportowego.

– O tak – odpowiedział pośpiesznie. – Bardzo się cieszę, że wkrótce zagram w krokieta.

Uwielbiam tę grę.

Nieświadom popełnionej gafy, obrócił się dostojnie i podążył za windziarzem do apartamentu, z którego zamierzał kierować powierzoną sobie misją, poszukiwaniami na „Kolumbii”.

O czwartej zadzwonił telefon.

Odezwał się Lenny Wallace, znany także jako Len Pagan, choć naprawdę nazywał się Lorenzo Esperanza. Wtyka, którą Reuthers zdołał umieścić pośród załogi „Kolumbii”.

Reuthers nie mógł powściągnąć satysfakcji, gdy wywoływał z pamięci dziecięcą twarzyczkę Lena, jego anielski uśmiech, delikatny meszek nad górną wargą, piegi na nosie i duże uszy. Len przypominał młodziutkiego Mickeya Rooneya z czasów, gdy ten, całe wieki temu, grał Andy’ego Hardy’ego.

W rzeczywistości ten człowiek był bezlitosnym mordercą.

– To nie będzie łatwe – wycedził Len.

Reuthers zagryzł wargę, przypominając sobie, że ten zuchwalec jest faworytem pani premier, Angeliki del Rio. Po chwili jednak uświadomił sobie, że na nią zawsze można liczyć, jeśli chodzi o przykładowe ukaranie tych, którzy popełniają błędy.

– A dlaczegóż to? – warknął.

– Bo żona prezydenta Britlanda jest cholernie wścibska i wszędzie węszy. Ciągłe pyta o tamtą noc.

Reuthers poczuł, że zaczynają mu się pocić dłonie.

– Na przykład o co?

– Udawałem, że przecieram szkło w jadalni, gdy siedziała tam razem z Britlandem.

Podśluchałem ich rozmowę na temat kolacji z del Rio; pytała o to, gdzie kto siedział.

– Britland miał wtedy zaledwie dwanaście lat – odparł Reuthers. – Czy może pamiętać coś, co ma dla nas w tej chwili znaczenie?

– Powiedziała coś takiego: że nie przypomina sobie, by jej mąż kiedykolwiek tyle mówił o swoim zmęczeniu. Chyba jakoś tak: „Ty byłeś zmęczony, premier był zmęczony, twój ojciec był zmęczony. Co właściwie jedliście na deser po tej kolacji? Valium?”

Reuthers zamknął oczy, ignorując cudowny widok, jaki przedstawiało zachodzące właśnie słońce. Najgorszy z dręczących go koszmarów stawał się rzeczywistością. Tamci byli zbyt blisko, by mógł się czuć bezpiecznie.

– Musisz znaleźć te papiery – rozkazał.

– Tam wszędzie snują się tajniacy. Jeśli nadarzy mi się jakaś okazja, to pewnie więcej się nie powtórzy, więc lepiej będzie, jeśli twoje informacje okażą się prawdziwe. Jesteś pewien, że ukryłeś papiery w kabinie A?

– Ty bezczelny rzezimieszku, oczywiście, że jestem pewien – warknął Reuthers.

Wspomnienie tamtej nocy przyprawiało go o dreszcze. Gdy już przeszukał marynarkę premiera, uświadomił sobie, że koperta zniknęła. Wiedział, że chłopiec był ostatnią osobą, która z nim rozmawiała. Wiedział, że premier musiał wetknąć mu kopertę. Szukał tej kajuty w kompletnych ciemnościach. Dzieciak zajmował kajutę A. A on, przez swój beznadziejny brak orientacji przestrzennej, otworzył inne drzwi. A gdyby tak ktoś był w kajucie B?

Reuthersa do tej pory oblewał zimny pot, gdy przypominał sobie, jak wśliznął się do kajuty chłopca, modląc się, by steward nie wrócił tymczasem i nie zainteresował się zapalonym światłem

na korytarzu. Pamiętał, jak potem, uzbrojony w mikroskopijną latarkę, podkradł się do biurka i zabrał kopertę premiera. Łut szczęścia sprawił, że zerknął na otwarty dziennik chłopca. Kiedy uświadomił sobie, co tam jest napisane, wyrwał kartki ze skoroszytu.

Wtedy usłyszał, że ktoś dotyka klamki u drzwi i że chłopiec się lekko poruszył przez sen. Skrył się więc pośpiesznie w garderobie. Czuł się jak w potrzasku i próbował znaleźć jakąś drogę ucieczki. Znalazł jedynie szparę w ścianie. Lękając się, że ktoś odkryje jego obecność i każe go przeszukać, wepchnął kopertę wraz ze stroniczkami wyrwanymi z dziennika do tej szczeliny.

Zamknięty w garderobie słyszał, jak ktoś wchodzi do kajuty, zbliża się do łóżka, po czym opuszcza pomieszczenie. Reuthers ponownie sięgnął ręką do szczeliny, by wydobyć papiery, nie mógł ich jednak dosięgnąć. Niemal godzinę usiłował wcisnąć tam rękę, czuł nawet, że jego palce muskają kopertę, ale nie zdołał jej chwycić. Wtedy, zgodnie z umową, pani del Rio wszczęła alarm. Niewiele brakowało, a nie zdołałbym wydostać się z tej kajuty, nim chłopak się obudził, wspominał Reuthers. Wrzeszczała jak opętana. Okazało się, że następnego dnia we wszystkich kabinach zamontowano sejfy. Właśnie dlatego w ścianie garderoby była ta dziura.

– To nie będzie prosta sprawa – mówił Len. – Tajniacy Britlanda to spryciarze. Mają oczy z tyłu głowy. Ich szef już raz na mnie wrzasnął za to, że wszedłem do jadalni, gdy siedzieli tam Britlandowie.

– Nic mnie to nie obchodzi! – burknął Reuthers. – Spróbuję wyrazić się jaśniej. Jeśli zdołasz wydobyć te papiery i uciec, czeka cię wdzięczność potężnego szefa. Jeśli wszystko spieprzysz, twoja starzejąca się matka i jej osiem sióstr przejadą się na tamten świat.

– Kocham moją matkę i ciotki. – W głosie Lena dało się słyszeć błaganie.

– Wobec tego postaraj się zdobyć te papiery, nieważne, w jaki sposób. Rozumiesz? W tej dziurze w ścianie następnego dnia zamontowano sejf. Jeśli jacht będzie remontowany, ktoś może odkryć papiery. Spróbuj się włamać przez panele w tylnej ścianie garderoby w kajucie A. Te

papiery tam leżą! Nie interesuje mnie, jak tego dokonasz, po prostu zrób to i strzeż się błędu.

– Henry, co zrobił twój ojciec, gdy mu opowiedziałeś o zniknięciu papierów? – zagadnęła

Sunday, sącząc szampana w przeszklonym salonie „Kolumbii”.

W tym półokrągłym pokoju na rufie mogło usiąść wygodnie dziesięć osób i, jak twierdził

Henry, goszczeni dygnitarze często z upodobaniem prowadzili tu rozmowy, czytali lub po prostu obserwowali horyzont.

– Obawiam się, że w całym tym zamieszaniu, spowodowanym zniknięciem premiera, ojciec nie zwrócił szczególnej uwagi na moją opowieść o zaginionych papierach. Premier del Rio miał zwyczaj rysować coś machinalnie na menu albo na tekście przemówienia i, zdaniem ojca, wręczył mi właśnie coś takiego dla żartu.

– A co z twoimi zapiskami w dzienniku?

– Poradził mi, bym spisał wszystko jeszcze raz, gdy poczuję się lepiej. Obudziłem się z potwornym bólem głowy, chyba na skutek ugryzienia jakiegoś insekta, a na dodatek panował wokół nieopisany harmider. Wszędzie warczały helikoptery, poszukujące jakiegokolwiek śladu ciała. Wokół pełno było łodzi, nurków i Bóg wie czego jeszcze.

– Ty także sądzisz, że del Rio wręczył ci po prostu kopertę z jakimiś bazgrołami?

– Nie.

– Czy próbowano w ogóle szukać tych papierów?

– Trzeba oddać ojcu sprawiedliwość: owszem, próbowano. Zgodnie z jego poleceniem, Sims osobiście przeszukał moją kajutę, żeby się upewnić, czy nie położyłem ich w innym miejscu. Ale nic nie znalazł.

– I oczywiście, nie mogłeś udowodnić, że te strony zostały wyrwane, skoro po prostu wpinałeś kartki do skoroszytu.

– Właśnie. – Henry przerwał na chwilę, by spojrzeć na żonę pełnym czułości wzrokiem. Potem

się uśmiechnął i powiedział: – Gdyby twoi wyborcy mogli cię teraz przypadkiem zobaczyć, nigdy nie oddaliby na ciebie głosu. Wyglądasz, jakbyś miała dwanaście lat.

Sunday była w długiej spódnicy w kwiaty, białej bluzeczce bez rękawów i sandałach. Uniosła brew.

– Być może w tej chwili nie wyglądam jak członkini Kongresu – odparła z godnością – ale powinieneś wiedzieć, że zadaję te pytania nie z dziecięcej ciekawości, ani też nawet nie dlatego, że wiem, ile zmartwienia przysporzyła ci ta noc. Jeśli chodzi o panią del Rio, to muszę powiedzieć, że podzielam twoje zdanie. Szczerze życzę Costa Barii niedyktatorskiego rządu. Ale nie wystarczy byle co, aby wzburzyć tych ludzi na tyle, żeby jej się wreszcie przeciwstawili. Jeżeli nie zdarzy się coś naprawdę dramatycznego, pani del Rio wygra te wybory. Na sto procent.

– Owszem, masz rację...

– Doprowadza mnie do szału myśl, że ktoś z ekipy Garcii del Rio ukradł jego samobójczy list z twojej kajuty, o ile to rzeczywiście było samobójstwo. Nie ma oczywiście żadnej pewności, ale ten list mógł zaważyć na losach kraju.

– A mnie doprowadza do szaleństwa myśl, że być może uratowałbym mu życie, gdybym wyszedł z nim na pokład. W gruncie rzeczy właśnie dlatego kupiłem „Kolumbię”. To jedyny przykry incydent w wielkiej i doniosłej historii tego jachtu. Chciałbym w jakiś sposób wymazać tę plamę.

Do salonu wszedł cichutko Sims z tacą pełną ptysiów. Poczęstował nimi Sunday. Sunday wzięła jedno ciastko i zapytała:

– Sims, ty już kiedyś byłeś na tym jachcie, prawda?

– Tak, proszę pani.

– I jakie są twoje wrażenia?

Sims zmarszczył czoło.

– Jacht jest w bardzo dobrym stanie, trudno zaprzeczyć, proszę pani, ale pozwolę sobie podkreślić, jak bardzo mnie dziwi fakt, że zupełnie, ale to zupełnie nic się tu nie zmieniło. Chodzi mi o panele na ścianach, pościel, tapicerkę, zasłony. Przez trzydzieści dwa lata właścicielem „Kolumbii” był pan Hodgins Weatherby i traktował ją najwyraźniej jak świątynię.

– Mogę to z łatwością wytłumaczyć. – Henry chrząknął. – Weatherby nie był żeglarzem.

W gruncie rzeczy odczuwał mdłości na widok najmniejszej fali. Zapłacił majątek za pogłębienie przystani, tak by móc wejść na pokład prosto z pomostu, a na jacht nie wpuszczał nikogo poza załogą i swoim medium. Sam zawsze siadał tutaj – Henry postukał w oparcie fotela, na którym siedział, a potem wskazał na fotel, w którym siedziała Sunday – a jego medium tam, gdzie ty. Nie wspominałem jeszcze o tym, skarbie, ale siedzisz na ulubionym miejscu Winstona Churchilla.

Ojciec mi opowiadał, że gdy Roosevelt pożyczył od niego jacht, by zabrać Churchilla na wycieczkę, Churchill od razu podszedł do tego fotela. Weatherby twierdził, że za pośrednictwem swego medium rozmawiał z brytyjskim premierem, z Rooseveltem, z de Gaulle’em, z Eisenhowerem i wieloma innymi. O ile wiem, nie zamienił jednak nawet słowa ze Stalinem.

– Traktował ten jacht jak egzotyczny rekwizyt – powiedziała Sunday. – Nie dziwię się, że rodzina Weatherby’ego zdecydowała się zlicytować „Kolumbię” na cele charytatywne po jego śmierci.

– Ja także się nie dziwię. Nietrudno zgadnąć, jak zrodziły się plotki o tym, że jacht nawiedzają duchy. Najprawdopodobniej człowiek, który był jego medium, miał spore zdolności aktorskie.

Ktoś zastukał do drzwi. Do środka wszedł z lekkim wahaniem Marvin Klein.

– Panie prezydencie, nie chciałem przerywać, ale dzwoni sekretarz stanu...

– Tony? – zdziwił się Henry. – Pewnie coś ważnego. – Wziął telefon od Kleina i szepnął: –

Sims, nie odchodź, podaj mi, proszę, jednego ptysia. – Przełknął pośpiesznie ciasteczko i odezwał się serdecznie: – Witaj, Tony. Mam nadzieję, że Ranger dba o to, byś miał zajęcie?

Rangerem agencji Secret Service nazywali prezydenta.

Sekretarz stanu Antony Pryor otrzymał nominację na to najwyższe stanowisko w gabinecie od następcy Henry'ego, prezydenta Desmonda Ogilveya. Panowie przyjaźnili się od czasu wspólnych studiów w Harvardzie i Pryor chętnie porzucał formalny ton w rozmowach.

– Henry, mam więcej roboty niż lis w kurniku – powiedział – ale co ci będę opowiadał. Słuchaj, skoro już odkupiłeś „Kolumbię”, mamy nadzieję, że pomożesz nam w pewnej sprawie. Wkrótce zadzwoni do ciebie ktoś w imieniu Miguela Alesso. Alesso chciałby się z tobą zobaczyć.

Rangerowi także zależy na tym spotkaniu.

– Alesso? Zdaje się, że jest kontrkandydatem pani premier w wyborach w Costa Barrii.

– Zdecydowanym kontrkandydatem. Przyjechał incognito do Miami. Przysięga, że Angelica del Rio zorganizowała zamach na swego męża trzydzieści dwa lata temu i że jej ludzie próbowali kupić „Kolumbię” na aukcji, ale ty ich ubiegłeś.

– Skąd on to wie? – zapytał Henry cicho.

– Bo w ubiegłym tygodniu zadzwoniła do niego wdowa po jednym z facetów, którzy nie wywiązali się ze swego zadania podczas tej aukcji. Ranger sądzi, że ty jeden potrafisz zapełnić białe plamy w historii Alesso. Jeśli uznasz, że ta opowieść trzyma się kupy, będzie nam łatwiej zająć jakieś stanowisko w obliczu nadchodzących wyborów. Mimo iż minęły już trzydzieści dwa lata, Garcia del Rio jest czczony w swoim kraju niemal jak święty. Nie zapominaj, że Angelica del Rio ma wkrótce przybyć z oficjalną wizytą, w związku z tym, że jej rząd zobowiązał się przestrzegać praw człowieka i uwolnić dysydentów. Ranger wolałby nie stracić twarzy, gdyby tymczasem ktoś udowodnił, że to właśnie ona uknuła spisek przeciwko swemu mężowi.

– A więc Des nie wyklucza, iż jest to tylko posunięcie taktyczne, którym Alesso chce pozbawić Angelicę del Rio szansy zdobycia naszego poparcia przed wyborami?

– Masz rację. Z tymi małymi kraikami naprawdę nigdy nic nie wiadomo, Henry, prawda?

– Podobnie jak z dużymi – odparł Henry. – Oczywiście, że się z nim spotkam. Jutro rano, tu, na „Kolumbii”.

– Świetnie. My się wszystkim zajmiemy.

Henry oddał telefon Marvinowi Kleinowi i spojrzął na Sunday.

– Kochanie – powiedział – zdaje się, że jak zwykle masz rację.

– W jakiej sprawie?

– W sprawie śmierci Garcii del Rio.

Congor Reuthers nauczył się dawno temu, że nawet człowiek, w którego wycelowano rewolwer, musi jeść. Był już poniedziałek. Lenny powiedział mu, że Britlandowie wybierają się w środę rano do Waszyngtonu, ponieważ Sandra O’Brien musi się zjawić na Kapitolu, by uczestniczyć w ostatecznej debacie na temat udzielenia pomocy Costa Barii. Gdy Britlandowie opuszczą jacht, cała dodatkowa załoga, w której skład wchodzi Lenny, zostanie zwolniona. A zatem zostało im niewiele czasu. Lenny musi się dostać do kajuty A już jutro.

W tej chwili jednak Reuthers nie miał nic więcej do roboty. Mógł tylko jeść. Jako że niedawno przypadła mu do gustu atmosfera restauracji, znajdującej się na szczycie wieży „Boca Raton Hotel”, właśnie ten lokal przyszedł mu na myśl. Nie wątpił, że parę szklaneczek martini i homar poprawią mu nastrój. Sięgnął po słuchawkę, wystukał numer restauracji i władcym tonem zamówił stolik przy oknie z widokiem na morze.

Nie krył swej wściekłości, gdy po przybyciu do restauracji dowiedział się, że nie może usiąść przy stoliku, który wybrał.

– Jestem pewien, że okaże pan zrozumienie dla naszej decyzji – rzekł kelner z nerwowym uśmiechem na twarzy, prowadząc Reuthersa do stolika, przy którym wodę można było dostrzec jedynie w dzbanku. – Sam pan widzi, dlaczego tamte stoliki muszą zostać puste – szepnął, wskazując dyskretnie okna.

Serce Reuthersa zamarło na chwilę. Pod oknem siedziała bowiem pogrążona w rozmowie ulubiona para Ameryki, były prezydent i jego żona, oboje opaleni, uśmiechnięci i pochyleni nad swymi koktajlami.

Reuthers sięgnął do kieszeni, by wyjąć pudełko papierosów, w którym krył się aparat podsłuchowy. Położył je niedbale na stole, otwarciem zwrócone w stronę Britlandów. Udając, że drapie się po głowie, umieścił w uchu małą słuchawkę i w tej samej chwili usłyszał głos Henry'ego Parkera Britlanda IV: „Jestem ciekaw jutrzejszego spotkania z Alesso”.

Alesso, pomyślał Reuthers, Alesso! Dlaczegoż to Britland miałby się z nim spotykać?

Zasłonił ucho, by wyeliminować hałasy dobiegające od innych stolików, i nagle zorientował się, że ktoś się do niego zwraca.

– Przykro mi, sir, ale tutaj nie wolno palić.

Reuthers podniósł wzrok, by ujrzeć pełną nagany zmarszczkę na czole szefa sali, i uświadomił sobie, że umknęła jego uwagi odpowiedź Sunday Britland, która powiedziała coś jakby: „Alesso przywiezie dowód...”

– Ja przecież nie palę – odparował Reuthers.

Szef sali spoglądał wymownie na otwarte pudełko papierosów.

– Trzymam to tutaj, by wypróbować swoją siłę woli – burknął.

– W takim razie pozwoli pan... – kelner przesunął pudełko tak, że niemal zniknęło między wazonikiem z kwiatkami a koszykiem z pieczywem, który właśnie przed chwilą postawił na stoliku. – Teraz może pan swobodnie na nie patrzeć, nie spostrzegą go natomiast inni goście, bo nie chciałbym, aby odnieśli wrażenie, że to sala dla palących. Proszę pamiętać, że być może nie pan jeden próbuje się powstrzymać od palenia. A gdyby tak była to puszka robaków? Sir, czy nigdy nie próbował pan poradzić sobie z głodem nikotynowym, żując gumę? To naprawdę pomaga.

„Lepiej wyjdź stąd, idioto. Britland patrzy na ciebie”.

Reuthers podskoczył, gdy znajomy pełen wściekłości głos uderzył w jego bębenki.

„Może cię rozpoznać, ty debilu”.

Reuthers rozejrzał się nerwowo po sali. W jakim przebraniu zjawiała się dziś Angelica?

Najwyraźniej musi odchodzić od zmysłów ze zdenerwowania, skoro przyjechała tu zamiast wrócić prosto do Costa Barrii. Spostrzegł siwą, samotną kobietę, opartą jednym łokciem o stół, wpatrzoną w kieliszek z winem. Oto ona, Samotna Wilma, jeszcze jedno z wcieleń Angeliki. Jego wzrok powędrował teraz w stronę okna, by natknąć się na przenikliwe spojrzenie byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Spotkali się trzydzieści dwa lata temu. Reuthers uczestniczył w owej fatalnej podróży jako jeden z czterech osobistych ochroniarzy premiera Garcii del Rio i oficjalnie został stracony razem z resztą tamtej ekipy za niedopełnienie obowiązku ochrony premiera.

Czy Britland potrafiłby go rozpoznać po tylu latach?

Reuthers nie chciał ryzykować, więc przesunął się na krześle i odwrócił plecami do byłego prezydenta.

– Zdaje się, że nie będę tu dziś jadł kolacji – mruknął i czym prędzej się oddalił.

Dotarł już do windy, gdy dogonił go szef sali.

– Zapomniał pan swoich papierosów, sir – powiedział. – Życzę powodzenia w zwalczaniu nałogu. Odwagi!

Starszy agent Secret Service, Jack Collins, poruszył się nerwowo. Tylko jeden stół oddzielał jego miejsce od prezydenta Britlanda. Od pewnego czasu niepokoił Jacka głos wewnętrzny, który zawsze ostrzegał go przed niebezpieczeństwem.

Czuł wyraźnie, że coś jest nie w porządku. Jego wzrok wędrował niespokojnie po sali restauracyjnej, prześwietlając wszystkich gości z charakterystyczną dla służb specjalnych intensywnością. Wszyscy klienci byli bez wątpienia zamożni – przy stolikach siedziało sporo par w kwiecie wieku, kilka rodzin z dziećmi. Wszyscy opaleni, odprężeni, uśmiechnięci. Jacyś panowie

w garniturach opowiadali sobie dykteryjki i dowcipy.

Z pewnością firmy zapłacą za ich wypad na golfa, który można przecież zawsze nazwać spotkaniem w interesach, pomyślał zgryźliwie Collins.

Collins zauważył, jak jakiś mężczyzna, nieco zdenerwowany, opuszcza restaurację, zderzając się nieomal z grupką czterech sześćdziesięcioletnich, elegancko ubranych pań. Kelner zaprowadził tę grupkę do stolika umieszczonego w głębi sali, sąsiadującego z miejscami zajęтыми przez rodziny z dziećmi. Każdy rys twarzy potraktowanych w ten sposób kobiet zdradzał niezadowolenie. Nie przytrafiłoby im się to, gdyby przyszły w towarzystwie jakiegokolwiek mężczyzny, pomyślał Collins.

Wreszcie spostrzegł kobietę, zajmującą najmniejszy stolik koło okna i spoglądającą w zadumie na zatokę. Siwe włosy, pokryta zmarszczkami twarz, tanie okulary przeciwsłoneczne, zbolały wyraz twarzy – ta pani wyglądała jak ktoś, kto niedawno stracił bliską osobę.

Wzrok Collinsa ponownie prześliznął się po rzędach stolików. Jacka nie opuszczał wciąż ten dziwny niepokój. Agent miał nieodparte wrażenie, że coś jest nie w porządku. Odczuł wyraźną ulgę, gdy godzinę później Britlandowie zaczęli zbierać się do wyjścia.

Gdy już opuścili salę, były prezydent przywołał do siebie Collinsa.

– Jack – powiedział – zauważyłeś pewnie tego faceta, który wyszedł tak pośpiesznie, nie zjadłszy kolacji. Wydał mi się znajomy. Postaraj się dowiedzieć czegoś na jego temat.

Collins pokiwał głową. Dał znak czterem agentom towarzyszącym prezydenckiej parze, by poszli naprzód, sam zaś zatrzymał się koło pulpitu, przy którym dokonuje się rezerwacji.

Gdy godzinę później wrócił do Belle Maris, mógł już oznajmić, że zarządził dwudziestoczerogodzinny nadzór nad gościem zarejestrowanym w hotelu jako Norman Ballinger.

Wzmianka szefa sali o otwartym pudełku papierosów i anegdota hotelowa o gościu, który zamierzał grać w krokieta na tutejszych polach golfowych obudziły czujność Collinsa.

Telefon komórkowy zadzwonił w chwili, gdy Collins przestępował próg pałacyku Britlandów.

– Coś się zaczyna dziać, Jack – brzmiała informacja kwatery głównej Secret Service -Ballinger nazywa się w rzeczywistości Congor Reuthers i jest bliskim współpracownikiem Angeliki del Rio.

Pozostaje zawsze gdzieś w tle sceny politycznej i podobno cieszy się od lat jej względami jako facet od kłopotliwych spraw.

– Co on robi w Boca Raton? – chciał wiedzieć Collins.

– Sądźmy, że wie o wizycie Miguela Alesso i śledzi jego poczynania. Ma już jednego z naszych ludzi na ogonie, ale uważaj. Reuthers nigdy nie plami sobie rąk. Niewykluczone, że nie jest tu sam.

Collins wyłączył telefon, ale w żaden sposób nie potrafił pozbyć się złowieszczego uczucia, że byłoby lepiej, gdyby Henry Parker Britland IV nie kupił „Kolumbii”.

We wtorek wczesnym rankiem Lenny Wallace zauważył, że na jachcie wprowadzono zaostrome przepisy bezpieczeństwa.

O siódmej skontaktował się z Reuthersem, by się dowiedzieć, że Miguel Alesso, opozycyjny przywódca i kontrkandydat pani premier w wyborach zaplanowanych na przyszły tydzień, został zaproszony przez prezydenta Britlanda na lunch na „Kolumbii”.

– Musisz wydostać te papiery – syczał Reuthers. – Pani premier jest tym osobiście zainteresowana. Żadna pomyłka nie wchodzi w grę.

Reuthers polecił również Lenny’emu zakraść się w jakiś sposób do jadalni i zbadać, o czym Alesso będzie rozmawiał z Britlandem podczas lunchu.

Lenny włożył wiele wysiłku w to, by się powstrzymać od uwagi, że tylko imbecyl może sądzić, iż zwykły marynarz, który, niestety, nie jest niewidzialny, potrafi w jakikolwiek sposób dostać się do pomieszczenia, gdzie się odbywa nieoficjalne spotkanie na wysokim szczeblu. Pomyślał przez chwilę o swej matce i ciotkach, po czym oświadczył Reuthersowi, że zrobi, co się da.

Nie omieszkał jednak poinformować go, że byłemu prezydentowi na „Kolumbii” towarzyszy zawsze starszy agent Secret Service, Jack Collins, który bez wątpienia w jakiś tajemniczy sposób jest poinformowany o wszystkim, co się dzieje na pokładzie, choćby chodziło o zwyczajne kichnięcie.

Ostatnie słowa Reuthersa brzmiały:

– Powinieneś wiedzieć, że twoja matka i jej siostry pozostają w areszcie domowym – oczywiście czasowo, wcale w to nie wątpię. Zresztą na pewno spieszysz się świetnie.

Punktualnie o godzinie dwunastej w południe Lenny stał na pokładzie dla załogi i przez lornetkę obserwował limuzynę zatrzymującą się właśnie na nadbrzeżu. Zobaczył dwóch mężczyzn i jedną kobietę wysiadających z samochodu, by wkroczyć na pokład łodzi: byli to państwo Britlandowie i opozycyjny przywódca z Costa Barrii, Miguel Alesso.

W wyobraźni Lenny’ego zaświtała myśl, która nigdy przedtem nie przyszła mu do głowy:

Alesso zdobywa przecież coraz większą popularność. Tłumy szaleją, gdy tylko się przed nimi pojawia. Załóżmy, że nie zdołam znaleźć tych papierów, rozważał. Wtedy najlepiej byłoby po prostu zniknąć. Jeśli ten człowiek jakimś sposobem wygrałby wybory, mógłbym się z nim skontaktować i opowiedzieć o swej misji. No i zdradzić mu, gdzie są pochowane ciała. Może nagrodziłby mnie w jakiś sposób.

Nie, to, niestety, niemożliwe. Lenny dobrze o tym wiedział. Wybory miały się przecież odbyć wtedy, gdy już z pewnością będzie za późno dla jego matki i jej sióstr, tych cudownych kobiet, znanych jako „alfabetyczne siostry”. Mama, najstarsza z nich, miała na imię Antonella, następna z sióstr – Bianca, trzecia – Concetta i tak dalej, aż do najmłodszej, Iony.

Lorenzo Esperanza – bo pod takim nazwiskiem występował Lenny Wallace – poczuł przyływ poczucia obowiązku, ocierając łzy, które załśniły mu w oczach.

Aura prawdy, pomyślała Sunday. Ten człowiek emanuje właśnie coś takiego. Państwo

Britlandowie podejmowali właśnie Miguela Alesso w saloniku. Henry zachęcił gościa, by zajął ulubiony fotel sir Winstona Churchilla.

– Posunę się pewnie za daleko – rzekł Alesso z lekkim uśmiechem – choć w pewien sposób mógłbym porównać niepewność co do przyszłych losów, w jakiej znajduje się mój kraj, do tej, która dręczyła Anglię podczas drugiej wojny światowej.

Sunday wiedziała, że Alesso ma niespełna trzydziestkę, ale głęboka dojrzałość, ciemne włosy tknięte tu i ówdzie siwizną, mądry acz smutny wyraz orzechowych oczu dodawały mu jakichś dziesięciu lat.

Teraz pochylił się trochę do przodu i zaczął mówić z wielką żarliwością:

– Angelica del Rio zaplanowała i dokonała zamachu na prawdziwie wielkiego człowieka. Jej ojciec, jak państwu zapewne wiadomo, był przywódcą armii Costa Barrii. Angelica poślubiła premiera na polecenie ojca, od początku – jestem o tym przekonany – nosząc się z zamiarem wyeliminowania go z gry. Ta kobieta była i jest bardzo piękna i obdarzona niewątpliwą charyzmą.

A poza tym, jak to się mówi, mężczyzna jest mężczyzną... – Alesso ze smutkiem wzruszył ramionami. – To ona wyrzuciła jego osobistych ochroniarzy, zastępując ich rzezimieszkami, którzy go zdradzili. Jednym z nich był jej daleki angielski kuzyn, znany teraz jako Congor Reuthers.

Zgodnie z informacjami, które zdołałem zebrać, Angelica del Rio zatrąła swego męża, pańskiego ojca i pana, sir, specjalnym deserem, przygotowanym przez jej osobistego kucharza. To za jej sprawą Garcia del Rio stracił przytomność. A jego ochroniarze, z Reuthersem na czele, obciążyli ciało kamieniami i wyrzucili je za pokład. Premier leży zapewne na samym dnie oceanu.

Zbrodniarze spodziewali się nagrody. I doczekali się. Gdy wrócili do Costa Barrii z pogrążoną w żałobie wdową, zostali straceni za zaniedbanie swych obowiązków służbowych – wszyscy, z wyjątkiem Congora Reuthersa.

– Wciąż nie rozumiem jednak, dlaczego wybrała właśnie tę noc na jachcie – dziwił się Henry.

Sunday przyjrzała się mężowi. Siedział wyprostowany na swym kapitańskim fotelu, z głową wspartą na lewej dłoni, całkowicie skupiony na opowieści Alesso. Sunday niemal słyszała strofy „Hail to the Chief” płynące w powietrzu.

– Ojciec Angeliki, generał, zadzwonił do niej podczas tej podróży z informacją, że jej mąż najprawdopodobniej wie coś na temat planowanego zamachu, w którym mają wziąć udział jego ochroniarze. Dowiedziała się także, że del Rio słyszał już o tym, że zdefraudowała miliony dolarów w rozmaitych fundacjach charytatywnych, którym przewodniczyła. Zamierzał aresztować ją po powrocie do Costa Barrii. Nie miała więc wyboru. Musiała natychmiast wykonać następny ruch. To ma ręce i nogi, pomyślała Sunday.

– Zgodnie z planem, ojciec Angeliki miał zostać szefem rządu. Ale generał dostał zawału tydzień później i Angelica skorzystała z okazji, by osobiście sięgnąć po władzę. Zastępowała swego męża aż do końca kadencji, a potem, wykorzystując miłość narodu do Garcii del Rio, zdobyła władzę absolutną.

– Czy są jakieś dowody, które to wszystko potwierdzają? – zapytał Henry. – Mówił pan coś na temat dowodów, senior.

Alesso wzruszył ramionami.

– Dowody znajdują się w kopercie, którą Garcia del Rio przekazał właśnie panu, gdy był pan dwunastoletnim chłopcem.

– Skąd pan o tym wie? – zapytał Henry.

– Jeden z ochroniarzy usiłował przekupić urzędnika więziennego w nadziei, że zdoła umknąć egzekucji – wyjaśnił Alesso. – Opowiedział mu o morderstwie i o tym, jak Reuthers przeszukiwał premiera, nim wyrzucili ciało za burtę. Szukał właśnie tej koperty. Znajdowało się w niej oświadczenie Garcii del Rio, w którym oskarżał swoją żonę. Angelica wiedziała o treści tego dokumentu, ale nie miała czasu, by wyjąć kopertę z kieszeni męża, zanim udali się na kolację.

– Dlaczego żadna z tych informacji nigdy nie ujrzała światła dziennego? – zapytała Sunday.

Alesso zdawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Ten urzędnik z więzienia podpisałby przecież na siebie wyrok śmierci, gdyby zdradził, że wie o zabójstwie premiera – tłumaczył Alesso. – Dopiero gdy się zestarzał i pił trochę więcej wina, zwyczajem niektórych starszych panów, zaczął napomykać o tej sprawie. Najprawdopodobniej powiedział za dużo. I pewnego dnia zniknął.

– A więc teraz, po tych wszystkich latach, zagadka została rozwiązana – rzekł w zadumie Henry.

– Nie, sir – poprawił go Alesso. – Zagadka nie będzie rozwiązana, dopóki nie znajdą się te dokumenty, oczywiście jeżeli jeszcze istnieją. W tej chwili jednak błagam państwa, byście oboje poparli moją kandydaturę. Proszę panią, pani Britland, aby głosowała pani w Kongresie przeciwko udzielaniu pomocy mojemu krajowi, dopóki Angelica del Rio jest u władzy. Poparcie dla niej oznacza poparcie dla represji.

Sunday nie potrafiła znieść intensywnego spojrzenia tego mężczyzny. Odwróciła wzrok, lękając się, by nie dostrzegł niezdecydowania w jej oczach.

– A pana, panie prezydencie – zwrócił się Alesso do Henry’ego – proszę, by zechciał pan nakłonić pańskiego następcę, aby nie podejmował Angeliki del Rio oficjalną uroczystą kolacją. Naród amerykański nie może przecież wyrażać aprobaty dla umocnienia dyktatury.

Lenny wiedział, że w żaden sposób nie zdoła się dostać na górny pokład podczas tego spotkania. Dowiedział się jednak, że po lunchu Britlandowie zamierzają wrócić do Belle Maris, gdzie pozostaną do następnego ranka, kiedy to odjadą do Waszyngtonu. A zatem wszechobecni agenci Secret Service będą strzec pałacu, a nie jachtu.

Lenny miał zakończyć służbę o siedemnastej. Wiedział, że wzbudzi podejrzenia, jeśli natychmiast nie wyruszy na ląd. Dopiero gdy szorował pokład, przyszedł mu do głowy pewien

pomysł. Gdyby tak przytrafiło mu się zatrucie żołądkowe, nikt nie będzie się dziwił, że nie opuści swojej koi.

Godzinę później zameldował się u płatnika. Twarz zroszona potem, opadające powieki, niepewny chód.

– Zdaje się, że coś mi zaszkodziło – jęknął, trzymając się za brzuch.

Po dziesięciu minutach leżał już na swojej koi i zbierał całą odwagę, by jednak zakraść się do reprezentacyjnej kajuty A. Przedsięwzięcie trzeba było zresztą odłożyć na później. Konieczna zdawała się osłona nocnych ciemności i rozluźnienie reguł bezpieczeństwa.

– Cień przeszłości majaczy we wszystkim, co się nam przytrafia – myślał tego wieczoru Henry, popijając kawę.

Państwo Britlandowie zjedli właśnie kolację na ukwieconym tarasie Belle Maris. Stożkowe świece wysyłały łagodne, migotliwe płomyczki na spotkanie księżycowi, którego światło dodawało „Kolumbii” pełnego surowości majestatu.

– Kochanie, jesteś dziś taki milczący – zauważyła Sunday, kiwając potakująco głową, gdy Sims zaproponował jej jeszcze jedną filiżankę kawy.

– Nawet ty nie uśniesz po takiej dawce – upomniał ją delikatnie Henry.

– Znasz mnie przecież, mój drogi. Mogłabym zasnąć nawet na płocie. Dzięki czystemu sumieniu. – Sunday wypła łyk kawy i oblizała usta. – Pycha!

Po chwili spowaźniała.

– Henry, nie pytałam cię jeszcze o to, ale powinnam to wreszcie zrobić. Ty wierzysz w opowieść Miguela Alesso, prawda?

– Owszem, wierzę. I mam po temu wiele powodów. Ubiegłej nocy w restauracji dobrze się przyjrzałem temu człowiekowi, który wydał mi się znajomy. I okazało się, że miałem rację.

Naprawdę go już kiedyś widziałem. Ten facet to prawa ręka Angeliki del Rio. To właśnie on płynął

na pokładzie „Kolumbii” owej pamiętnej nocy trzydzieści dwa lata temu. Gdy Garda del Rio wsuwał mi do kieszeni kopertę, ten człowiek stał nieopodal. Nie znalazłszy koperty przy premierze, wywnioskował zapewne całkiem logicznie, że znajduje się ona w moich rękach. Jeżeli wie, że Alesso odkrył prawdę, poruszy niebo i ziemię, by zdobyć tę kopertę. Gdybym rozebrał jacht na części, zapewne bym ją znalazł. Ale przecież „Kolumbia” została sprzedana trzydzieści dwa lata temu. Kto wie, czy jakaś pokojówka nie znalazła tych cennych dokumentów i nie wyrzuciła ich do śmieci.

– Czy zamierzasz zasugerować Desowi, by odwołał oficjalną wizytę pani premier del Rio? – zapytała Sunday.

– Nie tak łatwo odwołać oficjalną wizytę, skarbie, jeśli nie istnieją po temu poważne powody. Jeśli ona wygra wybory w przyszłym tygodniu i podpisze konwencję praw człowieka, wszystkie opowieści rozpowszechniane przez jej kontrkandydata stracą znaczenie. Bez dowodów nie można ich przecież traktować poważnie. A jak na razie, Alesso nie ma żadnych szans, by ją pokonać.

Sunday spojrzała na „Kolumbię”.

– Henry, wiesz co? Mam ochotę spędzić jeszcze jedną noc na jachcie. Uwielbiam tam spać. Co ty na to?

– Zakładam, że twój plan dotyczy także i mojej osoby – uśmiechnął się Henry. – Wydaje mi się, że nie mam nic przeciwko temu, by ocean ukołysał mnie do snu, kochanie. Zbierajmy się. Kto wie, może „Kolumbia” zdradzi nam swój sekret? Czy nie byłby to powód do radości?

O dziewiątej wieczorem, przed wyprawą na poszukiwanie papierów, Lenny ułożył pościel na swej koi w taki sposób, by stwarzała złudzenie, że ktoś tam śpi.

Patrzył na liczne kutry krążące wokół jachtu i cieszył się, że podczas gdy tamci pilnują, by nikt niepowołany nie dostał się na pokład, on już tu jest.

Gdy wreszcie nadeszła chwila, w której miał wypełnić swą misję, nerwy niemal odmawiały mu

posłuszeństwa. Cała trudność polegała na tym, by się niepostrzeżenie zakraść do reprezentacyjnej kajuty A. W środku będzie już całkiem bezpieczny. Nie ma przecież żadnego powodu, by ktokolwiek tam zaglądał tej nocy.

Niełatwo będzie przepiłować fragment dębowej boazerii, nie czyniąc przy tym hałasu. Reuthers powiedział, że koperta i strony z dziennika zostały wrzucone do otworu przeznaczonego na sejf, nie mogły więc spaść niżej niż do poziomu podłogi i zapewne wszystko znajduje się za boazerią. Najlepiej zatem zacząć od podłogi, rozumował Lenny. Łatwiej sięgnąć w górę niż w dół, by wydobyć papiery, które gdzieś tam utkwily.

Ostrożnie opuścił pokład przeznaczony dla załogi. Był uzbrojony w piłę, niewielki młotek i wiertarkę, którą wykradł z narzędziowni.

Na żadnym z dwóch następnych poziomów pokładowych nie spotkał żywej duszy. Wszystko wskazywało na to, że strażnicy są w przystani albo na kutrach. Niewiele jednak brakowałoby wpadł na agenta Secret Service, pełniącego wartę przed prywatnym apartamentem Britlandów na górnym pokładzie.

I po cóż on tu stoi, pomyślał Lenny, skoro Britlandowie nocują w domu. Jednak ta niespodziewana przygoda wzbudziła jego niepokój. Przecież Britlandowie śpią w rezydencji, czyżby było inaczej? – zastanawiał się.

Po trzech minutach wahań wśliznął się do kabiny A. Nie ośmielił się zapalić światła, ale na szczęście noc była gwiazdzista, a księżyc w pełni oświetlał wszystko dokoła. Kajuta reprezentacyjna dwudziestokrotnie przewyższała swymi rozmiarami klitkę, w której sam mieszkał; stało tu podwójne łóżko z wezłowiem, wbudowane biurko i serwantka, sofa i fotele – wszystko, co powinno zapewnić wygodę lokatorowi tego pomieszczenia nawet na wzburzonym morzu.

Garderoba była dosyć głęboka. Gdy Lenny zamknął już drzwi od środka, poczuł się na tyle bezpiecznie, by zapalić światło. Na tylnej ścianie pomieszczenia znajdował się sejf. Okrągłe

drzwiczki, przypominające otwór załadunkowy, ozdobione obrazkiem przedstawiającym spokojne morze, wyposażone w staroświecki zamek w kształcie kompasu, bez reszty pochłonęły uwagę Lenny'ego.

Przesunął palcami po drzwiczkach, myśląc przy tym, że żaden skarb ukryty wewnątrz nie może być wart tyle, ile koperta leżąca pod sejfem.

Usiadł na podłodze i postukał w boazerię, by się zorientować, jak grube jest tu dębowe drewno. Grube, stwierdził po chwili, cholernie grube! Mnóstwo drzew runęło pod siekierami, by powstał ten jacht, pomyślał, przewidując pracowitą noc. Gdyby miał wielką siekierę i piłę elektryczną – co ściągnęłoby uwagę całej załogi i wszystkich tajniaków – szybko uporałby się z robotą, plan jednak był całkiem inny. Z wielką ostrożnością zaczął wiercić dziurę parę cali nad podłogą.

Odpoczywał co piętnaście minut. Gdy niespełna dwie godziny później rozprostowywał kości, wydało mu się, że słyszy jakieś stuknięcie, zgasił pośpiesznie światło i uchylił odrobinę drzwi garderoby. Oczy wyszły mu niemal z orbit.

Pośrodku kajuty zobaczył zwróconą do niego plecami, oświetloną snopem światła z lampy na biurku, szczupłą, odzianą w nocny strój sylwetkę Sandry O'Brien Britland, która najwyraźniej unosiła kołdrę. Lenny nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczył, że Sunday kładzie się do łóżka i gasi światło.

Henry miał rację, jak zwykle, westchnęła Sunday, próbując jakoś ukoić myśli, zostawiwszy twardo śpiącego męża w apartamencie na górnym pokładzie. Za dużo kawy. Myśli huczały jej w głowie. Ale nie tylko za sprawą kawy. Wciąż zastanawiało ją coś, co Henry powiedział o nocy, którą spędził w tej kabinie trzydzieści dwa lata temu. Tylko co to było?

Gdyby tylko odnalazły się te papiery, pomyślała. Jeśli Alesso ma rację, pani del Rio zamordowała tu swojego męża trzydzieści dwa lata temu, a dowód jej zbrodni został prawdopodobnie skradziony z biurka w tej kajucie. Nie miała wątpliwości, że nie zaśnie tak prędko.

Zazwyczaj to Henry czytał jeszcze przez parę godzin po jej zaśnięciu, ale dziś wieczorem zapadł w głęboki sen, ledwo złożył głowę na poduszce.

Zdarzało się to tak rzadko, że postanowiła wyśliznąć się na palcach do sąsiedniego pokoju w apartamencie zamiast leżeć tam, patrząc w sufit i ryzykując, że obudzi męża. Wówczas przyszło jej na myśl, że mogłaby zejść na dół, do tej kajuty. W końcu to właśnie tu popełniono kradzież.

Henry powiedział jej coś istotnego na temat tej nocy, kiedy to zniknął del Rio. Tylko co?

Najprawdopodobniej chodziło o coś bardzo zwyczajnego, co uszło uwagi wszystkich.

Pomyślała, że jeśli zejdzie do kajuty, w której to się zdarzyło, przypomni sobie szczegół, który

umknął jej z pamięci. Wychodząc z apartamentu, napisała karteczkę do Henry'ego. On się za

bardzo o mnie martwi, pomyślała, kładąc karteczkę na poduszce i z trudem opierając się odruchowi,

by dokładniej otulić męża kołdrą. To by go mogło obudzić. I być może wtedy wolałby, żeby

Sunday nie odchodziła.

Art, agent Secret Service, który pełnił wartę u podnóża schodów, zdziwił się nieco na jej widok,

ale pokiwał głową, gdy usłyszał, dokąd Sunday się wybiera.

Mam nadzieję, że nie pomyśli sobie, że się pokłóciliśmy – Sunday uśmiechnęła się na myśl, że

kiedykolwiek mogłaby się pokłócić z mężem. My po prostu dyskutujemy czasami o różnych

sprawach, to wszystko. To dysputy intelektualne. W żadnym wypadku nie kłótnie.

Sunday przestała zmuszać się do zaśnięcia i sięgnęła ręką na biurko, by zapalić lampkę.

Usiadła, odgarnęła włosy z twarzy i ułożyła poduszki pod plecami. Sims powiedział, że

umeblowanie jachtu wcale się nie zmieniło. Sunday wyobraziła sobie Henry'ego siedzącego przy

tym biurku i zapisującego dokładnie wszystkie swoje wrażenia, choć przecież, jak jej powiedział,

był tak zmęczony, że oczy same mu się zamykały.

Ciekawe, czy w chwilach ogromnego znużenia nie zapisujemy wszystkiego całkiem intuicyjnie,

„jak leci”, nie zastanawiając się nad niczym, pomyślała Sunday. No cóż, westchnęła, te rozważania

nie zaprowadzą mnie chyba donikąd. Lepiej będzie, jeśli spróbuję zasnąć.

Znowu zgasiła światło. Dokoła panowała taka cisza!

Henry powiedział, że nie ma zbyt wielu wspomnień z tego wieczoru, pozostały raczej niejasne wrażenia. Że ktoś jest w pokoju, że ktoś nad nim stoi. Wiemy, że zajrzał do niego ojciec. Ale czy zrobił to również ktoś inny? – zastanawiała się Sunday.

Co jeszcze powiedział Henry, czego nie potrafię sobie przypomnieć? Dlaczego to wszystko nie daje mi spokoju?

Ciszę przerwało delikatne skrzypnięcie, wtórujące coraz szybszemu kołysaniu się jachtu na falach. Po chwili nastąpiło jeszcze jedno skrzypnięcie, tym razem nieco głośniejsze, o wiele bliższe. Sunday odruchowo odwróciła głowę w stronę ściany, za którą znajdowała się garderoba.

Usłyszała kolejny odgłos, przesuwania czegoś po podłodze. Wszystko wskazywało na to, że dźwięk dobiega z garderoby. Jakby ktoś był w środku. Sunday nie miała już wątpliwości.

Ostrożnie wodziła dłonią po nocnym stoliku, szukając przycisku alarmowego, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi prowadzące na korytarz, zapaliło się światło i Sunday ujrzała zatroskane oczy męża.

Ten, kto jest w garderobie, z pewnością się mnie nie spodziewał, pomyślała. On czegoś tam szuka.

– Sunday! – wykrzyknął Henry – Co też cię opętało...

– Och, kochanie! – przerwała mu Sunday nieco podniesionym głosem. – Zamierzałam właśnie wrócić na górę. Zdaje się, że tu także nie zasnę.

– Ostrzegałem cię, żebyś nie piła tyle kawy – przypomniał jej Henry.

– Wiem, skarbie, ty zawsze masz rację. Właśnie dlatego wybrano cię na prezydenta.

Sunday wyskoczyła z łóżka, chwyciła szlafrok i prawie wypchnęła Henry'ego za drzwi, zatrzaszkując je zdecydowanym ruchem.

Na korytarzu zasłoniła mu usta dłonią, gdy je otwierałby zapytać, co też się tu właściwie dzieje.

– Nakryłam właśnie człowieka, którego szukamy – szepnęła. – Jest tam, w garderobie.

Uświadomiłam to sobie w chwili, gdy wszedłeś do kabiny. Dziesięć do jednego, że szuka papierów, które zniknęły tamtej nocy. Najprawdopodobniej wie, że trzeba ich szukać w garderobie.

Pozwólmy, żeby je znalazł dla nas.

Godzinę później Lenny wciąż piłował powiększający się otwór w tylnej ścianie garderoby reprezentacyjnej kajuty A. Reuthersowi to wszystko się chyba przyśniło, pomyślał, denerwując się coraz bardziej. Nie znalazł żadnych papierów. Po prostu ich tu nie było!

Mama! Ciotki! Bianca, Concetta, Desdemona, Eugenia, Florina, Georgina, Helena, Iona.....

Po jego policzkach potoczyły się pierwsze łzy rozpacz. Papierów tu nie ma, ale to jego uznają za winnego. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, by ocalić głowy wszystkich starych kobiet oraz swoją własną, teraz jednak pora wracać do koi. Trudno wszak przewidzieć, czy ktoś nie zajrzy tu jeszcze raz.

Lenny wyszedł z garderoby, dokładnie zamykając za sobą drzwi; przemknął przez kajutę na paluszkach i otworzył ostrożnie drzwi. W tym momencie oniemiał.

Patrzył prosto w stalowe oczy starszego agenta Secret Service, Jacka Collinsa.

– Pokaż nam ukryty skarb – rozkazał Collins, a inni agenci chwycili Lenny'ego za ramiona.

Collins nalegałby Henry i Sunday stanęli w końcu korytarza, oddzieleni od centrum wydarzeń ciałami czterech kolejnych agentów. Na znak Collinsa jeden z agentów rzekł:

– Jeśli pan sobie życzy, panie prezydencie.... – i przesunął się na bok.

Collins wepchnął Lenny'ego z powrotem do kajuty.

– Nie ma wątpliwości, że ten pan czegoś tu szukał, sir – rzekł Collins, wskazując na zniszczoną ścianę w garderobie. – To jeden z majtków okrętowych. Godna ubolewania wpadka służb bezpieczeństwa.

– Nic nie szkodzi – przerwał mu Henry. – Czy znalazł zaginione dokumenty?

– Nie ma przy sobie żadnych papierów, sir.

Lenny wiedział, że jego jedyną szansą jest szukać porozumienia, i to szybko.

– Powiem wam wszystko – błagał – ale gdy już to zrobię, nie pozwólcie im skrzywdzić mamy i ciotek.

– Spróbujemy – obiecał Henry. – Mów!

– Panie prezydencie, pański szlafrok – powiedział Sims, który właśnie pojawił się w drzwiach.

Ten człowiek nie traci dostojęstwa nawet w nocnym stroju, pomyślała Sunday. Sims miał na sobie szlafrok narzucony na nocną koszulę, czarne jedwabne skarpetki i czarne buty.

– Chwileczkę, Sims. – Henry zajął Lenny’emu w oczy. – Powiedziałem już, zaczynaj!

– ...No więc Reuthers wie, że zamierzacie wyremontować jacht. Wie, że jeśli pan znajdzie tamtą kopertę i strony ze swego dziennika, kariera Angeliki del Rio jest skończona. Ludzie by ją wówczas zlinczowali. Powiedział, że papiery są za ścianą garderoby, pod sejfem, ale mylił się.

Papiery najwyraźniej się ulotniły. Tu ich nie ma.

Sunday zobaczyła refleks własnego rozczarowania w oczach męża.

– Pański szlafrok, sir – ponaglał Sims. – Zamarznie pan na śmierć. – Nagle Sims zadrżał. –

Och! *Deja vu!* To wszystko przypomina mi tamtą straszliwą noc trzydzieści dwa lata temu. Po zniknięciu premiera przyniosłem panu szlafrok i zaprowadziłem pana do apartamentu ojca...

– Chwileczkę! – wykrzyknęła Sunday. – Co powiedziałeś, Sims?

– Powiedziałem, że przyniosłem panu Henry’emu – bo tak go nazywałem w tamtych dniach – szlafrok i...

– No właśnie – przerwała mu Sunday – Przyniosłeś mu szlafrok. Dlaczego nie było szlafroka w jego kajucie?

Sims zmarszczył brwi, a po chwili jego twarz się rozjaśniła.

– No oczywiście! To było tak. Wieczorem przyniosłem osobiście pańskie mleko i herbatniki, zamierzałem również sprawdzić, czy wszystko zostało należycie przygotowane. Wtedy zauważyłem irytujący dźwięk kapiącego kranu w łazience w kajucie A i postanowiłem umieścić pana w kajucie B tej nocy. – Sims zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Tak, dobrze to pamiętam. Przeniosłem pańską piżamę do kajuty B i przygotowałem łóżko. Zabrałem tam też mleko i herbatniki. Wiedząc, że zapewne zechce pan zrobić notatkę w dzienniku, położyłem na biurku zeszyt i pióro.

– Oczywiście! – wykrzyknął Henry. – Drzwi były otwarte, ty stałeś w środku, a ja tak się chwiałem na nogach, że nawet nie zauważyłem, że wchodzę do kajuty B.

Sunday odwróciła się do Jacka Collinsa.

– Jack, weźmy siekiere i chodźmy do garderoby w sąsiednim pomieszczeniu.

Po piętnastu minutach były prezydent Stanów Zjednoczonych spoglądał na zebranych sponad pożółkłych kartek, które właśnie przeczytał.

– Wszystko tu jest zapisane! – zawołał podniecony. – Jack, przynieś mój telefon specjalny.

Muszę natychmiast zadzwonić do prezydenta Ogilveya.

Trzy minuty później Henry rozmawiał ze swym następcą i czytał mu ostatnie słowa, które napisał Garcia del Rio:

Z ciężkim sercem rozkazuję aresztować moją żonę, senorę Angelicę del Rio, i jej ojca, generała Jose Imperate, pod zarzutem zdrady i kradzieży na wielką skalę.

Dowiedziałem się, że na następny wtorek zaplanowano zamach na moje życie. Mój informator nie jest pewien, czy zamach ma mieć miejsce w samochodzie, który mnie zawiezie z pałacu do siedziby Kongresu, czy też później, podczas prywatnej kolacji, którą zamierzam wydać dla przywódców partii. Nowy szef mojej ochrony osobistej wybrany przez moją żonę planuje prawdopodobnie otrucie nas wszystkich. Sądzę, że moja żona i jej ojciec pozbawili mnie ochrony,

preparując fałszywe zarzuty pod adresem dobrych i uczciwych ludzi, którzy troszczyli się o moje bezpieczeństwo całymi latami. Zastąpili ich własnymi stronnikami, którym przewodzi człowiek będący dalekim kuzynem Angeliki: niejaki Congor Reuthers, wychowany w Wielkiej Brytanii. Oskarżam również moją żonę o ogromne nadużycia finansowe. Zdefraudowała miliony dolarów z kas fundacji charytatywnych, na których czele stoi. Ukradła tym samym pieniądze, które zostały ofiarowane na podniesienie naszego kraju z ruin. Na potwierdzenie tego oskarżenia załączam listę jej kont w bankach szwajcarskich.

– To wszystko, Des – powiedział Henry. – Z moich notatek w dzienniku wynika, że kiedy ojciec podniósł się, by wygłosić mowę, Garcia del Rio niepostrzeżenie zamienił swój talerz na talerz żony. Zdaje się, że choć nie sądził, iż zostanie otruty właśnie tej nocy, zawsze miał się na baczności. W zapiskach jest jeszcze informacja o tym, że *creme brulee*, deser przygotowany przez osobistego kucharza Angeliki del Rio, miał posmak lekarstwa. Myślę, że wszystkim nam zaaplikowano jakiś środek uspokajający, by nikt nie zdołał przyjść premierowi z pomocą. Zanotowałem także, że Angelica del Rio nie tknęła deseru. Ale nalegałaby Garcia del Rio skosztował również jej porcji.

Henry przerwał na chwilę i westchnął.

– Bez wątpienia odczuł skutki leku, choć zjadł bardzo niewiele deseru. Teraz, mój drogi, pora na twoje zagranie.

Henry podał telefon Collinsowi i zwrócił się do Sunday:

– Już po wszystkim, kochanie.

– To cudowne, nieprawdaż? – entuzjazmowała się Sunday, gdy tydzień później oboje z Henrym patrzyli, jak nowo wybrany premier, Miguel Alesso, pozdrawia wiwatujące tłumy mieszkańców Costa Barrii.

– Będzie z niego niezły przywódca – zgodził się Henry. – No i za jego sprawą ziszczą się

marzenia Garcii del Rio – Costa Barria stanie się demokratycznym krajem ze zdrową gospodarką, respektującym prawa człowieka i zapewniającym możliwość edukacji wszystkim obywatelom.

Państwo Britlandowie siedzieli w bibliotece w Drumdoe, oglądając specjalny program informacyjny poświęcony wyborom w Costa Barrii.

Sunday dotknęła dłoni męża.

– Czy teraz już się upewniłeś, że niczego byś nie zmienił, nawet gdybyś wyszedł z premierem del Rio na pokład tamtego wieczoru?

– Tak, teraz już się upewniłem – zgodził się Henry. – Cieszę się tylko, że w ostatniej chwili jakieś przeczucie kazało mu wsunąć tę kopertę do mojej kieszeni. W przeciwnym razie prawda nigdy by nie wyszła na jaw.

– W każdym razie Angelica i jej kuzyn zapłacą za swoje zbrodnie – powiedziała Sunday. –

Zdaje się, że ta pani nie będzie się czuła najlepiej, odsiadując dożywotni wyrok w więzieniu.

– Na pewno nie – uśmiechnął się Henry. – Czy wybierzemy się w jeszcze jeden rejs

„Kolumbią” przed rozpoczęciem prac remontowych?

– Dobra myśl – ucieszyła się Sunday.

– Ale tym razem bądź łaskawa zostać w kajucie razem ze mną. Nie lubię szukać cię w środku nocy.

– Nie ruszę się z miejsca. Nigdy nie wiadomo, kogo można spotkać w garderobie na tym jachcie, prawda? – uśmiechnęła się Sunday.

Wesołych świąt – Joyeux Noël

Dorzućcie jeszcze drew

– wiatr mroźny tutaj dmie;

Niech sobie gwizdże, jeśli chce,

Świąteczna radość jest silniejsza niż to, co złe.

Członkini Kongresu, Sandra O'Brien Britland, podniosła wzrok, by spojrzeć na swego deklamującego wiersze męża, byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który stanął właśnie w drzwiach jej przytulnej pracowni w Drumdoe, ich wiejskiej posiadłości w Bernardsville, w stanie New Jersey.

Uśmiechnęła się czule. Nawet w golfie, dżinsach i znoszonych butach Henry Parker Britland IV był dystygowanym mężczyzną o nienagannych manierach. Tylko siwe pasemka połyskujące w jego włosach ciemnego szatyna i zmarszczki na czole zdradzały, że Henry niedługo skończy czterdzieści pięć lat.

– No, no, cytujemy sobie Tennysona – powiedziała Sandra, podnosząc się z sofy, gdzie przeglądała sterty materiałów dotyczących diskutowanych w Kongresie ustaw. – Zdaje się, że Mężczyzna Roku do czegoś się przymierza.

– To nie Tennyson, kochanie. Sir Walter Scott. I powinnaś wiedzieć, że powieszę cię za uszy, jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Mężczyzną Roku.

– Ależ magazyn „People” przyznaje ci ten tytuł już piąty rok z rzędu. To prawdziwy rekord.

Niedługo będą musieli wymyślić konkurs na Mężczyznę Wszech Czasów i już więcej nie rozważać twojej kandydatury. – Sunday poczuła na sobie groźne spojrzenie męża i dodała pośpiesznie: – Dobrze, już dobrze. Przecież żartuję.

– Pańska piła, panie prezydencie. – W drzwiach pojawił się lokaj Sims z nowiutką, lśniąca piłą w dłoniach. Pokazywał ją Henry'emu, przejęty tak, jakby trzymał w ręku królewskie klejnoty.

– Co tu się, u licha, dzieje? – wykrzyknęła Sunday.

– A jak sądzisz, kochanie? – zapytał Henry, przyglądając się jednocześnie pile. – Dobra robota, Sims. Myślę, że ta piła spisze się znakomicie.

– Masz zamiar przepiłować mnie na pół? – zainteresowała się Sunday.

– Orson Welles i Rita Hayworth świetnie sobie poradzili z tą sceną. Nie, kochanie, my

wyberamy się do lasu. Podczas porannej przejażdżki konnej natknąłem się na wspaniałego iglaka, który nadaje się doskonale na naszą pierwszą wspólną choinkę bożonarodzeniową. Rośnie na północnym krańcu posiadłości, za jeziorkiem.

– Zamierzasz ściąć drzewko własnoręcznie? – zdziwiła się Sunday. – Henry, za bardzo sobie bierzesz do serca ten tytuł...

Henry podniósł wolną rękę.

– Ani słowa. Parę tygodni temu powiedziałaś, że twoje najwspanialsze wspomnienia wiążą się z tym, jak kupowałaś razem z ojcem choinkę, pomagałaś mu ją zanieść do domu i ubrać. W tym roku inaugurujemy naszą własną tradycję.

Sunday wsunęła opadające pasmo jasnych włosów za ucho.

– Naprawdę? Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Pójdziemy pieszo po śniegu do lasu. Ja zetnę tam drzewko, a potem oboje przyciągniemy je do domu.

Henry promieniał z radości, dumny ze swego planu.

– Jutro Wigilia. Jeśli dziś przyniesiemy choinkę, możemy zacząć ją ubierać już wieczorem.

Skończymy jutro. Sims przyniesie pudełka z ozdobami ze schowka, a ty wybierzesz to, co ci się spodoba.

– Jest z czego wybierać, proszę pani – wtrącił się Sims. – W zeszłym roku byli tu dekoratorzy od Lanninga i przystroili drzewko w tonacji niebiesko-srebrzystej. Ślicznie. A rok wcześniej mieliśmy białe Boże Narodzenie. Och, wszyscy się zachwycali.

– Lanning dostanie chyba zawału, skoro nie zamierzasz go zaangażować w tym roku – zauważyła Sunday, odkładając kartki i notatnik na bok. – Czytam w twoich myślach. Robisz to specjalnie dla mnie.

Henry ujął jej twarz w dłonie.

– Sporo przeszłaś w ciągu ostatnich tygodni, zdaje mi się, że razem stworzymy taki nastrój, jakiego naprawdę potrzebujesz. Cała służba oprócz Simsa i wszyscy ochroniarze są już w swoich domach, z własnymi rodzinami. Zostaliśmy tylko my dwoje i Sims.

Sunday poczuła nagły przypływ wzruszenia. Jej matka parę tygodni temu przeszła poważną operację – założono jej kilka bypassów. Wracała teraz do zdrowia w posiadłości Britlandów na Bahamach, pod opieką swego męża. Ale przez chwilę sprawa wyglądała naprawdę groźnie i Sunday była do głębi wstrząśnięta myślą, że mogłaby stracić matkę.

– Oczywiście, jeśli pani nie ma nic przeciwko mojej obecności... – wtrącił Sims; w jego pełnym godności głosie, stosownym do równie pełnego godności zachowania, zabrzmiała pytająca nutka.

– Sims, przecież to jest twój dom od trzydziestu lat – oświadczyła Sunday. – Ma się rozumieć, że chcemy, byś został z nami.

Sunday wskazała palcem piłę.

– Zdawało mi się, że drwale używają siekier.

– Ty poniesiesz siekierę – odparł Henry. – Na dworze jest zimno. Włóż swój strój narciarski.

Jacques wysunął ostrożnie głowę zza grubego pnia stuletniego dębu, chcąc przyjrzeć się wysokiemu mężczyźnie, który właśnie ścinał drzewo. Obok niego stała roześmiana kobieta, która chyba próbowała mu pomóc. Był tam jeszcze jeden człowiek, który wyglądał trochę jak *grand-pere*.

Jacques nie chciałby tamci go zobaczyli. Mogliby oddać go Lily, a on się jej bał. Bał się jej od chwili, gdy zaczęła się nim opiekować podczas wycieczki *maman* i Richarda.

Maman i Richard wzięli ślub w zeszłym tygodniu. Jacques bardzo lubił swego nowego tatusia, aż do chwili, gdy dowiedział się od Lily, że *maman* i Richard zadzwoniliby powiedzieć, że już go nie chcą, i pozwolili jej go zabrać. Wtedy Lily wsadziła go do swojego samochodu i jechali gdzieś bardzo, bardzo długo. Jacques pamięta, że zasnął głęboko, a potem obudził go okropny hałas,

samochód zakręcił się w kółko i zleciał z drogi. Gdy drzwi się otworzyły, Jacques czym prędzej uciekł.

Dlaczego *maman* nie oddała go *grand-pere*, skoro już go nie chciała? *Grand-pere* pojechał do Paryża dziś rano. Wyjeżdżając, powiedział Jacques'owi, że będzie mu bardzo dobrze w Darien, w nowym domu Richarda. *Grand-pere* obiecał, że latem Jacques będzie mógł spędzić z nim cały miesiąc na wsi w Aix-en-Provence, a w ciągu roku otrzyma mnóstwo wiadomości pocztą komputerową.

Jacques miał wkrótce skończyć sześć lat i *maman* nazywała go swoim „małym mężczyzną”, ale jakoś nie potrafił ogarnąć tego wszystkiego. Zrozumiał jedynie, że *maman* i Richard go nie chcą, on zaś stanowczo nie chciał zostać z Lily. Może *grand-pere* zabrałby go stąd, gdyby Jacques mógł z nim porozmawiać. Gdyby jednak *grand-pere* kazał mu zostać z Lily? Lepiej nie rozmawiać z nikim, pomyślał Jacques.

Tymczasem wielkie drzewo runęło na ziemię z wielkim trzaskiem.

Wysoki pan, pani i ten mężczyzna, który przypominał *grand-pere*, zaczęli się śmiać, a potem chwycili za pień i pociągnęli choinkę za sobą.

– Całkiem udana choinka, sir – zauważył Sims. – Choć może mogłaby być nieco bardziej symetryczna.

– Drzewko jest przekrzywione – orzekła Sunday. – W rzeczy samej jest trochę koślawe, dlatego wydaje się asymetryczne.

Siedziała po turecku na podłodze w bibliotece, przeglądając pudełka ze starannie zapakowanymi ozdobami choinkowymi.

– Zważywszy jednak – dodała – na ilość energii, którą obaj zużyliście, by w ogóle ustawić to drzewko, proponuję dać mu już spokój. Jest bardzo ładne.

– Wcale nie zamierzam go więcej dotykać – oznajmił Henry. – W jakim kolorze będzie

choinka?

– W całym mnóstwie kolorów – odparła Sunday. – Wszystkie dokładnie przemieszane. Kicz nad kiczami. Wielobarwne światełka. Błyskotki. Szkoda, że nie masz jakichś sfatygowanych ozdóbek, które się zachowały z czasów twego dzieciństwa.

– Mam coś lepszego: twoje sfatygowane ozdoby choinkowe – zaskoczył ją Henry. – Zanim twoi rodzice wyjechali do Nassau, ojciec wyszukał je dla mnie.

– Zaraz przyniosę te pudełka, sir – zaproponował Sims. – Może państwo zechcieliby wypić kieliszek szampana, dekorując choinkę?

– Z przyjemnością – powiedział Henry, rozcierając zmarznięte dłonie. – Ty także nie pogardzisz bąbelkami, skarbie, prawda?

Sunday nic nie odpowiedziała. Wpatrywała się w jakieś miejsce tuż za choinką.

– Henry – szepnęła – błagam, nie pomyśl, że zwariowałam, ale przez sekundę wydawało mi się, że widzę dziecięcą twarzą przyklejoną do szyby.

Richard Dalton rzucił przelotne spojrzenie swojej poślubionej przed siedmiu dniami żonie, gdy skręcali z Connecticut's Merritt Parkway na drogę prowadzącą do Darien.

– Będziemy musieli zafundować sobie prawdziwy miesiąc miodowy, Giselle.

Giselle DuBois Dalton wsunęła rękę pod ramię męża i odpowiedziała po angielsku, acz z silnym akcentem:

– Pamiętaj, Richard, od tej chwili masz mówić do mnie wyłącznie po angielsku. I nie martw się. Zrobimy sobie później prawdziwy miesiąc miodowy. Wiesz, że wolałabym nie zostawiać Jacques'a z tą dziwną nianią dłużej niż parę godzin. On jest taki nieśmiały.

– Ona mówi płynnie po francusku, kochanie, a to przecież dość ważne. No i agencja wystawiła jej świetne referencje.

– A jednak – w głosie Giselle pobrzmiwał niepokój – tak bardzo się ze wszystkim

śpieszyliśmy, prawda?

Rzeczywiście, śpieszyliśmy się, pomyślał Dalton. Zamierzali pobrać się w maju. Ale trzeba było zmienić termin, gdy on dostał ofertę objęcia kierowniczego stanowiska w All-Flav, międzynarodowym koncernie produkującym napoje. Przedtem był dyrektorem Coll-ette, francuskiego oddziału głównego konkurenta All-Flav. Oboje z Giselle doszli do wniosku, że żaden trzydziestoczteroletni mężczyzna nie powinien odrzucać podobnej propozycji, gwarantującej zwłaszcza tak znakomite warunki finansowe.

Pobrali się więc tydzień temu i po paru dniach zamieszkali w Darien, w domu wynajętym dla nich przez firmę.

W piątek, całkiem niespodziewanie, pojawiła się niania, Lily, choć przedtem powiedziano im, że będzie mogła podjąć pracę dopiero po świętach. W sobotę rano ojciec Giselle, Louis, zachęcił ich, by wybrali się na krótki „miodowy weekend” do Nowego Jorku.

– Zostanę z Jacques’em do poniedziałku w południe. Potem Lily z pewnością zajmie się nim przez parę godzin, dopóki nie wrócicie po bożonarodzeniowym lunchu w firmie – powiedział.

Bożonarodzeniowe przyjęcie w firmie przeciągnęło się jednak co nieco i Richard czuł wyraźnie, że niepokój Giselle rośnie w miarę zbliżania się do Darien.

Rozumiał ją dobrze. Giselle owdowiała w wieku dwudziestu czterech lat i została sama z maleńkim synkiem. Zaczęła pracować w dziale reklamy w Coll-ette i właśnie tam poznali się rok temu.

To nie były łatwe zaloty. Giselle bardzo niepokoiła się o Jacques’a, bała się, że żaden ojczym – absolutnie żaden – nie będzie dla niego dobry.

Poza tym zamierzali przecież mieszkać na razie w Paryżu. I nagle, w ciągu kilku tygodni, musiała zmienić plany dotyczące ślubu i przeprowadzić się. Richard wiedział, że Giselle martwi się przede wszystkim o to, jak chłopiec zniesie te wszystkie nagłe zmiany: nowego ojca, nowy dom.

A na dodatek mały dopiero zaczął się uczyć angielskiego.

– Nareszcie w domu – uśmiechnął się Richard, gdy już wjechali w długą alejkę dojazdową.

Giselle otworzyła drzwi po swojej stronie, zanim samochód się zatrzymał.

– Dom jest pogrążony w ciemnościach – zauważyła. – Dlaczego Lily nie zapaliła światła?

Żartobliwa uwaga, że Lily jest zapewne oszczędną Francuzką, zamarła Richardowi na ustach.

Nawet on wziął za zły znak atmosferę opuszczenia, która panowała w tym miejscu. Było już przecież prawie całkiem ciemno, a w żadnym oknie nie paliło się najmniejsze światełko.

Dogonił Giselle, gdy już stała przy drzwiach frontowych. Grzebała w torebce, szukając klucza.

– Ja mam klucz, kochanie – powiedział.

Za drzwiami ukazał się mroczny przedsionek.

– Jacques! – zawołała Giselle. – Jacques!

Richard zapalił światło i wtedy zauważył kartkę przypiętą do tablicy: *N'appellez pas la police.*

Attendez nos instructions avant de rien faire.

Nie zawiadamiajcie policji. Czekać na instrukcje.

– Jak się pani czuje, panno LaMonte?

Kobieta powoli otworzyła oczy i ujrzała nad sobą zatrokanego policjanta konnego. Co się stało? – zastanawiała się przez chwilę. Wówczas naszły ją żywe wspomnienia. Złapała gumę i straciła panowanie nad wozem. Samochód zjechał z drogi i spadł do rowu. Ona uderzył głową o kierownicę.

Chłopiec. Jacques. Czy już im o niej powiedział? Co ona ma mówić? Pójdzie chyba do więzienia.

Dotknęła dłonią swego ramienia. Uświadomiła sobie, że po drugiej stronie łóżka stoi lekarz.

– Spokojnie – rzekł do niej. – Jest pani w izbie przyjęć Morrystown General Hospital. Nieźle się pani uderzyła, ale wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Próbowaliśmy zawiadomić pani

rodzinę, nie mamy jednak na razie żadnej odpowiedzi.

Zawiadomić rodzinę? No tak. Ma przecież przy sobie portfel, który wykradł Pete, a w nim dokumenty prawdziwej Lily LaMonte: jej prawo jazdy, dowód rejestracyjny, ubezpieczenie i karty kredytowe.

Mimo silnego bólu głowy, Betty Rouches odzyskała w mgnieniu oka swe konfabulacyjne zdolności.

– Bardzo się cieszę. Jadę właśnie do rodziny na święta i wolałabym, żeby się nie wystraszyli taką wiadomością.

Tylko gdzie niby jest ta rodzina? I gdzie jest chłopiec?

– Czy jechała pani sama?

W jej zatartych wspomnieniach pojawił się mglisty obraz drzwi otwierających się po stronie pasażera. Dziecko najprawdopodobniej uciekło.

– Tak – szepnęła.

– Samochód znajduje się na najbliższej stacji benzynowej, ale obawiam się, że wymaga poważnego remontu – poinformował ją policjant. – Może nawet nadaje się do kasacji.

Betty poczuła, że pora się stąd wydostać. Spojrzała na lekarza.

– Poproszę brata, żeby tu wrócił po samochód. Czy mogę już iść?

– Owszem, chyba tak. Ale proszę uważać. I wybrać się do lekarza w przyszłym tygodniu.

Doktor uśmiechnął się krzepiąco i opuścił pokój.

– Musi pani podpisać protokół powypadkowy – powiedział policjant. – Czy ktoś po panią przyjedzie?

– Owszem. Dziękuję. Zadzwońię do brata.

– Powodzenia. Mogło być znacznie gorzej. Przebita opona i samochód bez poduszki powietrznej... – Policjant nie dokończył myśli.

Dziesięć minut później Betty siedziała w taksówce zmierzającej ku najbliższej wypożyczalni samochodów. Dwadzieścia minut później jechała już w stronę Nowego Jorku. Miała zamiar zawieźć chłopca do domu swego kuzyna Pete'a w Sommerville, ale teraz nie było mowy, by tam pojechała.

Dopiero za miastem zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby zatelefonować. Teraz, gdy już poczuła się trochę bezpieczniej, chciała wyładować całą złość na kuzynie, który namówił ją na ten wariacki plan.

– Zero ryzyka – twierdził. – Taka okazja zdarza się raz w życiu.

Pete pracował w Best Choice Employment Agency w Darien. Twierdził, że jest stażystą, ale Betty wiedziała, że czasem biega po mieście w charakterze gońca, a czasem kosi trawniki w posiadłościach wynajmowanych przez agencję.

Pete, podobnie jak ona, miał trzydzieści dwa lata; przez całe dzieciństwo byli sąsiadami i razem wpakowali się w niejedną kabałę. Do tej pory śmiali się na wspomnienie tego, jak podłożyli ogień w szkole, zwalając winę na inne dzieci.

Mimo wszystko powinna przecież zauważyć, że Pete najwyraźniej jest nie w formie, skoro proponuje taki idiotyczny plan.

– Słuchaj – przekonywał ją – dowiedziałem się w agencji wszystkiego o tych ludziach. Ten facet, Richard Dalton, właśnie zdeponował czek na sześć milionów dolarów, mówią, że to jego bonus za przejście do innej firmy. A ja nawet pracowałem w domu, który zamierzają wynająć. Jakiś inny prezesik mieszkał tam pół roku temu. No i znam Lily LaMonte. Pracowała już dla agencji i nie ma nikogo innego, kto by się nadawał do tej pracy. Tamci potrzebują niani, która mówi płynnie po francusku. Wiem przypadkiem, że ona się wybiera do Nowego Meksyku na święta. No więc po prostu podasz się za nią. Jesteś do niej podobna, masz tyle samo lat i dobrze mówisz po francusku. Gdy rodzice gdzieś wyjadą, zabierzesz dzieciaka do mojego domu w Sommerville. Ja się zajmę

okupem i całą resztą. Zrobimy wymianę. Podzielimy się milionem dolców.

– A jeśli zawiadomią policję?

– Nie zawiadomią, a jeśli nawet, to co z tego? Nikt nas nie zna. Kto by mnie podejrzewał? Nic nie zrobimy dzieciakowi. No i ja będę mógł obserwować, co się dzieje. Mam się przecież zająć odśnieżaniem tamtej posiadłości. A na pewno jeszcze spadnie śnieg. No więc się zorientuję, czy są tam jakieś gliny. Zadzwonię do Daltona i każę mu zostawić pieniądze w skrzynce pocztowej, jeśli chcą, by dziecko wróciło na święta. A jak zawiadomią gliny, to już więcej się nie odezwiemy.

– Skoro jednak dadzą znać glinom, co zrobimy z dzieciakiem?

– To samo, co zrobimy, jeśli dostaniemy pieniądze. Niezależnie od tego, co się stanie, zostawisz go w kościele w Nowym Jorku. Ich modlitwy zostaną wysłuchane.

Cała historia przypominała, zdaniem Betty, tamto sławetne podłożenie ognia w szkole. Ani Pete, ani ona nie zamierzali skrzywdzić dziecka. Tak samo jak wtedy wcale nie chcieli spalić szkoły. Nigdy by tego nie zrobili.

W głosie Pete'a słychać było zdenerwowanie, gdy podniósł słuchawkę.

– Powinnaś być w Sommerville od wielu godzin.

– Może bym była, gdybyś sprawdził opony tego beznadziejnego samochodu – burknęła Betty.

– O co ci chodzi?

Betty czuła, że mówi podniesionym głosem, opowiadając kuzynowi, co się zdarzyło.

Pete przerwał jej w pewnej chwili

– Zamknij się i słuchaj. Sprawa skończona. Zapomnij o forsie. Żadnych kontaktów z tymi ludźmi. Gdzie dzieciak?

– Nie wiem. Obudziłam się w szpitalu. Zdaje się, że chłopak zwiął, zanim zjawiły się gliny.

– Jeśli zaczniesz gadać, znajdą cię. Wiedzą, gdzie wynajęłaś samochód?

– Taksówkarz wie.

– Dobra. Zostaw auto i znikaj. Postaraj się zatrzeć ślady. Pamiętaj, nie ma żadnego powodu, by nas podejrzewali o cokolwiek w związku ze zniknięciem dzieciaka.

– Jasne, że nie ma! – wykrzyknęła Betty ironicznie, rzucając słuchawkę.

– Sir, jak na razie nie ma żadnego meldunku o zaginięciu dziecka – poinformował Henry’ego policjant. – Ale zabiorę chłopca na główny komisariat, przyjdzie po niego ktoś z wydziału do spraw rodzinnych, jeśli nikt się po niego nie zgłosi. Choć najprawdopodobniej jacyś zatroskani rodzice już go szukają.

Wszyscy się zgromadzili w bibliotece w Drumdoe. Nad pokojem górowała wciąż nieprzystrojona, lekko przekrzywiona choinka, której nikt nie tknął od chwili, gdy Sunday zauważyła twarz Jacques’a przyklejoną do szyby. Chłopiec zorientował się, że ktoś go spostrzegł, i próbował uciec, ale Henry wybiegł z domu dość szybko, by go złapać. Gdy wszystkie łagodne pytania pozostały bez odpowiedzi, Henry zadzwonił na policję, a Sunday rozpięła dziecku kurtkę i rozebrała je. Delikatnie rozcierała zmarznięte paluszki chłopczyka, ani na chwilę nie przestając mówić, w nadziei że zdoła zdobyć jego zaufanie, bo przerażenie czające się w niebieskozielonych oczach łamało jej serce.

Policjant przykucnął naprzeciwko małego.

– Ma chyba pięć czy sześć lat, nie sądzicie państwo? Właśnie w tym wieku jest mój siostrzeniec, zresztą przypomina go wzrostem. – Policjant uśmiechnął się do Jacques’a. – Jestem policjantem i pomogę ci znaleźć mamę i tatę. Założę się, że już cię wszędzie szukają. Pojedziemy samochodem tam, skąd będą mogli cię zabrać. Dobrze?

Położył rękę na ramieniu Jacques’a i próbował przyciągnąć chłopca do siebie. Na twarzy dziecka odmalowało się przerażenie i mały czym prędzej odwrócił się do Sunday, by chwycić ją obiema rączkami za spódnicę, jakby błagał o opiekę.

– Jest śmiertelnie wystraszony – powiedziała Sunday. Uklękła obok roztrzęsionego chłopca

i objęła go ramieniem.

– Panie sierzancie, nie mógłby go pan tu zostawić? Jestem pewna, że wkrótce ktoś zadzwoni w jego sprawie. Pomógłby nam przystroić choinkę, w czasie gdy będziemy czekać na wiadomość.

Prawda, mój mały? – Sunday poczuła, że chłopiec drży. – Dobrze? – zwróciła się do niego łagodnie. Mały jednak wciąż nie odpowiadał. – Być może ten chłopiec nie słyszy.

– Albo nie mówi – zgodził się Henry. – Panie sierzancie, myślę, że moja żona ma rację. Tutaj będzie bezpieczny. Dostanie kolację, a pan tymczasem z pewnością dowie się czegoś na jego temat.

– Obawiam się, że to niemożliwe, sir. Muszę go zabrać na komisariat. Trzeba chłopca sfotografować i sporządzić dokładny rysopis, który wszędzie roześlemy. Ludzie z wydziału do spraw rodzinnych zadecydują, czy będzie mógł tu zostać do chwili odnalezienia opiekunów.

Maman nauczyła go bardzo dawno, że jeśli kiedykolwiek się zgubi, ma podejść do *gendarme* i podać swoje imię, nazwisko, adres i numer telefonu. Jacques nie miał wątpliwości, że ten pan jest *gendarme*, ale przecież nie mógł mu podać ani nazwiska, ani adresu, ani numeru telefonu. *Maman* i Richard oddali go Lily, a on wcale nie chciałby Lily go stąd zabrała.

Ta pani przypominała mu trochę *maman*. Miała włosy takiego samego koloru i uśmiechała się do niego tak samo jak *maman*. Była taka delikatna. Inna niż Lily, bo Lily wcale się nie uśmiechała i kazała mu się przebrać w niewygodne, obcisłe ubranie, które wciąż miał na sobie. Jacques był głodny i zmęczony. Chciał wrócić do Paryża, do *maman* i *grand-pere*.

Niedługo będzie *fete de Noël*. W tamtym roku przyszedł do nich Richard i przyniósł mu kolejkę. Jacques pamiętał, jak wszyscy razem układali tory i ustawiali stację, mosty i małe domki. Richard obiecał, że zrobią to samo w tym roku, w nowym domu. Ale go okłamał.

Jacques poczuł, że ktoś go podnosi. Teraz zabiorą go z powrotem do Lily. Przerażony, skrył twarz w małych dłoniach.

Dwie godziny później, gdy Lily się nie pojawiła, a *gendarme* przywiózł go z powrotem do

wielkiego domu, Jacques poczuł, że opuszcza go lęk. Wiedział, że w tym domu nie ma Lily. Tu będzie bezpieczny. W jego oczach zalśniły łzy ulgi. Otworzyły się drzwi i mężczyzna podobny do *grand-pere* wpuścił go do środka i zaprowadził znów do pokoju, w którym stała choinka. Czekał tam wysoki pan i miła pani.

– Dziecko zostało zbadane – oznajmił policjant. – Doktor twierdzi, że mały jest bardzo zadbany i w dobrej kondycji. Na razie nie zaczął mówić i nic nie zjadł, ale doktor sądzi, że w tej chwili nie sposób orzec, czy to jakaś przypadłość, czy po prostu przerażenie. Rozesłaliśmy już jego fotografię i rysopis. Zapewne wkrótce ktoś się po niego zgłosi, a na razie może zostać z wami.

Jacques nie miał pojęcia, co powiedział *gendarme*, ale pani, która wyglądała jak *maman*, uklękła koło niego i objęła go ramionami. Ona na pewno jest miła, Jacques poczuł się przy niej bezpiecznie, trochę jak wtedy, gdy *maman* go jeszcze kochała. Olbrzymia gruda w jego gardle zaczęła się powoli rozpuszczać...

Sunday poczuła, że mały znowu drży.

– Możesz sobie popłakać – szepnęła, głaszcząc go po jedwabistych brązowych włosach.

Richard Dalton spoglądał bezradnie na żonę wpatrzoną w telefon. Giselle doznała szoku. Miała silnie rozszerzone źrenice i twarz pozbawioną wyrazu. Mijały godziny, a porywacze wciąż się nie odzywali, Richard miał więc coraz większą ochotę zadzwonić na policję. Gdy jednak to zasugerował, Giselle wpadła w histerię.

– *Non, non, non*, nie możesz, to wykluczone. Oni go zabijają. Musimy robić, co nam każą.

Musimy czekać na instrukcje.

Richard robił sobie w duchu wyrzuty, że powinny się w nim obudzić jakieś podejrzenia, gdy ta kobieta pojawiła się tak nieoczekiwanie. Agencja twierdziła przecież, że pracownica wyjechała na święta i że może podjąć obowiązki dopiero dwudziestego siódmego grudnia. Powinniśmy to sprawdzić, myślał. Wystarczyło przecież zadzwonić do agencji i zapytać. Ale skąd ta kobieta, która

się podawała za Lily LaMonte, wiedziała, że ma przyjść do ich domu? Najwyraźniej wszystko zostało ukartowane; zamierzała uprowadzić Jacques'a przy pierwszej okazji. To przecież ojciec Giselle ostatecznie ich przekonałby przyjęli tę kobietę, która się podawała za Lily LaMonte, to właśnie on nakłaniał ich, by wyjechali na weekend do Nowego Jorku. Była w tym ironia losu, bo właśnie on byłby zdruzgotany, gdyby cokolwiek się stało małemu. Nie, to oczywiście nie jego wina, myślał Richard. Najprawdopodobniej i tak zostawilibyśmy Jacques'a z tą kobietą, wybierając się na bożonarodzeniowy lunch w firmie. Richard pokręcił głową. Może tak, może nie, pomyślał. Nie pora roztrząsać to wszystko.

Tak czy inaczej, coś trzeba zrobić. Bezczyność zaczynała doprowadzać go już do szaleństwa. Na pewno chodzi o pieniądze i Jacques będzie w domu już jutro.

Jutro.

W Wigilię!

Richard westchnął. Może nie tak szybko. Porywacze zapewne zakładają, że mogą żądać sześciu milionów dolarów. Ale przecież nikt nie przypuszcza chyba, że da się wyłożyć taką sumę na stół na zawołanie. Z bankomatu można przecież dostać ledwie parę setek.

Porywacz czy porywacze zamierzają zapewne przetrzymać Jacques'a przez całą noc. Gdyby zadzwonili rano, mógłby wziąć pieniądze z banku. Tylko ile? Ile zażądają? Jeśli chodzi im o miliony, to może potrwać parę dni. Żaden bank nie trzyma takich sum w kasie. A przy tak wielkiej wypłacie będą zapewne skomplikowane procedury.

Giselle ocierała łzy, które spływały jej po policzkach. Usta szeptały imię synka. Jacques.

Jacques.

To moja wina, pomyślał Richard. Giselle i Jacques przyjechali tu ze mną tak chętnie, i przeze mnie to wszystko się stało. Richard nie potrafił już dłużej trwać w bezczynności. Obiecał Jacques'owi, że zmontują razem kolejkę podczas świąt. Rozejrzał się po pokoju. Pudełka

z wagonikami leżały w rogu bawialni, w której właśnie siedzieli.

Richard wstał, podszedł do pudełek i kucnął na podłodze. Rozerwał lakową pieczęć na pierwszym pudle i wydobył zeń część torów. W ubiegłym roku, w Wigilię, gdy Jacques otwierał owinięte błyszczącym papierem paczuszki w domu *grand-pere*, Richard wytłumaczył mu, że Święty Mikołaj zostawił prezenty wcześniej, żeby mogli ułożyć tory razem. Gdy tory, wagoniki, mosty i domki stały już na swoich miejscach, pokazał małemu włącznik.

– Tu trzeba nacisnąć, żeby kolejka ruszyła – wyjaśnił. – Spróbuj.

Jacques nacisnął guziczek. W maleńkich domkach zapaliły się światełka, rozległy się gwizdy, opadły szlabany, a gdy chłopiec ostrożnie nacisnął kolejny guziczek, staroświecka lokomotywa z sześcioma wagonikami sapnęła i ruszyła naprzód.

Wyraz zdziwienia, który się wtedy odmalował na buzi Jacques'a, trudno doprawdy opisać.

Jacques, modlił się Richard, znowu ustawię dla ciebie tę kolejkę, a ty musisz wrócić, żeby nią pokierować razem ze mną.

Zadzwonił telefon. Richard podskoczył i zdołał wyjąć słuchawkę z ręki Giselle, zanim ona się odezwała.

– Richard Dalton – powiedział szorstko.

Usłyszał cichy, ochryply głos człowieka, który najwyraźniej nie chciał być rozpoznany:

– Ile pieniędzy masz w domu?

Richard zastanowił się przez chwilę:

– Jakies dwa tysiące dolarów – odparł.

Pete Schuler zmienił zdanie. Może jednak uda mu się wycisnąć z nich parę dolców.

– Zawiadomiłeś policję?

– Nie, przysięgam, że nie.

– Dobra. Włóż teraz pieniądze do skrzynki pocztowej. Potem opuść wszystkie żaluzje. Nie

wolno wam wyglądać przez okno, jasne?

– Tak, tak. Zrobimy wszystko, czego pan sobie życzy. Czy Jacques czuje się dobrze? Chcę z nim porozmawiać.

– Niedługo z nim porozmawiasz. Proszę włożyć pieniądze tam, gdzie się umówiliśmy, a dzieciak będzie ubierał razem z wami choinkę jutro wieczorem.

– Proszę o niego dbać. Musicie o niego dbać.

– Będziemy. Ale proszę pamiętać, jeśli zauważymy najmniejszy ślad, że policja została zawiadomiona, dzieciak z miejsca ląduje w rodzinie zastępczej w Ameryce Południowej.

Zrozumiano?

Nie zagrozili, że go zabiją, pomyślał Richard. Przynajmniej nie zagrozili, że go zabiją. Wtedy usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki. On także odłożył słuchawkę i objął Giselle.

– Wróci do nas jutro – powiedział.

Z okna sypialni na pierwszym piętrze można było zobaczyć karbowaną skrzynkę pocztową.

Właśnie przy tym oknie usadowił się Richard, wyglądając na dwór przez szparę w żaluzjach. Tuż obok stał telefon. Richard wiedział, że Giselle mogłaby nie zrozumieć poleceń wydawanych przez nieznanego rozmówcę o pogrubionym głosie. Była już zresztą u kresu wytrzymałości, ale na szczęście zdołał nakłonić ją, by się położyła na łóżku koło okna, otulona wełnianym pledem. Sam zajął się przygotowywaniem aparatu fotograficznego do zdjęcia w kiepskim oświetleniu.

Gdy już zainstalował się na swym posterunku obserwacyjnym, uświadomił sobie, jak niewiele się dowie o człowieku, który przyjdzie po pieniądze. Ulica nie jest oświetlona, niebo zasnuły ciężkie, groźne chmury. Jeśli będzie miał szczęście, może uda mu się ustalić, jakim samochodem jeździ ten człowiek. Powinienem zawiadomić policję, pomyślał. Najprawdopodobniej już nie nadarzy się okazja, by pójść śladem tego, kto przyjdzie po pieniądze.

Richard westchnął. Bo gdyby zawiadomił policję i gdyby coś się nie udało, nigdy by sobie tego

nie wybaczył i Giselle także by mu nie wybaczyła.

W jego myślach rozbłysło nagle wspomnienie z czasów, gdy sam miał dziewięć lat i na życzenie matki pobierał lekcje gry na fortepianie. Jedną z niewielu melodii, które potrafił zagrać bezbłędnie, była „All Through the Night”. Pamiętał, że matka siadywała czasem koło pianina i śpiewała słowa granej przez niego piosenki:

Śpij dziecino, spokojnie śpij

Przez noc całą.

Anioła Bóg niech ześle ci

Na noc całą.

Niech anioł stróż strzeże naszego małego chłopca, modlił się Richard po cichu, słuchając szlochu Giselle.

W jego głowie wciąż brzmiał ostatni fragment piosenki: „Moje serce czuwać będzie przez noc całą”.

Kolacja była niewyszukana: sałatka, bagietka, makaron z bazylią i sosem pomidorowym.

Dziecko siedziało w małej jadalni w towarzystwie Henry’ego i Sunday. Chłopiec wziął serwetkę leżącą koło nakrycia i położył ją sobie na kolanach, ale nawet nie spojrzał na Simsa, który podsuwał mu pieczywo, i nie tknął jedzenia.

– On musi być głodny – rzekł Henry. – Dochodzi już wpół do ósmej. – Wziął do ust trochę makaronu i uśmiechnął się do Jacques’a. – Mmmm... pyszne.

Jacques spojrzał na niego z grobową miną, a potem odwrócił wzrok.

– Może kanapkę z nutellą? – zaproponował Sims. – Pan to uwielbiał w dzieciństwie, sir.

– Nie zwracajmy na niego uwagi przez jakiś czas, zobaczymy, co się zdarzy – zasugerowała Sunday. – Sądzę, że wciąż jest śmiertelnie przerażony, ale zgadzam się co do tego, że musi być równie śmiertelnie głodny. Jeśli nie zacznie jeść w ciągu paru minut, zmienimy menu. Sims, jeśli

zrobisz mi kanapkę z nutellą, zastąp coca-colę mlekiem.

Sunday nawinęła spaghetti na widelec.

– Henry, nie zastanawia cię, że nikt nie zgłosił na policję zaginięcia dziecka? – zwróciła się do męża. – Gdyby on pochodził z jakiegoś domu w okolicy, każdy normalny rodzic zadzwoniłby dawno na komisariat, żeby zameldować o jego zaginięciu. Zastanawiam się wobec tego, jak on się tu dostał? Czy nie przypuszczasz, że ktoś go celowo zostawił na naszych schodach?

– Nie wierzę – odparł Henry. – Gdyby ktokolwiek zamierzał zostawić tu chłopca, musiałby mieć zdolności parapsychiczne, żeby się zorientować, że wysłaliśmy ochronę na parę dni urlopu. W przeciwnym razie zostałby przyłapany i wypytany. Sądzę raczej, że z jakiegoś dziwnego powodu nikt nie zauważył na razie zniknięcia chłopca.

Sunday spojrzała na Jacques'a, po czym pośpiesznie przeniosła spojrzenie na męża.

– Nie patrz teraz w tamtą stronę – powiedziała cicho. – Ale pewien młody człowiek właśnie zaczyna jeść.

Henry i Sunday gawędzili przez cały czas, ostentacyjnie ignorując Jacques'a, który zjadł tymczasem cały talerz makaronu, sałaty i wypił swoją colę.

Sunday zauważyła, że chłopiec patrzy na pieczywo leżące poza jego zasięgiem.

Niepostrzeżenie przysunęła koszyk bliżej dziecka.

– Jeszcze jedna obserwacja – powiedziała. – Miał ochotę na pieczywo, ale nie poprosił o nie ani nie sięgnął. Henry, nie wiem, czy to sobie uświadamiasz, ale to dziecko zachowuje się przy stole absolutnie nienagannie.

Po kolacji wszyscy wrócili do biblioteki, by skończyć ubieranie choinki. Sunday pokazała Jacques'owi ostatnie pełne pudełko z ozdobami i chłopiec zaczął podawać jej bombki. Zauważyła, jak ostrożnie wydobywa je pojedynczo z przegródek. Z całą pewnością robił to już kiedyś, uznała. Potem spostrzegła, że małemu opadają powieki.

Gdy ostatnia ozdoba zawisała na choince, powiedziała:

– Zdaje się, że ktoś powinien już pójść do łóżka. Tylko gdzie go położymy?

– Kochanie, w tym domu mamy przynajmniej szesnaście wolnych sypialni.

– Dobrze, a gdzie ty spałeś, gdy byłeś w jego wieku?

– W pokoju dziecięcym.

– Niedaleko niani?

– Oczywiście.

– No właśnie.

Sims składał właśnie puste pudełka.

– Sims, sądzę, że położymy naszego małego przyjaciela na sofie w pokoju przylegającym do sypialni – powiedziała Sunday. – Zostawimy otwarte drzwi, żeby mógł nas widzieć i słyszeć.

– Dobrze, proszę pani. A co z piżamą?

– Jakiś podkoszulek Henry’ego wystarczy.

Nieco później, już nocą, Sunday obudziło cichutkie szlochanie dobiegające z sąsiedniego pokoju. W jednej chwili wyskoczyła z łóżka i stanęła w drzwiach.

Jacques stał przy oknie z twarzą wzniesioną ku niebu. Sunday zwróciła uwagę na cichy szum.

Nad domem przelatował samolot. Na pewno chłopiec usłyszał warkot, pomyślała. Ciekawe, co to dla niego oznacza.

Patrzyła, jak mały wraca na sofę, chowa się pod kołdrę i kryje buzię w poduszce.

Wigilia rozpoczęła się świetlistym, rześkim brzaskiem. Śniegowy puch, który spadł przed świtem, pokrył białe trawniki i pola roziskrzoną, świeżą warstewką. Henry, Sunday i Jacques wybrali się na wczesną poranną przechadzkę.

– Kochanie, wiesz przecież, że nie będziemy mogli go zatrzymać na zawsze – odezwał się

Henry. Przez las przemknął właśnie jeleń i Jacques pobiegł naprzód, by śledzić jego zwinny bieg.

– Wiem, Henry.

– Miałaś rację, umieszczając go blisko nas tej nocy. Zdaje się, że zaczynam sobie wyobrazać, jak będzie wyglądało nasze życie, gdy urodzą się nasze własne dzieci, kochanie. Czy one wszystkie będą spać na sofie koło sypialni?

– Nie, ale nie będą też mieszkać w drugim skrzydle – roześmiała się Sunday. – Czy przygotowałaś już swoje bożonarodzeniowe pozdrowienia, które wysyłasz Internetem?

– Owszem. Bardzo wielu ludzi z całego świata napisało do nas w tym roku. Sądzę, że już czas przesłać im pozdrowienia i najlepsze życzenia.

– I ja tak sądzę. – Głos Sunday nagle przybrał inną barwę. – Henry, spójrz!

Jacques zatrzymał się nagle i spojrzał w niebo tęsknym wzrokiem.

Gdzieś bardzo wysoko rozlegał się warkot przelatującego samolotu.

– Henry – zaczęła Sunday powoli – jest jeszcze jedna rzecz: wydaje mi się, że ten młody człowiek niedawno leciał samolotem.

Pete Schuler nie czuł się najlepiej, mając dwa tysiące trzysta trzydzieści trzy dolary w kieszeni, choć ten nieoczekiwany dar losu oznaczał, że może wziąć wolne na całą resztę zimy i wybrać się na narty. Wciąż dręczyły go pewne pytania.

Gdzie jest dziecko? Dlaczego się jeszcze nie pojawiło? Ta idiotka Betty zgubiła je gdzieś w New Jersey. Jakim cudem nie znalazł chłopaka do tej pory żaden miły i troskliwy obywatel i nie przekazał go jeszcze policji? A jeśli dzieciak miał wypadek? To pytanie prześladowało go nieustannie, doprowadzając niemal do rozstroju nerwowego.

Betty ukryła się u swojej koleżanki w Nowym Jorku, w East Village. Pete wykręcił jej numer.

Telefon odebrała Betty. Bardzo zdenerwowana

– Dzieciak już w domu? – zapytała.

– Nie. Gdzie, do cholery, go zgubiłaś?

- W Bernardsville. Tak się nazywało to miasteczko. Myślisz, że coś mu się stało?
- A skąd mam wiedzieć? To ty go zgubiłaś. – Pete wahał się przez chwilę. – Jestem pewien, że rodzice nie zawiadomili policji. – Nie miał zamiaru zdradzić Betty, że zdobył jakieś pieniądze. – Ale musimy wiedzieć, co się dzieje. Pojedź autobusem do New Jersey, zadzwoń na posterunek w Bernardsville i zapytaj, czy nikt nie przyprowadził do nich pięcioletniego dziecka, może jednak coś o nim wiedzą. Rozumiesz?
- I po co to? Czego niby mam się dowiedzieć? – zapytała Betty. Po co się w to wpackowałam? – zastanawiała się. Jeśli coś mu się stało, pójdę do więzienia na całe życie.
- Zrób to. Natychmiast! Tylko uważaj. Jeśli mają dzieciaka, zasypią cię pytaniami – warknął Pete.

O drugiej Betty zadzwoniła do Pete'a.

- Nie wiem, czy go mają – powiedziała. – Poprosili, żebym opisała dziecko. Ale ja odłożyłam słuchawkę.
- Co za głupota – kurtuazyjnie skwitował jej słowa Pete. I przerwał połączenie.

Jeśli Daltonowie jeszcze nie poszli na policję, to z pewnością wkrótce to zrobią, zwłaszcza jeśli się do nich nie odezwie. Pojechał na stację benzynową w Southport i zamknął się w budce telefonicznej. Czuł, że pora zrobić następny krok.

Ktoś odebrał telefon już po pierwszym dzwonku

– Richard Dalton.

– Mamy pewne opóźnienie – powiedział Schuler tym samym zmienionym głosem, którego używał przedtem, zasłaniając usta chustką do nosa, tak jak to widział w kinie. – Proszę nie wpadać w panikę. Zrozumiano? Nie panikować!

Richard Dalton usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Coś jest nie tak, pomyślał. Człowiek, który zabrał pieniądze, przyszedł pieszo. Dlatego on nikogo nie dostrzegł. Czuwał przez całą noc,

nasłuchując, czy nie nadjeżdża jakiś samochód. I nie nadjechał. A jednak rano w skrzynce nie było pieniędzy. Dalton w ogóle nie zauważył osoby, która je wzięła.

Znowu zadzwonił telefon. Richard chwycił słuchawkę, przedstawił się, słuchał przez chwilę, a potem przykrył słuchawkę dłonią.

– To twój ojciec – powiedział. – Chce rozmawiać z Jacques'em.

– Powiedz, że wyszłam razem z chłopcem na ostatnie przedświąteczne zakupy – szepnęła

Giselle. Jej twarz zamieniła się w maskę bólu i strachu. Richard nie mógł nawet spojrzeć jej prosto w oczy.

– Louis, oni właśnie wyszli po zakupy – poinformował. – Na pewno odezwiemy się do ciebie jutro.

Gdy już odłożył słuchawkę, Giselle krzyknęła:

– Powiedz mu, że wyszłam z Jacques'em na świąteczne zakupy!

I upadła na podłogę, dotykając przypadkiem włącznika kolejki elektrycznej. Zapaliły się światełka, opadły szlabany, lokomotywa sapnęła i ruszyła w drogę.

Dalton podszedł do włącznika, przycisnął guziczek i wziął żonę w ramiona.

W Wigilię, o godzinie siedemnastej, szef posterunku w Bernardsville zadzwonił do Henry'ego.

– Panie prezydencie – powiedział – ulotki ze zdjęciem i rysopisem chłopca zostały rozrzucone po okolicy. Lokalne biuro FBI i oddziały we wszystkich stanach też mają jego zdjęcie.

Sprawdziliśmy listy w Państwowym Centrum Zaginionych i Maltretowanych Dzieci. Jak na razie, żadnych rezultatów. Mogę jednak panu powiedzieć, że dziś mieliśmy jakiś dziwny telefon: ktoś pytał, czy nie przyprawdzono do nas pięcioletniego chłopca. Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z kolejnym porzuconym dzieckiem. Czy on coś powiedział?

– Ani słowa – przyznał Henry.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli się nim zajmiemy. Musimy go zabrać do szpitala

i sprawdzić, czy naprawdę nie potrafi mówić, czy też doznał jakiegoś silnego wstrząsu.

– Proszę chwilę zaczekać, panie inspektorze.

Sunday posłała Simsa do najbliższego sklepu z zabawkami, z którego lokaj przyniósł mnóstwo prezentów. Większość z nich była wciąż nie rozpakowana. Zdążyli już jednak otworzyć kilka paczek. Między innymi wielkie pudło z klockami, z których Sunday i Jacques budowali właśnie skomplikowaną wieżę. Sunday nie kryła oburzenia, wysłuchawszy informacji, które jej przekazał Henry

– Henry, przecież jest Wigilia. Ten mały nie może się obudzić w szpitalu w Boże Narodzenie.

– A my nie możemy go tu zatrzymać na zawsze, kochanie.

– Poproś, żeby go nam zostawili do czwartku. Niech przynajmniej ma jakieś święta. Czuje się tu dobrze, to widać. I coś jeszcze. Sims kupił trochę nowych ubrań. Rzeczy, które chłopiec miał na sobie, są nowe, ale za małe na niego. W tym wszystkim jest coś dziwnego. Nie sądzę, by był porzuconym dzieckiem. Myślę, że rodzina nie wie, gdzie go szukać. Powiedz to policji.

Jacques nie rozumiał, co mówi ta miła pani, troszkę podobna do *maman*. Wiedział natomiast, że jest mu dobrze z nią, z tym miłym wysokim panem i z tamtym mężczyzną, który przypomina *grand-pere*. Może pozwolą mu tu zostać, jeśli będzie bardzo grzeczny. Ale jednocześnie strasznie chciał być w domu, z *maman* i Richardem. Dlaczego oni go odesłali? Jacques nie mógł już dłużej ukrywać swego smutku. Odłożył na bok mały klocek, który chciał umieścić na samym szczycie wieży, i zaczął płakać – nawet ta miła pani, która go kołysała w ramionach, nie potrafiła powstrzymać tych cichych, bezradnych łez samotności.

Tego wieczoru nie mógł przełknąć kolacji. Naprawdę próbował, ale jedzenie nie przechodziło mu przez gardło. Potem wrócili do pokoju z choinką i nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o kolejce, którą miał ułożyć razem z Richardem w domu w Darien.

Sunday wiedziała, co sądzi o tym wszystkim Henry. W gruncie rzeczy wcale nie pomagają

temu małemu. Chłopiec jest pogrążony w żalu, którego nie mogą ukoić wszystkie zabawki świata.

Może powinien trafić do szpitala, gdzie ktoś zapewniłby mu profesjonalną pomoc.

Sunday doświadczyła uczucia podobnej bezsilności, gdy w towarzystwie męża i ojca czekała na wynik operacji matki.

– O czym myślisz, kochanie? – zapytał cicho Henry.

– Może lepiej będzie, jeśli oddamy go jutro rano. Miałaś rację. Nie wyświadczamy mu żadnej przysługi, trzymając go tutaj.

– Zgadzam się.

– To wcale nie przypomina Wigilii – powiedziała Sunday ze smutkiem. – Zagubione dziecko...

Nie mogę uwierzyć, że nikt go nie szuka. Wyobrażasz sobie, co byśmy czuli, gdyby zginął nasz synek?

Henry zamierzał właśnie odpowiedzieć, ale nagle odwrócił głowę.

– Słuchajcie. Idą kolędnicy.

Podszedł do okna, by je otworzyć. Podmuch orzeźwiającego powietrza wypełnił pokój.

Kolędnicy śpiewali „God Rest You, Merry Gentlemen”.

Tylko się nie przestrasz, pomyślała Sunday. Zaczęła nucić razem z kolędnikami, gdy zaintonowali słowa „Cichej nocy”.

Oboje z Henrym bili brawo, gdy grupa zaczęła śpiewać „Deck the Halls with Boughs of Holly”.

Jeden z kolędników podszedł do okna i powiedział:

– Panie prezydencie, specjalnie dla pana nauczyliśmy się piosenki, którą podobno bardzo pan lubił w czasach szkolnych. Jeśli wolno...

Un flambeau, Jeanette Isabelle,

Un flambeau, courrons au berceau.

C'est Jesus, bonnes gens du hameau

Le Christ est ne...

Sunday usłyszała coś za swoimi plecami. Jacques wciąż siedział przygarbiony na krześle naprzeciwko sofy, tam gdzie siedzieli wszyscy tuż przed przyjściem kolędników. Teraz nagle się wyprostował. Szeroko otworzył przymknięte przedtem oczy. Jego usta poruszyły się, wypowiadając bezgłośnie słowa kolędy.

– Henry – szepnęła Sunday – spójrz. Czy widzisz to samo, co ja?

Henry odwrócił się do niej.

– Co masz na myśli, kochanie?

– Spójrz!

Henry popatrzył na Jacques'a uważnie:

– On zna tę piosenkę! – Henry podszedł do chłopca i objął go ramieniem.

– Zaśpiewajcie jeszcze raz – poprosił kolędników.

Ale gdy chórek powtórzył piosenkę, Jacques zasznurował usta.

Kiedy kolędnicy odeszli, Henry zwrócił się do dziecka po francusku:

– *Comment t'appelles-tu? Ou habites-tu?*

Ale Jacques tylko zamknął oczy.

Henry spojrzał na Sunday i wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym robić. Nie odpowiada, ale sądzę, że rozumie, o co go pytam.

Zadumana Sunday spojrzała na Jacques'a.

– Henry, zauważyłeś chyba, jak bardzo zainteresował naszego małego przyjaciela ten samolot, który przelatywał nad nami dziś po południu.

– Zwróciłaś mi na to uwagę.

– To samo zdarzyło się poprzedniej nocy. Henry, przypuśćmy, że to dziecko przyjechało niedawno z innego kraju. Nic dziwnego, że nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Sims przyniósł jedną

z ulotek z jego zdjęciem i rysopisem, prawda?

– Owszem.

– Henry, zamierzałeś wysłać Internetem swoje bożonarodzeniowe życzenia?

– Moje doroczne pozdrowienie. Zgadza się. Uczynię to o północy.

– Henry, zrób coś dla mnie. – Sunday wskazała na Jacques’a. – W tym roku dołącz do życzeń jego zdjęcie i rysopis i poproś, by ludzie we Francji i w innych francuskojęzycznych krajach zwrócili na nie szczególną uwagę. I od tej pory mów do mnie po francusku. Prawdopodobnie nie zrozumie wiele, ale może jakoś przełamiemy opory chłopca.

Zbliżała się szósta rano, gdy Louis de Coyes, z filiżanką kawy w ręku, wszedł do swej pracowni w paryskim mieszkaniu, żeby włączyć komputer. Samotny bożonarodzeniowy poranek nie napawał go optymizmem. Na szczęście później pójdzie do przyjaciół na kolację. Dom stał się zupełnie opustoszały bez Giselle i Jacques’a, ale Louis był bardzo zadowolony z człowieka, którego jego córka wybrała sobie na męża. Richard Dalton to bez wątpienia mężczyzna, jakiego każdy ojciec pragnąłby dla swojej córki.

No i będą się przecież często nawzajem odwiedzać, starszy pan w to nie wątpił. Obiecali, że Jacques będzie dalej pobierał lekcje posługiwania się Internetem, które rozpoczął z nim dziadek. Już niedługo on, Louis, będzie mógł porozumiewać się ze swoim wnukiem regularnie za pomocą poczty komputerowej. W tej chwili na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych dochodzi północ. Starszy pan zamierzał właśnie przeczytać bożonarodzeniowe pozdrowienia, które Henry Parker Britland IV zazwyczaj przysyłał swoim sympatykom. Louis poznał kiedyś byłego prezydenta na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej w Paryżu i ujął go żywy intelekt i nieklamane ciepło, które roztaczał wokół siebie Britland.

Pięć minut później Louis de Coyes wpatrywał się z niedowierzaniem w fotografię własnego wnuka, którego były prezydent opisywał jako zagubione dziecko.

Sześć minut później Richard Dalton, który już zaczął nerwowo szukać w myślach jakiegoś wyjaśnienia, dlaczego Giselle nie może podejść do telefonu, wykrzyknął:

– O mój Boże, Louis, o mój Boże!

O drugiej w nocy rozległ się dzwonek u drzwi. Henry i Sunday czekali na rodziców Jacques'a.

– Chłopiec śpi na górze.

Jacques'owi coś się śniło, ale tym razem był to dobry sen. *Maman* całowała go, szepcząc: *Mon petit, mon Jacques, mon Jacques, je t'aime, je t'aime.*

Jacques poczuł, że ktoś go podnosi i otula prześcieradłem. Richard trzymał go mocno i mówił:

– Wracamy do domu, mój mały.

W tym śnie Jacques długo spał w ramionach *maman* w samochodzie.

Gdy się obudził, powoli otworzył oczy i ogarnął go nagły smutek. Ale nie leżał już na sofie w tamtym wielkim domu. Leżał we własnym łóżku. Jak się tu dostał? Czy *maman* i Richard przyjechali po niego, bo go kochają?

– *Maman!* Richard! – zawołał Jacques, wyskakując żwawo z łóżka i wbiegając do holu.

– Jesteśmy na dole, Jacques! – zawołała *maman*. I wtedy usłyszał jeszcze jeden dobiegający stamtąd dźwięk. Posapywanie lokomotywy i gwizd zapowiadający opuszczenie szlabanów.

Chłopiec boso zbiegł czym prędzej schodami na dół.

– Nie wyspaliśmy się najlepiej tej nocy – rzekł Henry, gdy oboje z Sunday wracali z kościoła.

– Nie, nie wyspaliśmy się – zgodziła się Sunday radośnie. – Henry, będzie mi brakowało tego malucha.

– Mnie także. Ale mam nadzieję, że niedługo doczekamy się własnego malucha, a może własnych maluchów.

– I ja także. Ale trudno uwierzyć, że życie ludzkie jest takie kruche. Mam na myśli tę wiadomość o chorobie mamy w ubiegłym miesiącu.

– Przecież ona czuje się już całkiem nieźle.

– Tak, ale mogliśmy ją stracić. I małego Jacques’a też. Wyobraź sobie, co by było, gdyby ta kobieta, która go porwała, nie miała wypadku tu, w miasteczku. Jeden Pan Bóg wie, czy nie wpadłaby w panikę i nie zrobiła mu krzywdy. Mam nadzieję, że wkrótce ją znajdą. Ludzkie życie wisi zawsze na włosku.

– Tak, masz rację – przytaknął Henry ściszym głosem. – Nie martw się, policja z pewnością bez trudu odzyska tę kobietę i jej współnika. Oboje dość nieudolnie zacierali za sobą ślady. Jechali ulicami Drumdoe, a potem długą aleją w stronę domu. Henry zaparkował samochód na podjeździe. Sims bez wątplenia ich wyglądał, bo drzwi się otworzyły, gdy tylko przejechali przez bramę.

– Mały Jacques właśnie dzwoni, sir. Jego matka powiedziała mi, że cały rano bawił się kolejką. Chciałby państwu podziękować za okazaną dobroć. – Sims był naprawdę rozpromieniony.

– Życzy państwu Joyeux Noël.

Henry pośpieszył do telefonu, a Sunday uśmiechnęła się do Simsa:

– Twój francuski akcent jest prawie tak samo kiepski jak mój – orzekła.